CZAS KRÓLÓW
Bohaterowie z naszej bajki

RYCERZ MARYI
Czarna magia w Kościele

WĘDKARZE
Pieniądze, władza, grube ryby

KINO W GDYNI
Świetne filmy, mało Polski

MARRAKESZ
Miasto snuje opowieści

Kraków 25 września 2022 nr 39 (3820) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Czy Ukraina zwycięży

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425
39
9 770041 480208

REKLAMA

Czas równowagi

Kup na przekroj.pl

Dochód ze sprzedaży kwartalnika przeznaczamy na działalność statutową Fundacji PRZEKRóJ

ZAMÓW TANIEJ

swoją prenumeratę na 2023 r. zawczasu tylko do 2 listopada!

Szanowni Państwo,

2 listopada zmienimy cennik prenumeraty „Tygodnika Powszechnego". Nie będzie już można zamówić niektórych opcji czasowych i promocyjnych, a cena pozostałych nieznacznie wzrośnie.

Ogromne, bezprecedensowe podwyżki cen papieru gazetowego, prądu, gazu i transportu to cztery krytyczne czynniki, które wymuszają na nas konieczność podwyżki ceny prenumeraty.

Detaliczna cena wydania wzrosła już kilka miesięcy temu, do 12 złotych. W zwykłej prenumeracie rocznej to wciąż koszt około 9 złotych za wydanie.

Z podwyżką ceny prenumeraty wydania drukowanego pisma zwlekaliśmy jak najdłużej, chcąc Prenumeratorom – naszym najbardziej oddanym Czytelnikom – umożliwić jej **zakup na jak najlepszych warunkach**.

Prenumerata jest najkorzystniejszą finansowo, dla nas i dla Czytelników, najbardziej efektywną formą dystrybucji prasy drukowanej – w ramach prenumeraty każdy egzemplarz, bez konieczności drukowania egzemplarzy nadmiarowych, trafia w ręce oczekujących go osób.

Serdecznie zapraszamy wszystkich naszych Czytelników do wykupienia lub przedłużenia prenumeraty jeszcze w październiku 2022 – na kolejne okresy rozliczeniowe. **Taniej** – bez względu na bardzo niepewną sytuację rynkową.

Dziękujemy, że jesteście Państwo z nami.

Jacek Ślusarczyk
Wydawca „Tygodnika Powszechnego"

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALESmanago
marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

22 Władcy głębin
MAREK RABIJ
Zainteresowanie opinii publicznej, jakie po zatruciu Odry spadło na Polski Związek Wędkarski, wcale nie ucieszyło jego władz.

34 Czarna magia
TOMASZ P. TERLIKOWSKI
Na naszych oczach pewien salezjanin tworzy nową sektę. Porywa i przyciąga wielu wiernych, ale za jaką cenę?

44 Nowa nadzieja
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z IZIUMU
Po półrocznej rosyjskiej okupacji mieszkańcy tego miasta w obwodzie charkowskim odzyskali wolność.

54 Karol III i Kamień Przeznaczenia
PATRYCJA BUKALSKA
Nowy brytyjski władca potrzebuje od Szkotów ich narodowej relikwii.

64 W pewnym wieku
ROZMOWA Z ANDRZEJEM FRANASZKIEM:
Na ogół jesteśmy dziś ironiczni, wręcz cyniczni, a więc letni. Moi bohaterowie byli gorący lub zimni – nigdy letni.

78 Miasto opowieści
ANDRZEJ MUSZYŃSKI
Polacy, którym opowiadałem o Marrakeszu, często twierdzili, że go nie znoszą. Jednak to miejsce – zbudowane według logiki siły, której nikt nie widział – przetrwa nawet, jeśli umrze religia.

MARIUSZ CIESZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL // TYTUS ŻMIJEWSKI / PAP // OWEN HUMPHREYS / PA IMAGES / ALAMY STOCK PHOTO / B&EW // AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN // JOANNA FRANASZEK // PAWEŁ PIENIĄŻEK

6 Czy możemy zwyciężyć?
WOJCIECH PIĘCIAK

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Władcy głębin
MAREK RABIJ

26 Energetyczny wampir Europy
PIOTR WÓJCIK:
Rząd nie zamierza narzucać obywatelom oszczędności, sprzeciwia się też regulacjom na szczeblu całej Unii. Ten upór może nas drogo kosztować

30 Bo pójdziesz w pasy
ROZMOWA Z BŁAŻEJEM KMIECIAKIEM:
Polskie oddziały psychiatryczne łączy fakt, że lekarze nie mają przeszkolenia w zakresie stosowania przymusu bezpośredniego

WIARA

34 Czarna magia
TOMASZ P. TERLIKOWSKI

38 Dwie trzecie głosów
ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI:
Nie możemy udawać, że doktryna zawsze była dobra – mówią uczestnicy niemieckiej Drogi Synodalnej i proponują przełomowe zmiany

40 Przyjaciółki
MARCELINA SZUMER-BRYSZ:
O Wandzie Błeńskiej – kandydatce na ołtarze, która poświęciła życie leczeniu trędowatych w Ugandzie – opowiada Beata Chomicz

ŚWIAT

44 Nowa nadzieja
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z IZIUMU

TEMAT TYGODNIKA

BERNAT ARMANGUE / AP / EAST NEWS

12 Królestwo tego świata
MARCIN ŻYŁA
Po pogrzebie Elżbiety II już wiadomo: monarchii używamy do tego, by zbiorowo przeglądać się w lustrze.

16 Królowie są wieczni
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
W ceremonii królewskiego pogrzebu pobrzmiewają echa rytuałów znacznie starszych niż średniowieczne.

FELIETONY

33 JACEK PODSIADŁO **43** WOJCIECH BONOWICZ
77 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: Ukraińscy żołnierze przy rogatkach miasta Izium, 13 września 2022 r.
FOTOGRAFIA: PAWEŁ PIENIĄŻEK DLA „TP"

Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

48 W Ukrainie
FOTOREPORTAŻ
JUSTYNY MIELNIKIEWICZ

50 Boczek czy podgardle
PAWEŁ BRAVO:
Kim są Bracia Włosi, którzy niedługo będą rządzić w Rzymie

52 Ni ryba, ni mięso
TOMASZ OTOCKI:
Łotewski parlament uniezależnił miejscową Cerkiew od wpływów moskiewskiego patriarchy

HISTORIA

54 Karol III i Kamień Przeznaczenia
Patrycja Bukalska

NAUKA

58 Małpie sztuki
DIANA SAŁACKA:
Jeśli chcemy zrozumieć twórczość artystyczną, możemy podglądać malujące zwierzęta

62 Logika refleksów
PIOTR SZYMANEK:
Długotrwałe wpatrywanie się w lustro może prowadzić do nietypowych odkryć

KULTURA

64 W pewnym wieku
ROZMOWA Z ANDRZEJEM FRANASZKIEM

68 Doktryna Monroe
SEBASTIAN SMOLIŃSKI:
Czy historię Marilyn da się w ogóle opowiedzieć inaczej?

72 Klęska obfitości
ANITA PIOTROWSKA Z FESTIWALU W GDYNI: *Kiedyś narzekaliśmy na zaściankowość naszego kina. Dziś dostrzegamy paradoksy kosmopolityzmu*

ZMYSŁY

78 Miasto opowieści
ANDRZEJ MUSZYŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Rosyjska ruletka
Ukraińska kontrofensywa odmieniła oblicze rosyjskiej inwazji. Jakie paliwo będzie teraz wlewać putinizm w patriotyczne bukłaki?
– pyta **ANNA ŁABUSZEWSKA** | **tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka**

Strona świata
O co walczą Armenia i Azerbejdżan – tłumaczy **WOJCIECH JAGIELSKI** w rubryce o współczesnych konfliktach światowych | **tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata**

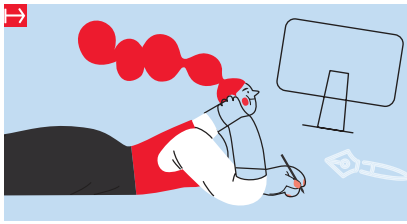

Serwisy specjalne: patrz szerzej
POLSKA SZKOŁA
Uczniowie, nauczyciele i lekcje do odrobienia
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/SZKOLA

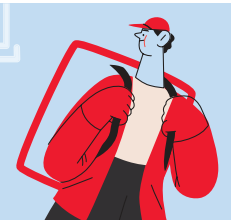

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

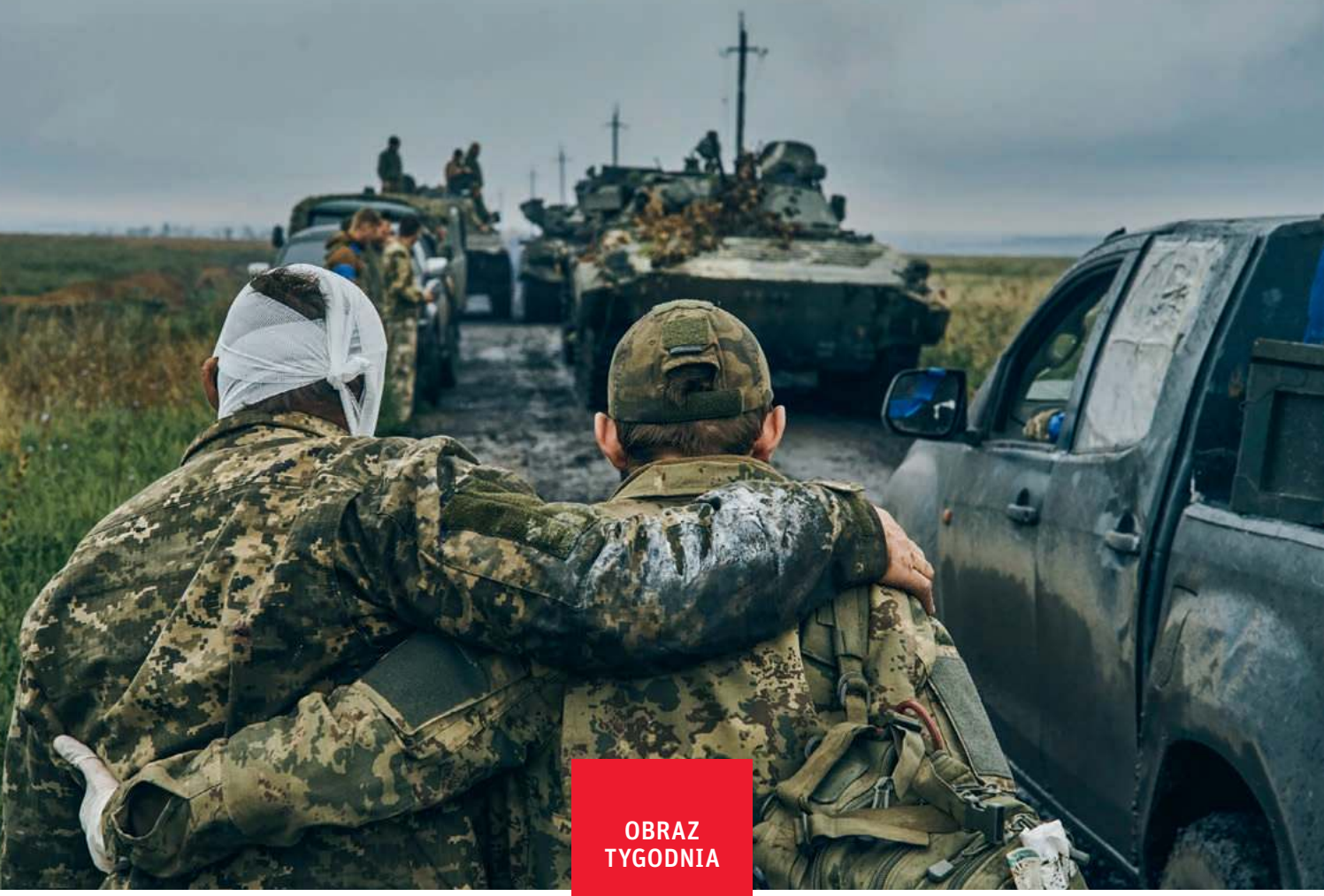

OBRAZ TYGODNIA

CZY MOŻEMY ZWYCIĘŻYĆ?

Na polach bitew nad Dońcem i Dnieprem może rozstrzygnąć się nie tylko los Putina, ale też rosyjskiego projektu imperialnego, który zaczął się ponad 600 lat temu.

WOJCIECH PIĘCIAK

Od siedmiu miesięcy babcia Elzara ma misję. Starsza wiekiem Tatarka mieszka na okupowanym Krymie w pobliżu rosyjskiej bazy pocisków manewrujących. Elzara (imię zmienione) czuwa. Gdy tylko startują rakiety, kierując się na cele gdzieś na Ukrainie, chwyta za telefon i na rodzinnej grupie w szyfrowanym komunikatorze śle ostrzeżenie do dzieci, wnuków i prawnuków, którzy Krym opuścili po aneksji: „Uwaga, sześć poleciało, na północny zachód!". Zanim zawyją syreny, jej rozproszeni po Ukrainie bliscy będą mieć minutę więcej, by się ukryć. Tak Elzara widzi swój wkład w tę wojnę.

Niezależnie, czy czuwanie Elzary (o której opowiedzieli mi jej bliscy) ma praktyczny sens, jest jednym z „puzzli", jakie tworzą większy obraz: nigdy w ciągu ostatnich ośmiu lat Tatarzy nie identyfikowali się tak mocno z Ukrainą jak po 24 lutego. A uderzenia w rosyjskie bazy na Krymie oraz kontrofensywy nad Dońcem (charkowska) i Dnieprem (chersońska) sprawiają, że rośnie też wśród nich nadzieja, iż wyzwolenie jest realne. Jeśli nie zaraz, to po wygranej wojnie. Tak to czują. Na murach w Jałcie i Bachczysaraju pojawiają się ulotki, że Rosja to okupant. Na tatarskich weselach ostentacyjnie śpiewa się ukraińskie pieśni. Niedawno Rosjanie aresztowali, zapewne dla zastraszenia, uczestników jednego z tych wesel; sześć osób, w tym matka pana młodego i matka panny młodej, dostało areszt lub/i grzywny.

Ukraiński żołnierz pomaga rannemu koledze. Front pod Charkowem, 12 września 2022 r.

Nastroje wśród Tatarów współgrają z nastrojami na nieokupowanej Ukrainie. Mimo ofiar, zniszczeń, coraz trudniejszych warunków życia i perspektywy trudnych miesięcy jesiennych i zimowych (można sobie wyobrazić, jak będą wyglądać np. w Charkowie, gdzie po ostrzałach brakuje prądu, gazu i wody) – ogromna większość społeczeństwa wykazuje wolę oporu i deklaruje, że nie zaakceptuje pokoju na warunkach Rosji.

Pokazują to np. wyniki sondażu prowadzonego w lipcu przez Kyiv International Institute of Sociology i Oxford University (pytano 1160 osób w nieokupowanych regionach, metodą wywiadów). 79 proc. badanych deklarowało, że nie przyjmie rozwiązania konfliktu, którego skutkiem byłby rząd kontrolowany przez Rosję. Pozostałe 21 proc. też nie jest skłonne się poddać, tyle że ta grupa byłaby gotowa na pewne koncesje polityczne, o ile w zamian przywrócona zostałaby integralność terytorialna. Nie ma większych różnic między obywatelami, którzy na co dzień używają języka ukraińskiego lub rosyjskiego: wśród tych drugich 75 proc. uważało, że należy kontynuować walkę za każdą, dosłownie każdą cenę. Wolno sądzić, iż teraz kontrofensywa pod Charkowem i wieści o zbrodniach, które Rosjanie tam popełnili, tylko utwierdzą przekonanie, że jest to wojna o istnienie państwa i narodu.

Jeśli więc zastanawiamy się, czy Ukraina może zwyciężyć (gdzie zwycięstwo to pokój sprawiedliwy, zawarty na warunkach ukraińskich), to widzimy, że jak dotąd spełniony jest warunek podstawowy: sami Ukraińcy chcą walczyć, choćby oznaczało to więcej cierpień. I nawet jeśli przegrywając na polu walki Rosja będzie niszczyć infrastrukturę cywilną, aby także życie codzienne – np. zimą bez ogrzewania – wymagało heroizmu, a pokusa emigracji kusiła.

Jednak wola oporu to za mało. Drugi warunek to wsparcie dla Ukrainy – większe niż dotąd, ilościowo i jakościowo. Nie tylko bronią, ale też zasobami bytowymi (jak generatory dla ludzi w miastach bez prądu). Tu wraca kwestia broni ciężkiej. Jak ona jest ważna, widać dziś, gdy to polskie czołgi torowały drogę charkowskiej kontrofensywie. No i warunek trzeci: spójność Zachodu, wystawiana na próbę zwłaszcza za sprawą kryzysu energetycznego.

Pewien zachodni publicysta postawił ostatnio tezę, że na Ukrainie rozstrzygnie się los Putina. Być może tak. Albo i więcej: możliwe, że dziś kończy się definitywnie rosyjski projekt imperialny. Ten, który zaczął się w wieku XIV, gdy książę Iwan Kalita stworzył podstawy do ekspansji Moskwy – najpierw na historycznej Rusi, a później coraz dalej.

Również o to toczy się ta wojna. ©℗

KOSTIANTYN LIBEROV / AP / EAST NEWS

Jak Rosja przetrawia klęskę pod Charkowem

ANNA ŁABUSZEWSKA

Narracja Kremla co do celów i terminów zwycięskiego zakończenia „operacji specjalnej" została poddana próbie. Sukcesy armii ukraińskiej w obwodzie charkowskim wywołały popłoch nie tylko na froncie militarnym, ale też propagandowym.

Rosyjskie ministerstwo obrony zapewnia o „zorganizowanym przegrupowaniu sił". Odpowiedzią, na jaką zdobyła się „druga armia świata", był zmasowany ostrzał wrażliwej infrastruktury cywilnej. Natomiast kapłani propagandy gubią się w przekazie. Jedni bagatelizują postępy Ukraińców, inni podnoszą, że ich sukces był możliwy jedynie dzięki pomocy „kolektywnego Zachodu". To, co się wydarzyło, podważa opowieści, iż wszystko idzie zgodnie z planem. Niemniej prezydent Putin na spotkaniu z dziennikarzami w Samarkandzie, niezrażony zmianami na froncie, oznajmił: „Główny cel operacji specjalnej – wyzwolenie Donbasu – nie podlega korekcie. Kontynuujemy działania, mimo podejmowanych przez armię ukraińską prób przeprowadzenia kontrofensywy".

Ale zmieniająca się sytuacja na wschodzie Ukrainy koryguje plany Kremla. Ludzie Putina mieli zorganizować na podbitych terenach tzw. referenda akcesyjne. W obwodach charkowskim, chersońskim i zaporoskim planowano je na 11 września, lecz jeszcze przed ukraińską kontrofensywą wiadomo było, że w tym terminie się nie odbędą – rosyjskie władze uznały, że jest zbyt niebezpiecznie (zamachy na kolaborantów, sabotaże, otwarcie wrogi stosunek większości ludności). Potem pojawił się termin 4 listopada, w Rosji Dzień Jedności Narodowej, aby podkreślić ową jedność mieszkańców podbitych terenów z narodem rosyjskim. Ale i te plany zapewne przyjdzie weryfikować. Referenda miały zamknąć etap podboju wschodnich terenów Ukrainy i dać asumpt do ogłoszenia zwycięstwa.

Po wiadomościach spod Charkowa szok przeżyli tzw. turbopatrioci, popierający inwazję. Typowy dla tej grupy komentarz można przeczytać na Telegramie: „Polityczna i/lub militarna przegrana Rosji pociągnie za sobą zagładę państwa. (...) Jeżeli wygra »partia strachu i klęski«, nikt nie zechce mieć do czynienia z Rosją, która została postawiona do pionu przez Ukrainę z prezydentem klaunem, choćby i przy wydatnym wsparciu Zachodu. Przegraną będzie jakiekolwiek porozumienie pokojowe zawarte nie na naszych warunkach i utrzymanie przez Ukrainę jej obecnego statusu i władz. W takim bowiem razie Rosję czeka zapaść".

Państwowa telewizja nawołuje teraz do unieszkodliwienia ukraińskiej energetyki, by sparaliżować państwo: wtedy zmarznięci Ukraińcy zniechęcą się i gremialnie ruszą pod skrzydła Rosji. ©

Baku korzysta z chwili

WOJSKA AZERBEJDŻANU, który od 30 lat toczy z Ormianami wojnę o Górski Karabach – ormiańską enklawę, która po zwycięskiej secesyjnej wojnie (30 tys. zabitych) ogłosiła niepodległość – zaatakowały Armenię. Zanim po dwóch dniach walk zawarto rozejm, zginęło ok. 150 Ormian i 80 Azerów. Rosja, odwieczna sojuszniczka Armenii, związana z nią układem obronnym (wraz z Białorusią, Kazachstanem, Kirgizją i Tadżykistanem tworzy Organizację o Zbiorowym Bezpieczeństwie), nie udzieliła jej pomocy, choć rosyjscy żołnierze stoją na granicach Armenii, a w Giumri przy granicy z Turcją mają bazę. Azerowie zaś w natarciu na Armenię korzystali z dostaw tureckiej broni i politycznego wsparcia Turcji.

Azerowie, którzy dwa lata temu odbili z rąk Ormian – również dzięki tureckiej pomocy – większość Karabachu, tym razem, korzystając, że Rosja zajęta jest wojną w Ukrainie, żądają od Ormian reszty Karabachu, a także eksterytorialnego „korytarza" przez ormiański Zangezur, oddzielający Azerbejdżan od należącego do niego Nachiczewania i od Turcji.

Armenia, słabsza wojskowo od Azerów i opuszczona przez Rosję, zapowiada, że nie oglądając się na Kreml, już wkrótce podpisze z Azerami pokój – w zamian za autonomię i gwarancje bezpieczeństwa dla Karabachu. Ale zapowiada też, że „korytarza" przez Zangezur nie odda.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

Cena symbolu

MAREK RABIJ

Zrywamy ostatnie pęta naszej zależności od Rosji" – mówił premier Mateusz Morawiecki, otwierając 17 września kanał w Mierzei Wiślanej. Nie hamował się też obecny na miejscu prezydent Andrzej Duda, zapewniając, że „mimo wichrów wojen, które przyginały nas bardzo często do ziemi (...) Polska zwycięża. Zwycięża tutaj na Mierzei Wiślanej".

A teraz kolej na fakty. Kosztem 1,8 mld zł, niemal dwukrotnie wyższym od pierwotnie założonego, zbudowano przejście wodne, które o 12 godzin skróci żeglugę z Elbląga do Gdańska – i to jedyna bezdyskusyjna korzyść z tej inwestycji. Atuty polityczne sprowadzają się już tylko do symboliki, bo Rosja od lat nie blokuje przejścia przez Cieśninę Piławską, zdając sobie sprawę, że kameralny port w Elblągu, oddalony o godzinę jazdy lądem od gdańskiego, nie ma – i nie może mieć – większego znaczenia dla polskiej gospodarki. Przekop może za to zmienić potencjał turystyczny regionu Zalewu Wiślanego.

Wielu miejscowych przedsiębiorców liczy, że ściągnie na te wody więcej żeglarzy, ale część obawia się, że dewastacja środowiska, jaką spowodował sam przekop i towarzyszące mu pogłębienie toru żeglugowego w stronę Elbląga (wejście do samego portu nie zostało jeszcze pogłębione), może bezpowrotnie zmienić Zalew Wiślany i zniechęcić część stałych bywalców do odwiedzin. ©℗

Lasy do ochrony

10 PROC. POWIERZCHNI UE ma znaleźć się pod ścisłą ochroną do 2030 r. – to najważniejszy postulat Strategii Leśnej, którą 13 września poparł Parlament Europejski. Choć to jedynie zalecenia, o dokument toczyła się długa wojna. Unia dążyła do realizacji celów klimatycznych, co biznes i niektóre państwa (zwłaszcza Polska) traktowały jak „wyrok śmierci" na branżę drzewną. Jeśliby strategię zrealizować (to zadanie dla państw i Komisji Europejskiej), w Polsce trzeba by ochroną ścisłą objąć 2,9 mln hektarów, głównie lasów. Byłoby na pewno trudniej o drewno, bo Lasy Państwowe musiałyby wycinać nawet 30-40 proc. drzew mniej. Tylko czy wizja, której teraz bronimy w PE, jest lepsza? W 2021 r. wycięliśmy 2 mln m3 więcej drewna niż w roku 2020, a prawie 15 proc. towaru pojechało na eksport. Tymczasem Polska ma jeden z najsłabszych systemów ścisłej ochrony przyrody w Europie. Parki narodowe zajmują 1 proc. kraju (średnia unijna to 3,4 proc.), a ostatni powstał ponad 20 lat temu. ©℗ KRZYSZTOF STORY

KRAJ W SKRÓCIE

OSTROŻNIE

Wszedł w życie nowy taryfikator punktów karnych i mandatów. Za nieustąpienie pierwszeństwa pieszemu kierowca otrzyma aż 15 punktów, srogo karane jest również trzymanie w ręku telefonu; najwyższe kary finansowe za przekroczenie prędkości sięgają 2,5 tys. zł.

NIEOSTROŻNIE

1 tys. zł zapłacił kierowca, który nie zachował należytej ostrożności i wjechał w tył samochodu Służby Ochrony Państwa wiozącego przez Warszawę min. Zbigniewa Ziobrę z rodziną. W trakcie kolizji nikt nie ucierpiał.

NIEODPOWIEDZIALNIE

Jakość systemu prawnego ucierpi na nominacjach do nowej Izby Odpowiedzialności Zawodowej SN: wśród 11 wskazanych przez prezydenta osób znalazło się 6 wywodzących się z powołanej z naruszeniem zasad (wedle orzeczeń europejskich trybunałów) KRS. Skład Izby oznacza, że jej decyzje będą podważane w Europie.

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

HUCZNIE

Nowym wiceministrem rolnictwa, w miejsce zdymisjonowanego z hukiem po hucznym weselu Norberta Kaczmarczyka, został inny polityk Solidarnej Polski, Janusz Kowalski (na zdjęciu po prawej). Wśród licznych zatrudnień 44-letniego posła (obejmujących też działalność w PO) nie było dotąd żadnego związanego z rolnictwem.

Urwane skrzydło Antoniego Macierewicza

W ZASADZIE WSZYSTKO już wiedzieliśmy – zwłaszcza ci co bardziej regularnie zapoznający się z fantazyjnymi i zmieniającymi się nieustannie teoriami płynącymi z tzw. podkomisji smoleńskiej. Wiedzieć, a zobaczyć czarno na białym, jak w reportażu wyemitowanym przez TVN24, to jednak dwie różne rzeczy. Piotr Świerczek pokazał nieznane dotąd materiały, z których wynika, że Antoni Macierewicz ukrywał niewygodne dla siebie ekspertyzy, np. zrobioną w USA symulację potwierdzającą, że skrzydło prezydenckiego tupolewa faktycznie zostało urwane przez brzozę.

I co, że wiedzieliśmy? Ano nic. Niemal dwie trzecie badanych w sondażu Wirtualnej Polski uważa, że Macierewicz oszukuje opinię publiczną, ale jeśli przeanalizować odpowiedzi wyłącznie wyborców PiS, to ponad dwie trzecie tej grupy wierzy w jego opowieści. O tym, czym we współczesnej polityce jest kategoria postprawdy, napisano już niejedną książkę, odwołując się głównie do przykładu Ameryki i Trumpa. Macierewicz napisał jej polski rozdział. ©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

Króliki maturalne

JESTEŚMY PRZERAŻENI i czujemy się potraktowani bardzo niesprawiedliwie w porównaniu do poprzednich roczników" – napisali w petycji do resortu edukacji i nauki przyszłoroczni maturzyści, którzy będą zdawali egzaminy ustne, wcześniej trzykrotnie zawieszone w czasie pandemii. W liście podpisanym przez ponad 40 tys. osób opowiadają, że do szkoły chodzili tylko pół roku, by kolejne półtora spędzić częściowo na nauczaniu zdalnym. „Czujemy się jak króliki doświadczalne" – piszą, zaznaczając, że przywrócenie ustnej matury było dla nich zaskoczeniem, i nie będą mogli się do niej dobrze przygotować.

Ustne egzaminy, choć nie mają znaczenia w rekrutacji na studia, są ważne: kształtują kluczowe umiejętności, determinują też sposób pracy na lekcji (np. ćwiczenie mówienia na zajęciach z języka obcego). Tylko czy trzeba je przywracać, gdy do egzaminu podchodzi najbardziej przeczołgany przez pandemię rocznik? ©℗ PW

Kiedy wybory

JAROSŁAW FLIS

Wojna po sąsiedzku i drożyzna powinny skłaniać rządzących w Polsce do ograniczania pól konfliktu i skupienia się na tym, co naprawdę ważne dla obywateli. Trudno za coś takiego uznać opóźnianie samorządowych wyborów czy radykalne zmiany ordynacji. Najwyraźniej obóz rządzący nie potrafi się uwolnić od pokusy gorączkowego manipulowania regułami.

Problem kolizji wyborów lokalnych i krajowych był znany od niemal pięciu lat. Sam mówiłem i pisałem o tym niejednokrotnie. Teraz jednak sprawa nabrała innych znaczeń. Organizacyjne trudności stały się dla obozu władzy pretekstem do załatwienia boleśniejszej kwestii. PiS w samorządach radził sobie kiepsko nawet w 2018 r., gdy był na fali wznoszącej, zaś sensu nazwy Zjednoczona Prawica nie podważały permanentne, otwarte konflikty. Teraz sondaże zwiastują utratę władzy, a w tych okolicznościach samorządowy prolog tuż przed sejmowym wyścigiem zdaje się budzić przerażenie rządzących.

Lecz nawet jeśli nie są oni w stanie żyć z obawą przegranej, nie ma powodu, by sięgać po tak wątpliwe środki, jak wydłużanie kadencji lokalnych władz. To przecież oznacza opóźnienie porażki tych, którzy na swoich stanowiskach się nie sprawdzili. Jeśli większość sejmowa popełniła przed laty błąd, doprowadzając do kolizji terminów, może go rozwiązać swoim kosztem, nie zaś obywateli.

Najprostsze byłoby rozwiązanie Sejmu, przegłosowane teraz, lecz wchodzące w życie w kwietniu 2023 r. To pozwoliłoby przeprowadzić wybory sejmowe w czerwcu. Skrócenie kadencji parlamentu byłoby bardzo nieznaczne, zważywszy na przerwę wakacyjną. Wybory samorządowe mogłyby się odbyć normalnie, jesienią, bez kolizji z eurowyborami 2024. Możliwe zresztą, że tak się stanie, bo przecież ani sejmowa większość, ani aprobata prezydenta nie są czymś pewnym. Przy spodziewanym sprzeciwie Senatu obóz rządzący funduje sobie właśnie wielotygodniową rozróbę, w której stale przypominane będzie, że forsowana zmiana jest dowodem ich nieudolności i słabości. Samorozwiązanie Sejmu przynajmniej omija Senat i prezydenta.

Już tylko wisienką na torcie są spekulacje dotyczące zwiększenia liczby okręgów wyborczych. Przejście na 100 okręgów miałoby ponoć zapewnić przewagę nad podzieloną opozycją. To jeszcze mniej realne i jeszcze bardziej wątpliwe. ©

ABEDIN TAHERKENAREH / EPA / PAP

WZBURZENIE W IRANIE po śmierci Mahsy Amini: 22-latka została zatrzymana przez policję obyczajową za „nieodpowiedni" ubiór (źle założoną chustę), po czym trafiła do szpitala, gdzie po kilku dniach w śpiączce zmarła. Policja twierdzi, że Mahsa dostała ataku serca, ale są podejrzenia, że ją pobito. Protestują media, obywatele w sieci („Włosy naszych dziewcząt zakrywa żałobny całun" – piszą piłkarze drużyny narodowej na Instagramie) i na ulicach; kilkadziesiąt osób zostało rannych podczas starć z policją. Od rewolucji islamskiej w 1979 r. Iranki muszą zakrywać włosy, ale wiele traktuje ten przepis luźno. Na zdjęciu: strona tytułowa irańskiego dziennika, 18 września 2022 r.

©℗ WP / AFP, GUARDIAN

Szwecja: sukces prawicy jednym mandatem

GRĘ NERWÓW sprezentowali Szwedzi swym politykom. Dopiero trzeciego dnia po wyborczej niedzieli premier Magdalena Andersson mogła przyznać, że jej lewicowo-zielona koalicja przegrała: „Nawet jeśli to większość minimalna, jest to większość". Wprawdzie jej socjaldemokraci zdobyli najwięcej głosów, ale w tych wyborach liczył się wynik dwóch rywalizujących bloków, składających się każdy z czterech partii. Po zliczeniu głosów oddanych listownie i za granicą okazało się, że wbrew sondażom wygrał blok centrowo-prawicowy: zdobył w Riksdagu 176 mandatów, o jeden więcej niż konieczna większość.

Premierem zostanie zapewne Ulf Kristersson z konserwatywnej Partii Umiarkowanej. Ale sformowanie rządu może być trudne. Kristersson i jego dwaj partnerzy, partie chadecka i liberalna, liczyli, że będą rządzić z cichym poparciem czwartego koalicjanta, Szwedzkich Demokratów, bez włączenia ich polityków do rządu. Tymczasem zdobyli oni aż jedną piątą głosów, więcej niż Umiarkowani, i mają teraz ambicję objęcia ministerstw.

Ta prawicowo-narodowa partia powstała w 1988 r.; część jej założycieli wywodziła się ze środowisk neonazistowskich. W parlamencie obecna jest od 2010 r., ale dotąd otoczona była „kordonem sanitarnym". Jej lider Jimmie Åkesson usiłował podjąć współpracę z ugrupowaniami centroprawicowymi, ale te odmawiały – aż do tych wyborów, przed którymi zdecydowały się włączyć Szwedzkich Demokratów do swego bloku.

Ich sukces przypisuje się tematowi, który zdominował kampanię: to problemy z integracją imigrantów. Ich najostrzejszym przejawem są wojny gangów w imigranckich dzielnicach. Kraj przoduje w tej kryminalnej statystyce w Europie: do końca sierpnia było tu 255 strzelanin; zginęło 46 osób, a 70 odniosło rany. Większość ofiar to gangsterzy, ale też osoby postronne. Gdy dwa tygodnie przed wyborami w mieście Eskilstuna ranny został 4-letni chłopiec, wielu polityków przerwało kampanię i tam pojechało. W ostatniej debacie w TV Andersson obiecywała politykę *law and order*, co Åkesson skomentował: „Zawsze tak mówiliśmy".

Komentatorzy zdają się zgodni: to historyczne wybory, nie tylko za sprawą sukcesu Szwedzkich Demokratów, ale też przesunięcia akcentów w debacie publicznej. ©℗ WP / NZZ, FAZ, DPA

Franciszek na peryferiach

„JECHAĆ DO KAZACHSTANU na spotkanie religii to jak wybierać się na festiwal pizzy do Bolzano" – powiedziała znajoma Włoszka na wieść, że papież udał się do Nur-Sułtan na VII Kongres Przywódców Religii Światowych i Tradycyjnych. Gdy Kazachstan ogłaszał niepodległość, w 1991 r., większość jego mieszkańców uważała się za ateistów. Dwanaście lat później, gdy prezydent Nursułtan Nazarbajew zapraszał liderów religii na pierwsze spotkanie, 70 proc. wyznawało islam. Kazachstański kongres był projektem politycznym: na zewnątrz miał budować markę kraju pokojowego współistnienia wielu nacji i kultur, na forum wewnętrznym – promować religie tradycyjne, które będą zapobiegać, pod kuratelą państwa, tworzeniu się grup radykalnych i ekstremistycznych.

Papież na pizzę w Alpy pewnie by się wybrał. Lubi miejsca uchodzące – z perspektywy jednej tradycji kulturowej – za peryferyjne. Katolicy w Kazachstanie są śladową mniejszością (0,6 proc.), złożoną głównie z potomków polskich i niemieckich zesłańców. To zresztą w ocenie Franciszka peryferia strategiczne: pomiędzy Wschodem i Zachodem, Azją i Europą oraz – co szczególnie istotne – Rosją i Chinami, które pozostają jego niespełnionym marzeniem.

Nie da się jednak ukryć, że głównym powodem, dla którego Franciszek wpisał kazachstański kongres do kalendarza, była możliwość spotkania z patriarchą Moskwy. Papież od dawna do niego dąży i nawet jeśli nazywa Cyryla „ministrantem Putina", rozmowę z nim uważa za swój braterski obowiązek. Po niespodziewanym odwołaniu przez Moskwę przyjazdu patriarchy wiele osób spodziewało się, że również Watykan w ostatniej chwili zmieni plany. Franciszek się nie wycofał – ku zadowoleniu organizatorów kongresu i radości wiernych z Kazachstanu i innych krajów Azji Środkowej, którzy pokonali tysiące kilometrów, by się z nim spotkać.

©℗ EDWARD AUGUSTYN z Rzymu

Więcej na: **powszechnet.pl/kazachstan**

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC.
Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

KULE

„Nie wiedziałem, w którą stronę uciekać" – mówił o rosyjskim ostrzale kard. Konrad Krajewski, który wraz z biskupem katolickim i protestanckim oraz towarzyszącym im żołnierzem przekazywali pomoc humanitarną na „ziemi niczyjej" w strefie przyfrontowej na wschód od Zaporoża. Nikomu nic się nie stało. Papieski jałmużnik po raz czwarty przebywa w Ukrainie. Odwiedził m.in. masowe groby odkryte po wyzwoleniu Iziumu przez armię ukraińską.

ARCHIWUM PRYWATNE

OKULARY

W tym roku laureatką nagrody Okulary ks. Kaczkowskiego została Paulina Bownik (na zdjęciu), lekarka z Grupy Granica, która mimo nieprzychylności służb mundurowych niosła pomoc podczas kryzysu humanitarnego na granicy polsko-białoruskiej. Laureatka otrzymała statuetkę w kształcie okularów oraz czek na 20 tys. zł, ufundowany przez Miasto Sopot, Miasto Puck oraz Marszałka Województwa Pomorskiego.

KRYPTOWALUTY

Katolicy w archidiecezji waszyngtońskiej w USA mogą teraz przekazywać darowizny za pośrednictwem bitcoina, ethereum i wielu innych kryptowalut. Zdaniem Josepha Gillmera, dyrektora wykonawczego ds. rozwoju archidiecezji, dodanie kryptowaluty jako środka płatniczego to ułatwienie dla parafian. Menadżer wyjaśnił, że kryptowaluty – jako niestabilna waluta – zaraz po otrzymaniu zamieniane są na dolary.

Doda górą w Strasburgu

ARTUR SPORNIAK

Polska naruszyła art. 10 Konwencji o ochronie praw człowieka, gwarantujący prawo do wyrażania opinii, nakładając na Dorotę Rabczewską 5 tys. zł kary za jej wypowiedź na temat Biblii, która obrażała uczucia religijne katolików – orzekł Europejski Trybunał Praw Człowieka i nakazał wypłacić piosenkarce 10 tys. euro. Doda została skazana w 2012 r. przez warszawski sąd rejonowy za wypowiedź, w której stwierdziła: „Ciężko wierzyć w coś, co spisał ktoś napruty winem i palący jakieś zioła". Wyrok został podtrzymany w drugiej instancji, a Trybunał Konstytucw oyjny uznał jego zgodność z Konstytucją.

Przez dziesięć lat poważne instytucje dywagowały nad niemądrą i rzeczywiście lekceważącą opinią, z którą teraz, dzięki wyrokowi w Strasburgu, może zapoznać się cały świat. Dobrej rekomendacji nie wystawia to też nam – katolikom. Jezus przyjął swój los i znosił obelgi – czy taka postawa przestała być dla nas religijnie ważna?

Ale zamieszanie wokół wypowiedzi Dody może też mieć pozytywny skutek. Pod warunkiem, że sprowokuje w Polsce dyskusję nad sensem artykułu 196 kk o obrazie uczuć religijnych. Według uzasadnienia wyroku ETPC obraza uczuć religijnych jest wtedy groźna dla porządku demokratycznego, gdy podżega do nietolerancji religijnej. W Polsce norma ta jest dużo szerzej interpretowana. ©℗

Symulowany Jezus

„JEŚLI NIE CHCECIE PSUĆ sobie zabawy spojlerami, nie czytajcie Biblii" – mówił redaktor kanału TV Gry, omawiając zapowiedź gry „I Am Jesus Christ" polskiego wydawcy PlayWay. Gracz wciela się w niej w Jezusa Chrystusa i uczestniczy w wybranych wydarzeniach Ewangelii. Będzie można więc rozmnożyć ryby, uzdrawiać ludzi czy wypędzać demony. Gra ma w tym roku trafić do graczy. Deweloper regularnie informuje o postępach w produkcji, a gracze w większości pozytywnie oceniają ujawniane materiały (zobacz niektóre na **powszech.net/gra**)

W odróżnieniu od CD Projektu PlayWay jest spółką szerzej nieznaną, co nie znaczy – niedoświadczoną. Przeciwnie, warta niemal 2 mld zł firma wydaje symulatory, w które m.in. na smartfonach grają miliony ludzi na całym świecie. W Polsce „symulator Jezusa" może wydać się pomysłem egzotycznym, ale np. w Stanach Zjednoczonych działa kilka parków rozrywki symulujących doświadczenie Ziemi Świętej. ©℗ PATRYK STANIK

PHILIP QUIRK / ALAMY / B&EW

O KULTUROWYM WYŚCIGU ZBROJEŃ pomiędzy kakadu żółtoczubymi *(Cacatua galerita)* a mieszkańcami Sydney donosi „Current Biology". Areną walki są pojemniki na śmieci, które te papugi lubią plądrować. Metoda ich otwierania rozprzestrzeniła się między ptakami drogą kulturową – jedne osobniki podpatrywały inne – co spotkało się z reakcją ludzi: mieszkańcy różnych dzielnic zaczęli stosować lokalne sposoby zabezpieczania pojemników (m.in. cegłówkami albo patykami). Skutecznych sposobów także najwyraźniej nauczyli się od sąsiadów. Papugi nie powiedziały jednak ostatniego słowa – już nauczyły się forsować niektóre z zabezpieczeń, wymuszając na ludziach kolejną reakcję. ©℗ ŁK

Lody, prawo i kupa śmiechu: co bawi naukowców

NAGRODY IG NOBLA, przyznawane za odkrycia naukowe, „które najpierw rozśmieszają, a potem zastanawiają", rozdano po raz 32. Zgodnie z tradycją wręczali je prawdziwi nobliści.

Co bawi naukowców? Czasem to samo, co dzieci. Ig Nobla z biologii przyznano za badania nad zatwardzeniem u skorpionów, a z historii sztuki – za opis przedstawień lewatywy na tradycyjnej ceramice Majów. No bo wiecie, kupa – ha ha!

Innym razem jest to po prostu solidna nauka, tylko mniej spektakularna niż nowy teleskop kosmiczny: ot, badania nad ludzkimi technikami manipulowania palcami gałką podczas otwierania drzwi – co pewnie szybko znajdzie zastosowanie w robotyce. Albo analiza, co właściwie jest dla mózgu najtrudniejsze w dokumentach prawnych: okazało się, że długie wtrącenia w środku zdania, które nadwyrężają naszą pamięć roboczą.

Jest też akcent polski. Grupa badaczy z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego dostała Ig Nobla z medycyny za wykazanie, że zwykłe lody są skuteczną metodą łagodzenia bolesnych skutków chemioterapii – zapobiegają zapaleniu śluzówki w ustach, jeszcze skuteczniej i przyjemniej od płatków lodu stosowanych czasem przez lekarzy. Działają zarówno wodne (sorbety), jak i mleczne. Tutaj już kompletnie nie rozumiem, co w tym „śmiesznego". Nobla im dać! © ŁL

Puste ramy w muzeach

KILKANAŚCIE MUZEÓW weźmie udział w kampanii „Puste Ramy". Zainicjowana przez MKiDN akcja przypomina o dziełach sztuki zagrabionych w czasie II wojny światowej „zarówno przez okupanta niemieckiego, jak i rosyjskiego" – podkreślał podczas konferencji prasowej w Wilanowie wicepremier Piotr Gliński. Liczbę zaginionych obiektów szacowano zaraz po wojnie na mniej więcej pół miliona, ich baza dostępna jest na stronie dzielautracone.gov.pl. Mimo że część eksponatów udało się odzyskać (ostatnio do Muzeum Narodowego we Wrocławiu wróciło zaginione po 1942 r. „Opłakiwanie Chrystusa" z warsztatu Lucasa Cranacha Starszego), los wielu wciąż pozostaje nieznany. Zdaniem MKiDN kampania może się przyczynić do ich odnalezienia.

Na podobny krok zdecydował się kilka lat temu dyrektor florenckiej Galerii Uffizi. W miejscu „Wazonu z kwiatami" Jana van Huysuma wywiesił jego czarno-białą kopię z napisem „skradzione", co przyspieszyło negocjacje w sprawie powrotu obrazu do placówki. W polskich muzeach zawisną nie kopie, tylko puste ramy i tablice przypominające o stratach. ©℗ MOCH

KULTURA W SKRÓCIE

ZBIORY

Pięć obrazów ze zbiorów Dulwich Picture Gallery – „Portret damy" Petera Paula Rubensa, „Madonnę z Dzieciątkiem" Antona van Dycka, „Rozmawiających wieśniaków na tle pejzażu z kościołem" Davida Teniersa Młodszego, „Sąd Parysa" Adriaena van der Werffa oraz „Żołnierzy grających w kości" Salvatora Rosy – można oglądać do 1 grudnia w Łazienkach Królewskich.

FINAŁY

Olga Tokarczuk po raz trzeci znalazła się na liście nominowanych do National Book Award. W 2018 r. była w finale konkursu z powieścią „Bieguni" w przekładzie Jennifer Croft, rok później nominację otrzymał przekład książki „Prowadź swój pług przez kości umarłych" autorstwa Antonii Lloyd-Jones, a tym razem jury doceniło „Księgi Jakubowe".

WYRÓŻNIENIA

Barbara Woźniak, autorka powieści „Niejedno", została laureatką Nagrody Literackiej im. Witolda Gombrowicza. Z kolei miesięczna rezydencja w Vence we Francji, gdzie w ostatnich latach życia mieszkał Gombrowicz, przypadła Mateuszowi Pakule, autorowi książki „Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję".

OBCHODY

Ponad 40 tys. osób odwiedziło w pierwszym roku działania nową siedzibę Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku. Placówkę otwarto 17 września 2021 r.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"
co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
www.tokfm.pl

TEMAT TYGODNIKA

BERNAT ARMANGUE / AP / EAST NEWS

KRÓLESTWO TEGO ŚWIATA

Wydaje się – a może nawet jest – nieprzystająca do nowoczesności. Do czego zatem używamy monarchii? Po pogrzebie Elżbiety II już wiadomo: aby zbiorowo przeglądać się w lustrze.

MARCIN ŻYŁA

Ludzie ustawiają się w wielokilometrowej kolejce, by w Pałacu Westminsterskim oddać hołd zmarłej królowej Elżbiecie II. Londyn, 14 września 2022 r.

Kolejka była długa na pięć mil. Zaczynała się w Westminster Hall, najstarszej części brytyjskiego parlamentu, której budowę tysiąc lat temu rozpoczął syn Wilhelma Zdobywcy. Przechodziła przez kilka dzielnic Londynu i kończyła w Southwark Park, dziś spokojnej dzielnicy mieszkaniowej na południowym brzegu Tamizy.

W latach 50. XX w., kiedy Elżbieta II zasiadała na brytyjskim tronie, było to jedno z najgłośniejszych miejsc w mieście. Znajdujący się tu port, do którego wtedy wpływały jeszcze statki pełnomorskie, odpowiadał za dużą część wymiany handlowej kraju. Przesuwając się w stronę Westminsteru, stojący w kolejce ludzie mijali kolejne symbole brytyjskości: stojące na drugim brzegu City wieżowce czy siedzibę wywiadu MI6, a więc także miejsce pracy fikcyjnego Jamesa Bonda.

Wszystko – historia i nowoczesność, realność i mity – spajało się tu w jedno. Brytyjczycy czekający całą dobę, aby przez chwilę pokłonić się przed trumną z ciałem królowej, oglądali w niej siebie.

Symbole

Tych 11 dni, które dzieliło śmierć królowej od jej pogrzebu, starannie zaplanowano już wiele lat temu. Ale nikt, nawet sama monarchini, która też nanosiła uwagi do ostatecznego scenariusza, nie mógł przewidzieć, do jakiej opowieści będą się odwoływać ci, którzy wezmą udział w uroczystościach.

Ta najczęściej przywoływana odnosiła się do jej wieku: panująca przez 70 lat królowa łączyła pokolenia Brytyjczyków, była „zastępczą" lub „drugą babcią", żywą kostką pamięci, zapewniała poczucie trwania, ciągłości, a dla niektórych może i sensu.

Ale jest też drugie wytłumaczenie fenomenu brytyjskiej monarchii, tym ciekawsze, że obejmuje nie tylko Elżbietę II. Anglicy, Szkoci, Walijczycy i Irlandczycy tworzą na Wyspach związek narodów, które oprócz wspólnej historii (także historii wojen) połączyły niezwykłe sprzeczności.

Usłyszałem kilka lat temu od jednego z londyńskich reżyserów i aktorów:
– Jedną z angielskich cech jest umiejętność specyficznej obserwacji rzeczywistości. Takiej, która zakłada równocześnie dystans i współodczuwanie. Umiemy zrobić krok w tył, spojrzeć na całość z perspektywy. Bez utraty empatii, ale i bez ryzyka, że percepcję zaburzą silne emocje. To jak w mojej branży: aktor musi obserwować postać i równocześnie ją grać.

Gdyby te słowa rozciągnąć na inne brytyjskie narody, okazałoby się, że ich dwa oblicza – empiryczne i mistyczne – nie wadzą sobie nawzajem, bardzo dobrze się uzupełniają. Świat baśni i wielkich opowieści jest dla wielu Brytyjczyków naturalny, stanowi część celtyckiego ↦

↦ dziedzictwa. Monarchia odgrywa w nim ważną rolę: dostarcza symboli.

Zmiana

To, co odróżnia brytyjską monarchię od innych, całkiem już fasadowych, to fakt, że zachowała zdolność do przemiany wraz z rzeczywistością.

Elżbieta II była najlepiej „udokumentowanym" człowiekiem XX wieku – tysiące zdjęć i nagrań pokazują niemal każdy tydzień jej dorosłego życia. Do tego stopnia, że naukowcy z uniwersytetu w Monachium posłużyli się jej orędziami bożonarodzeniowymi, aby ukazać przeobrażenia jej angielskiej wymowy i akcentu (zmieniły się na nieco mniej dystyngowane podczas dorosłego życia, aby w latach senioralnych powrócić, wzorem wielu ludzi, do wymowy wyuczonej w dzieciństwie).

Tylko kilka lat dzieliło *prosperity* londyńskiego portu na Tamizie – działającego w konserwatywnym kraju mężczyzn w tweedowych marynarkach – od „Love Me Do", pierwszego singla The Beatles (rok 1962) i rewolucji obyczajowej, która nastąpiła potem. Kilka dekad później zbyt dużą szybkością tej przemiany i wynikającą z niej nostalgią za starymi czasami tłumaczono m.in. dążenie do brexitu – ale podczas panowania Elżbiety II ujawnił się inny paradoks: to monarcha dostosowuje się dziś do społecznych rewolucji. Jest to w kontrze do opowieści o królach i królowych, na których wychowywała nas kultura: w bajkach – od tych dosłownych po fabularyzowane seriale w rodzaju „The Crown" – monarchowie z reguły mają moc sprawczą: jak powiedzą, tak jest.

Ostatnie dni, na Wyspach czas żałoby po Elżbiecie II, to również tysiące zdjęć i nagrań: wspominających ją Brytyjczyków, oraz rodziny królewskiej, gdzie uwaga mediów skupiła się na nowym królu i księciu Harrym.

Z tych fotografii akurat ta wydaje się niepozorna: przedstawia Karola III w uścisku dłoni z Aleksem Maskeyem, spikerem północnoirlandzkiego parlamentu w Belfaście, członkiem nacjonalistycznej partii Sinn Féin. Obok stoi wiceprzewodnicząca ugrupowania Michelle O'Neill. W czasie „The Troubles", okresu niepokojów w Irlandii Północnej, Maskey był dwukrotnie internowany za działalność antybrytyjską, a i dziś liderzy Sinn Féin – partii, która w maju pierwszy raz zwyciężyła w wyborach do lokalnego parlamentu – opowiadają się za zjednoczeniem Irlandii.

> Jeszcze kilka lat temu spodziewano się, że nowy król zrzeknie się tronu na rzecz syna. „Era Williama" będzie musiała jednak poczekać, a panowanie Karola III stopniowo przygotuje monarchię do większych zmian.

Grzeczne spotkanie monarchy z buntownikami, których, gdyby rzecz działa się jeszcze 200 lat temu, w najlepszym razie osadzono by w londyńskiej Tower, najlepiej pokazuje, że to bieg wydarzeń wymusza reakcję na brytyjskiej monarchii.

Rewolucja

Właśnie zjednoczenie Irlandii, a więc „odchudzenie" Zjednoczonego Królestwa, może zdominować panowanie Karola III – z brytyjskiego punktu widzenia to o wiele ważniejsze niż opuszczenie Unii Europejskiej. Ostateczne odejście Irlandczyków od Korony, zapoczątkowane sto lat temu secesją republiki, zamknie kilkusetletni rozdział historii królestwa, pełen krzywd wyrządzanych sąsiadom z zachodniej wyspy, o których dyskusja rozpoczęła się na serio zaledwie kilkanaście lat temu. Liderzy Sinn Féin – ugrupowania, które z racji swoich powiązań z Irlandzką Armią Republikańską jeszcze za rządów Margaret Thatcher było *de facto* uznawane za rzecznika terrorystów – rozmawiający z królem to zapowiedź trendu, który może naznaczyć jego panowanie: ostatniego etapu upadku dawnego brytyjskiego imperium.

Po misterium królewskiego pogrzebu i zapewne dość szybkich uroczystościach koronacyjnych Karola III Zjednoczone Królestwo czeka powrót do twardej rzeczywistości. Nowy król będzie pierwszym brytyjskim monarchą, który nie włada imperium. Wiele wskazuje na to, że w czasie jego siłą rzeczy niezbyt długiego panowania dokona się ostateczny rozpad. „Urealnienie" czeka Wspólnotę Narodów, luźny związek czternastu w większości byłych brytyjskich kolonii, z których kilka zapewne odrzuci brytyjskiego monarchę jako swoją głowę państwa (na dwa dni przed pogrzebem Elżbiety II o takiej możliwości wspominała premier Nowej Zelandii Jacinda Ardern).

Tegoroczny sondaż wskazuje, że tylko 21 proc. Kanadyjczyków chce pozostawienia monarchii, 41 proc. wolałoby wybierać formalną głowę państwa w wyborach powszechnych. I choć dwa lata temu Wspólnota Narodów zdecydowała, że jej kolejnym przywódcą będzie właśnie Karol (funkcja nie jest dziedziczna i słychać było głosy, że powinien ją sprawować jeden z szefów rządów) – mógł to być ostatni akt grzeczności w stosunku do Korony.

Król

Czy król, który traci imperium, może wciąż wygrywać? W naszych czasach – tak.

Karol III obejmuje tron w trudnym momencie: krótko po brexicie, w czasie gdy wojna w Ukrainie na nowo definiuje Zachód, a na jego rodzinie cieniem

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ELŻBIETA II: IKONA MONARCHII
Czytaj więcej w serwisie specjalnym o królowej
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/KROLOWA

kładą się związki księcia Andrzeja z nieżyjącym już przestępcą seksualnym Jeffreyem Epsteinem. Przez pierwsze tygodnie po śmierci swojej matki będą mu sprzyjały społeczne odczucia. Potem – w ciasnych ramach brytyjskiego ustroju, który pozbawił monarchę realnej władzy – będzie próbował pracować na sympatię narodu.

Inaczej niż Elżbieta II, konsekwentnie powstrzymująca się przed komentarzami na temat polityki, obecny król dotychczas chętnie dzielił się swoimi opiniami. W 2015 r., po zgodzie sądu, dziennik „The Guardian" ujawnił serię notatek, które dekadę wcześniej ówczesny książę Walii wysyłał ówczesnym ministrom i premierowi Tony'emu Blairowi. Określane jako „Black Spider Memos" („uwagi czarnego pająka", od trudnego do rozszyfrowania pisma ręcznego Karola), zawierają uwagi i propozycje dotyczące wielu tematów, od wojny w Iraku po medycynę alternatywną. Jeszcze w tym roku Karol opublikował gościnny felieton w „Newsweeku", a w 2012 r. wydał książkę na temat zrównoważonego rozwoju i ochrony środowiska. Niezależnie od poziomu tych publikacji, widać, że król różni się temperamentem od Elżbiety.

W 2018 r. w wywiadzie dla BBC Karol zapowiedział, że ma świadomość, iż z chwilą objęcia tronu będzie musiał wycofać się z publicystyki. „Te dwie sytuacje – mówił, odnosząc się do panowania Elżbiety II i swojego – są zupełnie inne", zapytany zaś wprost, czy będzie kontynuował swój książęcy aktywizm, odpowiedział: „Nie jestem aż tak głupi". Ale w sprawach, którym patronował od lat, trudno mu będzie milczeć.

Jeszcze w 1994 r. zapowiedział, że tradycyjnie przynależny brytyjskiemu monarsze (jako zwierzchnikowi Kościoła Anglii) tytuł „Obrońcy Wiary" chciałby zamienić na „Obrońcę [wielu] Wiar", aby pokazać w ten sposób różnorodność brytyjskiego społeczeństwa. Kilka miesięcy temu 100 tys. Kenijczyków wystosowało petycję do królowej z żądaniem przeprosin i reparacji za krzywdy, które ich kraj doznał od Brytyjczyków podczas ery kolonialnej. Wrażliwość Karola III może okazać się dużo bardziej współczesna – choć także decyzje o ewentualnych odszkodowaniach czy zwrocie dóbr kultury z British Museum będzie podejmować rząd. Królowi pozostaną gesty. I one są jednak ważne: monarchia odpowiada za dużą

GARETH CATTERMOLE / GETTY IMAGES

Trumna z ciałem i koroną królowej Elżbiety II w opactwie westminsterskim. Londyn, 19 września 2022 r.

To właśnie monarchia odpowiada dziś za dużą część brytyjskiej *soft power* i dla interesów Londynu okazuje się równie przydatna jak dla Amerykanów Hollywood.

część brytyjskiej *soft power* i dla interesów Londynu okazuje się równie przydatna jak dla Amerykanów Hollywood.

Jeszcze kilka lat temu, na fali popularności nowego małżeństwa księcia Williama i księżnej Kate, nieco makabryczne kalkulacje zwolenników monarchii brały pod uwagę, że po śmierci Elżbiety II 76-letni Karol zrzeknie się tronu na rzecz syna – a monarchia zyska „drugą młodość" i wzrośnie jej popularność wśród młodych Brytyjczyków. „Era Williama" będzie musiała jednak poczekać, a panowanie Karola III stopniowo przygotuje monarchię do większych zmian. W przeszłości Karol zapowiadał też „odchudzenie" rodziny królewskiej poprzez ograniczenie liczby oficjalnych tytułów. Jego opinia miała mieć decydujący wpływ na zaprzestanie używania przez księcia Andrzeja tytułu „jego królewska mość" i wycofanie się z życia publicznego po ujawnieniu skandalicznych związków z Epsteinem.

Kontra

Kolejka do Westminster Hall, gdzie przez kilka dni spoczywała trumna z ciałem Elżbiety II, rozeszła się w poniedziałek wcześnie rano. Na długo przed początkiem mszy żałobnej w niedalekim opactwie westminsterskim zaczęli się gromadzić goście: głowy państw, szefowie rządów, członkowie rodzin królewskich – w sumie 2 tys. osób. Powóz z trumną królowej – ten sam, którego użyto podczas pogrzebu Jerzego VI, ojca Elżbiety – przeciągnęło do opactwa 142 marynarzy Royal Navy. Szkocki dudziarz, ten sam, który codziennie w Windsorze budził Elżbietę, pożegnał monarchinię po skończonej mszy.

– Brytyjczycy zawsze mieli pewien rodzaj „zaufania do historii", przekonania, że ich stare, stabilne instytucje, które w przeszłości wiele razy przechodziły próbę, dadzą radę i teraz – wyjaśniał mi kiedyś trwałą wiarę w siłę swojego państwa jeden z brytyjskich historyków. – W wieku XX nie przeżywali tak wielkich tragedii jak te, które były udziałem Polaków. To jest ciągle bardzo otwarte społeczeństwo. Dobrze integrujące kolejne pokolenia imigrantów. Za kilka lat w życie zawodowe wejdą dzieci Polaków, którzy przyjechali tu zaraz po wstąpieniu do Unii. Są młodymi Brytyjczykami, lecz spadkobiercami dwóch kultur.

Była to pierwsza od XVIII w. msza pogrzebowa monarchy w opactwie westminsterskim (w 2002 r. żegnano tu także królową matkę). W samo południe na dwie minuty Wyspy zamilkły. Niedługo później procesja żałobna przeszła przez The Mall, obok Pałacu Buckingham, aby przy Łuku Wellingtona pożegnać Londyn. Pogrzeb miał się odbyć w kaplicy św. Jerzego na zamku w Windsorze.

Tak skończyło się wielkie przedstawienie, które musiało się odbyć, choć monarchia, nawet ta brytyjska, wydaje się coraz mniej przystawać do współczesności. Może jednak także do tego służą nam królowe i królowie – aby raz na jakiś czas zagrać w kontrze do rzeczywistości.

©℗ MARCIN ŻYŁA

Królowie są wieczni

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

W ceremonii królewskiego pogrzebu pobrzmiewają echa rytuałów znacznie starszych niż średniowieczne. Są one próbą odpowiedzi na wielkie wyzwanie ludzkości: jak zbudować coś trwalszego niż jednostka?

Kazimierz Wielki zmarł, nie doczekawszy się męskiego potomka. Nawet tę katastrofalną dla dynastii Piastów okoliczność potrafił jednak obrócić na swoją korzyść. W zamian za wsparcie polityczne i militarne zaoferował przejęcie tronu polskiego Ludwikowi, królowi Węgier. Kiedy wreszcie Kazimierza powaliły komplikacje związane ze źle leczonym złamaniem nogi, zaprzyjaźniony monarcha czekał już w blokach startowych, gotów na przejęcie korony. (Właściwie to szykował się do tego za każdym razem, gdy Kazimierz poważniej chorował. Co najmniej raz rozpoczął już nawet rozmowy w tej kwestii z poddanymi polskiego króla.)

Nowa sytuacja nie wszystkim przypadła do gustu. W kronice Janka z Czarnkowa czytamy, że polscy dworzanie bardzo obawiali się nowego władcy i nowych porządków. Bali się, że „cudzoziemiec na króla wyniesiony, który będzie chciał postępować podług obyczajów swojego narodu, będzie usiłował zmienić obyczaje i zwyczaje Polaków, nieznanych tutaj rodaków swoich wyniesie ponad ludzi miejscowych i tym sposobem dążąc do zniweczenia praw i swobód Polaków, wywoła ku sobie nienawiść tudzież waśnie wzajemne, ci zaś, którzy mieli prawo do tronu, będą dążyli do odzyskania dziedzictwa swych przodków”.

Polacy zdecydowali się na zaskakujący krok. Choć z naszej perspektywy wydaje się w zasadzie niewinny, w średniowiecznych wyobrażeniach stanowił bardzo poważne wyzwanie rzucone nowemu władcy. Szybko pochowali Kazimierza, nie czekając na przybycie następcy. Niewiele wiemy o tym pogrzebie. Zapewne był to prosty pochówek, zgodny z piastowskimi rytuałami.

Kiedy Ludwik dotarł na miejsce, nie był zachwycony. Możemy to wywnioskować z rozmachu, z jakim zorganizował... ponowny pogrzeb poprzednika. Wspomniany Janko z Czarnkowa poświęca ceremonii sporo uwagi. We wszystkich kościołach krakowskich odprawiono egzekwie w obecności nowego króla, biskupów, książąt i wielkiej ilości szlachty. Przez miasto wyruszył kondukt. Na czele znajdowały się cztery wozy, każdy zaprzęgnięty w cztery piękne konie, wszystko przybrane bogatym czarnym suknem. Za wozami czterdziestu konnych rycerzy w pełnych zbrojach, za nimi jedenastu niosących chorągwie księstw oraz dwunasty, z chorągwią Królestwa Polskiego. Każdy z nich miał tarczę z odpowiednim znakiem.

Trzech królów

Dla kogoś, kto tak jak ja zawodowo zajmuje się znakami i zbiorową wyobraźnią, taki pogrzeb to prawdziwa gratka. Ale nie trzeba być semiotykiem, żeby domyśleć się sensu tych wszystkich symboli. Jak wielokrotnie podkreślał Umberto Eco – średniowiecze było epoką znaków. Za pomocą obrazów, gestów i rytuałów przedstawiano wówczas szerokiej publiczności zawiłe kwestie religijne, polityczne i prawne.

Jeźdźcy i chorągwie to oczywiście symboliczny wyraz jedności w wielości. Podczas procesji obserwujemy też przegląd stanów. Ale dalej sytuacja robi się nieco bardziej skomplikowana. Oto bowiem na końcu żałobnego konduktu, za wszystkimi duchownymi, dworzanami i licznymi darami, które w trakcie pogrzebu rozdawano, podążało aż trzech królów. Niesiony na marach martwy Kazimierz, jego następca Ludwik, a także tajemnicza postać na szczególnie pięknym koniu, pokrytym purpurą. Rycerz z zasłoniętą twarzą odziany był w złocistą szatę królewską i miał na sobie wszystkie stosowne insygnia. Kim był?

Trzeci król symbolizował abstrakcyjną instytucję monarchy. Byt, który pozostaje żywy, nawet kiedy umiera ten czy inny utożsamiony z nim człowiek. W ten sposób Ludwik, który wbrew przydomkowi „Węgierski” pochodził z francuskiej dynastii Andegawenów, zaszczepił na polskim gruncie zachodnią formę średniowiecznych pogrzebów królewskich oraz ideę, że korona może być trwalsza nie tylko niż jednostkowe życie, ale nawet niż dynastia.

W tym celu niezbędne było spotkanie trzech królów – umarłego, żywego i wyobrażonego. To właśnie dlatego Ludwik nie poprzestał po prostu na odwiedzeniu grobu poprzednika, ale zdecydował się na powtórny pogrzeb.

Chaos i ciągłość

Każda śmierć jest końcem świata, ale śmierć monarchy to wyzwanie o charakterze kosmicznym. O ile odejście jednostki wywraca do góry nogami świat jej najbliższych, zgon władcy staje się groźbą dla całej wspólnoty. Czy ziemie i ludy zjednoczone charyzmą władcy albo jego militarną skutecznością, miłością do ko-

BEN STANSALL / AFP / EAST NEWS

Katafalk z trumną królowej Elżbiety II wystawiony w hallu Pałacu Westminsterskiego. Londyn, 14 września 2022 r.

rony albo (częściej) strachem przed nią pozostaną scalone po śmierci zdobywcy? Śmierć władcy otwiera szczelinę, przez którą do świata wtargnąć może chaos. Wojna o sukcesję, secesje podbitych regionów, rozpad państwa. Za wojną zaś podążają głód i zarazy. Jeden władca to jeden podatek i jeden zaciąg do wojska. Emancypacja lokalnych kacyków i niekończące się spory o każdą dolinę, łąkę, każde pole to koszmar gorszy od najgorszego tyrana.

Nic dziwnego, że średniowiecze miało prawdziwą obsesję na punkcie śmierci władcy. Jako najgorszą katastrofę antycypowali ją, przeżywali i wspominali prości chłopi i bogacze, jej problematyka zaprzątała umysły wybitnych teologów i prawników.

Te rozważania przytacza urodzony w Poznaniu niemiecki historyk Ernst Kantorowicz w klasycznej już monografii „Dwa ciała króla". Tym razem nie chodzi jednak o ciało zmarłego monarchy i ciało jego żywego następcy. Drugim ciałem jest korporacja – wspólnota ludzka i organizm prawny trwalszy niż życie jednostki (to słowo brzmi dla współczesnego czytelnika znajomo, ale kojarzy się z czymś całkiem innym; wrócimy do tego za chwilę). Średniowieczni prawnicy stworzyli „ideę wiecznotrwałości całego ciała wspólnotowego (głowy wraz z członkami), jak i tworzących je poszczególnych części" – czytamy u Kantorowicza. Głową tego bytu politycznego i prawnego był, oczywiście, monarcha. Głowa, niczym w prawdziwym ciele, miała kluczowe znaczenie, bo „jej brak mógł uczynić całe ciało korporacyjne niekompletnym lub niezdolnym do działania". Trzeba było więc zapewnić, że polityczne ciało nie zostanie zdekapitowane.

Możemy odszukać jeszcze głębsze źródła takiego myślenia i ceremonii z nim związanych. Henry Sumner Maine, jeden z klasyków antropologii, uczynił ich poszukiwania przedmiotem swojej rozprawy „Ancient Law" („Prawo starożytne"). Choć jego ewolucjonistyczne podejście do kultury i swobodny stosunek do źródeł są dziś przedmiotem krytyki, główna idea zawarta w „Ancient Law" inspirowała kolejne pokolenia badaczy, w tym wspomnianego Kantorowicza.

„Korporacja nie umiera nigdy" – to zdanie powraca w książce Maine'a jak mantra. „Śmierć jednostki nie wpływa bowiem na kolektywną egzystencję zbiorowego ciała". W przypadku monarchii najważniejszy aksjomat brzmi zatem według „Ancient Law": „król nie umiera nigdy, jest bowiem korporacją sole", a więc jednoosobową korporacją. Jego urząd jest natychmiast obejmowany przez następcę.

Tak długo, jak relacje międzyludzkie oparte są na jednostkowej charyzmie, miłości, sile czy wierności, ich konfiguracje będą zmieniać się za każdym razem, gdy wymianie ulega jeden z tworzących grupę elementów – pisze Maine. Śmierć jednostki oznacza wówczas konieczność rekonfiguracji całego układu. Dlatego właśnie niezbędna jest eksternalizacja – przeniesienie reguł z płaszczyzny międzyludzkiej na bardziej abstrakcyjną. Zemsta ustępuje miejsca prawu (o tym procesie pięknie opowiada Ajschylosowa „Oresteja"), strach przed siłą zmienia się w poszanowanie instytucji władzy, jednostkowa sprawczość cedowana jest na coraz bardziej abstrakcyjną instytucję państwa. Stopniowo rodzi się opiewany przez Thomasa Hobbesa Lewiatan – potwór powstały z połączonych ludzkich mocy, któremu każdy z nas oddaje cząstkę swojej wolności w zamian za zapewnienie bezpieczeństwa. W ten sposób unikamy „wojny wszystkich przeciw wszystkim".

Dziwaczne rytuały monarchii okazują się fundamentem, na którym zbudowaliśmy oświeceniową, racjonalną koncepcję państwa narodowego.

Coca-Cola jak monarchia

W ten sposób odkrywamy ścieżkę prowadzącą od prastarych noworocznych obrzędów, w których władca symbolicznie powtarza boski akt stworzenia świata, przez średniowieczne pogrzeby królewskie, aż do współczesności. Bo przecież i my na co dzień mierzymy się z wyzwaniem podtrzymania instytucji trwalszych niż jednostkowe ludzkie życie. Można wręcz powiedzieć, że dziś wyzwanie to stało się ważniejsze niż kiedykolwiek. Im szybciej zmienia się świat wokół nas, im gęściej splecione są nici międzyludzkich zależności, tym bardziej paląca okazuje się ta potrzeba. Choć mogłoby się wydawać, że jest przeciwnie, postęp i globalizacja wcale nie unieważniły potrzeb leżących u źródeł ceremonii królewskiego pogrzebu. ↦

PATRICK VAN KATWIJK / GETTY IMAGES

Król Karol III i jego syn, książę Walii William, idą za trumną królowej Elżbiety II w procesji z Pałacu Buckingham do Pałacu Westminsterskiego. Londyn, 14 września 2022 r.

Większości z nas słowo „korporacja" raczej nie kojarzy się z meandrami średniowiecznej filozofii prawa, lecz z Coca-Colą, Google albo Apple. Warto sobie uświadomić, że zostały one powołane w zasadzie w tym samym celu. Spółka akcyjna, podobnie jak średniowieczny monarcha, jest osobą prawną, której zadaniem jest trwała synchronizacja wysiłków, planów i oczywiście kapitałów wielu jednostek. Przodkami współczesnych korporacji są rozwiązania prawne takie jak wenecka commenda – forma prostej spółki, w ramach której kapitan gwarantował statek i umiejętności, a bogaty kupiec towar. Po udanej wyprawie zysk z przedsięwzięcia dzielono.

W momencie, w którym przedsiębiorcy zaczęli podejmować gigantyczne przedsięwzięcia dalece wykraczające poza możliwości finansowe i operacyjne nawet kilku zamożnych ludzi, konieczne stało się powołanie do życia nowego bytu, w ramach którego wielu akcjonariuszy zrzucałoby się wspólnie na realizację inwestycji.

Już osiemnastowieczni prawnicy, filozofowie i legislatorzy zdali sobie sprawę, że taka forma organizacji powołuje do życia potężny byt, przerastający zdolności ludzkiej kontroli, którego jedynym celem będzie bogacenie się. W Wielkiej Brytanii powoływania do życia tak rozumianych korporacji zabroniono już w roku 1720. XIX wiek to renesans korporacji związany w znacznej mierze z kolonializmem oraz budową infrastruktury, głównie kolei. Początkowo, z nielicznymi wyjątkami, wolno je było powoływać do życia jedynie na określony czas, dla realizacji konkretnego przedsięwzięcia. Następnie akcjonariusze odbierali swój zysk (albo przełykali stratę) i rozchodzili się do domów.

Z dekady na dekadę w kolejnych krajach korporacje zaczęły jednak uzyskiwać coraz większą swobodę działania (prym wiodły tu Stany Zjednoczone). Kluczowa dla ich rozwoju okazała się zgoda na to, by jedne korporacje kupowały akcje innych. To dzięki temu na przełomie XIX i XX wieku następuje proces błyskawicznej ich konsolidacji. A w miarę jak korporacje rosną, maleje znaczenie poszczególnych akcjonariuszy, zwiększa się za to podmiotowość samego bytu prawnego.

Korporacje mogą podbijać, podpisywać pakty, rozwijać swe dominia. Przede wszystkim zaś – nie umierają. Śmierć nawet najbardziej charyzmatycznego CEO albo wymiana (zwykle z gigantyczną odprawą) członków rady nadzorczej nie oznacza końca korporacji. W ten sposób wielkie spółki giełdowe stają się czymś na wzór współczesnych monarchii.

Archetyp i marka

Warto zadać w tym kontekście pytanie o relację odwrotną. Czy współczesne monarchie nie upodabniają się czasem do korporacji? Z punktu widzenia semiotyki brytyjska rodzina królewska jest dziś potężną franczyzą kulturową żyjącą nie tylko z podatków i posiadanych włości, ale też z umiejętnego monetyzowania własnego wizerunku – dokładnie tak, jak robi to Disney ze swoimi księżniczkami.

W marketingu dużą popularnością cieszy się dziś teoria archetypów skodyfikowana przez Margaret Mark i Carol Pearson w książce „The Hero and the Outlaw" („Bohater i banita"). Mark i Pearson przekonują, że skuteczne budowanie marki polega na trwałym powiązaniu jej z którymś z dwunastu archetypów, czyli wzorców osobowych, znanych nam z baśni, mitów i hollywoodzkich przebojów.

Jednym z archetypów jest władca. „Władca wie, co czynić, żeby uniknąć chaosu i przejąć kontrolę" – czytamy w „The Hero and the Outlaw". To archetyp symbolizujący nasze pragnienie ładu, stabilności i trwałości. Reprezentują go dziś topowe marki bankowe, ale też producenci luksusowych samochodów czy zegarków. Wszyscy ci, których domeną jest wyznaczanie wzoru, niedoścignionego ideału i dawanie poczucia stuprocentowej pewności i bezpieczeństwa. Nie będzie zaskoczeniem, że wiele z tych marek w swojej komunikacji w otwarty sposób nawiązuje do idei „królewskości" i do symboli władzy monarszej.

Interesujące pytanie brzmi: czy monarchia brytyjska nie jest dziś najważniejszą marką wykorzystującą w swojej komunikacji archetyp władcy? Władcą władców, wzorem dla innych marek? Kilka lat temu Brandirectory, organizacja zajmująca się wyceną marek, opublikowała raport, w którym monarchię brytyjską jako markę wyceniono na niemal 80 miliardów dolarów. To dużo. Wciąż mniej niż najdroższe marki świata (Apple według tej samej metodologii wyceniane jest na 355 mld), ale monarchia mieści się wśród najpotężniejszych graczy. Warto pamiętać, że jest to wycena uwzględniająca nie dochody, straty czy posiadane dobra, lecz „kapitał symboliczny" – wartość logo, nazw produktów, a w przypadku dworu królewskiego – twarzy, nazwisk, obrazów ikonicznych budynków. To taka finansowa miara przywiązania konsumentów na całym świecie. W interesującym nas przypadku być może także miara ich lęku przed chaosem i pragnienia porządku.

Głowa i korona

Zamykając nasze rozważania nad związkiem królewskich pogrzebów z poczuciem ciągłości i bezpieczeństwa, warto się odnieść jeszcze do jednej ważnej kwestii. Święta zasada „umarł król, niech żyje król” zyskiwała najbardziej dosłowny wymiar w akcie królobójstwa. Trudno o czytelniejszy sposób transmisji niż zabicie starego władcy przez młodego pretendenta.

Problem śmierci władcy i zapewnienia ciągłości stał się jednym z klasycznych zagadnień antropologii po publikacji rozprawy Jamesa George’a Frazera „Złota gałąź”. Książkę otwiera opowieść o losach króla-kapłana z niepokojem wyglądającego śmierci z rąk następcy. „Aby objąć stanowisko, musiał zgładzić swego poprzednika, a urząd po nim piastował do chwili, gdy sam ginął z ręki następcy silniejszego i bardziej przemyślnego” – czytamy u Frazera. „(...) ludy pierwotne niekiedy wierzą, iż bezpieczeństwo ich, a nawet bezpieczeństwo świata związane jest z życiem jednego z tych bogów-ludzi, względnie ludzkich wcieleń bóstwa. Ale żadna opieka, żadne środki ostrożności nie mogą zapobiec starzeniu się człowieka-boga i wreszcie jego śmierci. (...) Jest tylko jeden sposób na uniknięcie tego niebezpieczeństwa. Człowiek-bóg musi zostać zabity, gdy tylko pojawią się oznaki, że siły zaczynają go opuszczać, a duszę jego trzeba przenieść w energicznego następcę, zanim zagrażający rozkład ją uszkodzi”.

> Królowie symbolizują nie „stary porządek”, lecz porządek w ogóle. Jego przeciwieństwem są chaos, rozkład i śmierć.

„Godność nigdy nie ginie, chociaż jednostki umierają każdego dnia” – podsumowuje to zagadnienie Frazer. Polityczna nieśmiertelność monarchii była w ten sposób zręcznie powiązana z kruchością poszczególnych monarchów.

Swoją drogą, było to wyzwanie, przed którym stawali rewolucjoniści od czasów oświecenia. Skoro królobójstwo (w wersji symbolicznej lub dosłownej) leży u podstaw „sztafety” konstytuującej ideę monarchii, to jak uśmiercić monarchię? Jak zabić władcę tak, by nie stworzyć politycznej pustki, którą natychmiast zajmie następca? W jaki sposób, by posłużyć się słynnymi słowami Olivera Cromwella, „obciąć głowę razem z koroną”? Odpowiedzią na to wyzwanie był przerażający publiczny teatr polityczny rewolucji francuskiej – skomplikowane rytuały będące swoistym odwróceniem ceremoniału koronacyjnego.

Nieśmiertelni

We współczesnych dyskusjach o monarchii, na przykład brytyjskiej, często utożsamia się ją z wartościami konserwatywnymi. Królowa rzekomo ucieleśniała stare przeciw nowemu, tradycję przeciwstawianą postępowi. Jednak w kontekście rytuałów takich jak pogrzeby królewskie jest to myślenie anachroniczne. W czasach, gdy te zwyczaje i instytucje powoływano do życia, świata w ogóle nie opisywano w kategoriach starego i nowego. Postrzegano go zasadniczo jako niezmienny. Rzeczywistości nie dało się „ulepszyć”, aż do oświecenia idea postępu w zasadzie nie funkcjonowała. Królowie symbolizowali nie „stary porządek” czy „stare dobre czasy”, lecz porządek w ogóle. Jego przeciwieństwem nie była nowoczesność albo zmiana, lecz chaos, rozkład i śmierć.

W tym sensie królewskie koronacje i pogrzeby były i wciąż są wydarzeniami z tego samego porządku, co następstwo pór roku. Królowie są wieczni. Nie dlatego, że nie umierają. Przeciwnie. Śmierć króla jest drogą do nieśmiertelności monarchii.

A nawet gdy wyrzekniemy się monarchii, gdy za pomocą potężnych rytuałów złożymy do grobu ostatniego króla wraz z koroną, prastare rytuały, które władcy ci ucieleśniali, pozostaną z nami. Bo chaos cały czas czai się tuż za granicą ludzkiej rzeczywistości.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Reguły wojny

Kończąc w synagogach szabatowe modły za Polskę i za Izrael, społeczność żydowska – z nadzieją na rychłe ziszczenie się tego proroctwa – wypowiada słowa Izajasza: „I przekują miecze swoje na pługi, a włócznie swoje na sierpy. Nie podniesie naród przeciw narodowi oręża, i nie będą ćwiczyć się nadal do boju" (Iz 2, 4; Cylkow). Od ponad dwustu dni słowa te rezonują w szczególny sposób. Niektóre wspólnoty postanowiły dać temu wyraz, dodając do tej części nabożeństwa modlitwę za Ukrainę.

Nawet jeśli ktoś ze społeczności uważa, że Azerbejdżan ostrzeliwuje Armenię „daleko od nas", a walki toczące się za naszą wschodnią granicą już mu spowszedniały, odczytywany publicznie Pięcioksiąg Mojżesza nie pozwoli mu o konfliktach zbrojnych zapomnieć. Nie tylko poprzez przypominanie o stoczonych przez Izraelitów bitwach bądź mówienie o nieuchronności podjęcia działań militarnych po wejściu do ziemi obiecanej. Tora porusza też kwestie ogólne związane z prowadzeniem wojny.

Przyjrzyjmy się więc, jakie reguły bitewne mają obowiązywać Dzieci Izraela w barbarzyńskich czasach zamierzchłej starożytności. Znajdujemy je przede wszystkim w 20. rozdziale Księgi Powtórzonego Prawa. W ramach przygotowania do walki jako pierwszy przemawia do zbrojnych hufców kapłan. Może to moja nadinterpretacja, ale jego rola kojarzy mi się z funkcją kapelana wojskowego. Kiedy odprawi on swój rytuał, głos zabierają „przełożeni ludu", by wyłowić tych, którzy winni być zwolnieni z udziału w walkach. „Jeżeli jest który, co zbudował dom nowy, a nie obnowił go... Albo jeżeli jest który, co zasadził winnicę, a nie użytkował z niej... Albo jeżeli jest który, co zaślubił kobietę, a jeszcze jej nie pojął, niechaj pójdzie, a wróci do domu swego, by nie zginął na wojnie" (Pwt 20, 5-7). Ci mężczyźni zainwestowali w przyszłość, ale nie zasmakowali jeszcze owoców swego trudu. Co się z nimi dzieje? Tu czytamy tylko, że mają wrócić do domu, a resztę odnajdujemy w pierwszej części Talmudu: są zobowiązani do dostarczania armii prowiantu i winni się też zająć naprawą dróg. Czyli nie zwalnia się ich całkowicie z odpowiedzialności za kraj, lecz mają robić to, co potencjalnie nie naraża ich na utratę życia.

Kolejnym krokiem przełożonych jest odesłanie do domu „bojaźliwych i lękliwego serca". Nie każdy nadaje się do walki, a obecność takich osób wśród żołnierzy niechybnie źle wpłynie na morale armii. Kolejna zasada zdumiewa: nie wolno wycinać drzew owocowych należących do obleganego miasta. Ktoś myślał wtedy o deforestacji? W kolejnym czytaniu znajdziemy jeszcze zakaz gwałcenia wojennych branek. Czyżbyśmy mieli do czynienia z międzynarodową konwencją humanitarną?

Pozostaje zapytać: i kto tu jest prymitywnym barbarzyńcą? ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Nabożne łakomstwo

Drugi tydzień prorok Amos potrząsa naszymi sumieniami: „Biada beztroskim na Syjonie i pewnym siebie na górze Samarii; przywódcom pierwszego z narodów, których słucha dom Izraela. (...) Leżą na łożach z kości słoniowej i wylegują się na posłaniach, jedzą jagnięta z trzody i cielęta z zagrody wybrane. Fałszywie śpiewają przy dźwiękach harfy, wymyślają sobie instrumenty muzyczne, jak Dawid. Piją wino z wielkich kielichów, najlepszymi olejkami się namaszczają i nie martwią się wcale upadkiem domu Józefa. Dlatego pójdą na czele wygnańców i skończy się ich swawola. Ogrom kary Pan Bóg przysiągł na swoje życie. Wyrocznia Pana, Boga Zastępów". Straszne, ale od czego mamy rozum, wynaleźliśmy więc sprytny sposób, by prorocką mowę gładko puścić mimo uszu. Wystarczy te gorzkie słowa odnieść nie do siebie, ale do innych i przez nie popatrzeć nie na siebie, ale na nich, i od razu robi się człowiekowi lepiej. Przecież w najgorszym przypadku inni wcale lepiej ode mnie nie wyglądają, a nawet grzeszą ciężej ode mnie. Bóg jednak robi swoje i swojemu ludowi nie zaprzestaje wysyłać proroków. Jednym z nich jest święty Jan od Krzyża.

W jego słynnej „Nocy ciemnej" czytamy, że wielu chcących żyć po chrześcijańsku, w zgodzie z ascetyczną tradycją Kościoła, zaraz na samym początku drogi nawrócenia „ulega wielkiemu łakomstwu duchowemu". Że tak się dzieje, można poznać po tym, iż: „Często są niezadowoleni i skarżą się, że nie znajdują w rzeczach duchowych takiej pociechy, jakiej by pragnęli". Chcąc ten duchowy głód zaspokoić tak, jak sobie to wymarzą i wyobrażają, czytają, co im tylko do ręki wpadnie – mówi Jan od Krzyża – „gromadzą osobliwe obrazy i różańce (...) przywiązują się do tego krzyża, bo jest odmienny od innych. Ujrzycie ich obwieszonych agnuskami, relikwiami, imionami świętych, jak dzieci, które ozdabiają się świecidełkami". Dalej Jan mówi, że to łakomstwo, karmiące się chciwością, pobudza do zazdrości, ale też rozleniwia, by idący tą drogą popadli w pychę duchową, znaczy się nabożną, religijną nieczystość. Tymczasem prawdziwa chrześcijańska doskonałość polega na tym, że chce się „zadowolić Boga, a nie siebie samego".

To dlatego nie lubimy w kościele ciszy. Weźmy mszę i wezwanie: „Módlmy się!". Na tym samym oddechu zaczynamy: „Wszechmogący, wieczny Boże" itd. Na początku mszy wzywamy do rachunku sumienia, ale na jego zrobienie nie dajemy sobie czasu. Od razu zaczynamy: „Spowiadam się Bogu wszechmogącemu...". Po kazaniu podobnie, od razu „leci" Credo. Boimy się ciszy, gdyż nie daj Boże Bóg dopcha się do głosu i co wtedy? Wtedy może się okazać, że Ewangelia nie jest „słodką kołysanką", a Bóg słodkim pocieszycielem, dostarczycielem miłych wrażeń. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Podwyższenie Krzyża

„Jeśli kto chce iść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech co dnia bierze krzyż swój i niech mnie naśladuje” (Łk 9, 23). Wszyscy synoptycy odnotowali to wypowiedziane w Cezarei Filipowej wezwanie Jezusa do podwyższenia swojego krzyża, ale tylko Łukasz zapisał, że chodzi o podwyższenie swojego krzyża codziennie.

Wiemy dobrze, że Jezus nie nakłada na nas nigdy ciężarów, których najpierw sam nie nosi. Pojawia się więc pytanie o Jego krzyż codzienny (byśmy nie redukowali Jego krzyża do jednorazowego heroizmu z Wielkiego Piątku). Co to było? Nazaret? Trzydzieści lat życia ukrytego, ubogiego, na „ostatnim miejscu”, w osadzie, z której „nie pochodzi nic dobrego”? A może Kafarnaum? Bezdomność? Mieszkanie u ucznia (u Szymona Piotra), bez własnego miejsca? Bez rodziny? A może bardziej trudy misji? Wędrówka? Dni wypełnione pracą? Bez wypoczynku? Nie. Przecież wszystko to sam wybrał. W wolności. Jaki więc był codzienny Krzyż Pana?

Od czterdziestu lat (od czasów seminaryjnych) myślę, że objaśnia go werset Psalmu: „(Niech będzie błogosławiony) Bóg, który nas dźwiga co dzień – zbawienie nasze” (Ps 68, 19). To ja; to my jesteśmy codziennym krzyżem Boga – ci, których kocha (i dla których przyjął ubóstwo Nazaretu, bezdomność Kafarnaum, pracę bez wytchnienia i śmierć na szubienicy). Takimi się Mu nieraz okazujemy.

Piotr okazał Mu się krzyżem, gdy się Go trzykrotnie wyparł, albo gdy Go napominał, nic nie rozumiejąc; Jan i Jakub – gdy pchali się na pierwsze miejsca, albo gdy chcieli spalić samarytańską wioskę; Judasz – nie tylko gdy Go zdradził, ale także wcześniej, gdy Go okradał – mając zlecony trzos; ukochana rodzina – gdy przyszła Go powstrzymać, myśląc, że stracił rozum; Jego ziomkowie z Nazaretu – gdy pierwszego dnia Jego publicznej działalności chcieli Go zabić.

Ostatecznie tym, co nas boli, zawsze są ludzie: nie choroba, lecz ludzie, którzy nas w niej zostawili samotnymi; nie praca, tylko ci, którzy pracę traktują jak pole bitwy, marnują nasz wysiłek, lekceważą go itd.; nie brak domu, tylko brak osób, które go tworzyły... Krzyżem są kochani przez nas ludzie, którzy naraz pokazują się nam jako krzyż. By z nimi dalej być, musimy się zaprzeć samych siebie.

Jezus wzywa do wywyższenia tego Krzyża. Dlaczego? Gdy się nam objawiają jako krzyż, natychmiast patrzymy na nich „z góry”. Z wysokości swojej krzywdy odnosimy do nich osąd, potępienie, pretensję. Kochamy ich, ale nas zawiedli: mniej – bardziej; w rzeczach poważnych, mniej poważnych; po raz pierwszy, siódmy, siedemdziesiąty siódmy; ze świadomością, bez świadomości, w najlepszych intencjach. Jezus mówi, że potrzebujemy postawić ich wyżej od siebie – ponad swój ból, racje, zdanie. Zaowocuje to w nas przebaczeniem, cierpliwością, zrozumieniem. Przemieni kryzys w szansę wzmocnienia więzi. ©

Zjednoczeni z Bogiem zachowują pokój w niepokoju.

JAN TAULER

Dzięki światłu pojawiają się rzeczy. (...) Ci, którzy przeżyli wizję wewnętrzną, nie widzą żadnej rzeczy, nie widząc jednocześnie Boga.

AL-GAZALI

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (25 IX – 2 X)

26. niedziela zwykła: Am 6, 1a. 4-7; Ps 146; 1 Tm 6, 11-16; Łk 16, 91-31;
Poniedziałek: Hi 1, 6-22; Ps 17; Łk 9, 46-50;
Wtorek: Hi 3, 1-3. 11-17. 20-23; Ps 88; Łk 9, 51-56;
Środa: Hi 9, 1-12. 14-16; Ps 88; Łk 9, 57-62;
Czwartek: Dn 7, 9-10. 13-14 lub Ap 12, 7-12a; Ps 138; J 1, 47-51;
Piątek: Hi 38, 1. 12-21. 40, 3-5; Ps 139; Łk 10, 13-16;
Sobota: Hi 42, 1-3. 5-6. 12-17; Ps 119; Łk 10, 17-24;
27. niedziela zwykła: Ha 1, 2-3. 2, 2-4; Ps 95; 2 Tm 1, 6-8. 13-14; Łk 17, 5-10.

WŁADCY GŁĘBIN

Zainteresowanie opinii publicznej, jakie w związku z zatruciem Odry spadło na Polski Związek Wędkarski, wcale nie ucieszyło jego władz. Działacze – jak ironizują szeregowi członkowie – lepiej czują się w mętnych wodach.

MAREK RABIJ

To się odbędzie następująco – sekretarka Zarządu Głównego PZW nie brzmi przez telefon jak ktoś, z kim można negocjować. – Ja podyktuję adres, pan napisze e-mail, a pani prezes przeczyta i zdecyduje, czy odpowie, czy nie. Ma pan czym zanotować?

Długopis się znalazł. Gorzej z odpowiedzią. Do chwili zamknięcia tego wydania prośba o rozmowę z niedawno wybraną na tę funkcję szefową związku Beatą Olejarz pozostała bez reakcji. Niewykluczone, że pani prezes, której istnienie uzmysłowiła opinii publicznej dopiero sierpniowa katastrofa ekologiczna na

Odrze, ma po prostu za dużo spraw na głowie. Nie mówiąc o zmęczeniu nagle uzyskaną popularnością.

– Łowię ryby od dziecka, a składki w PZW opłacam chyba ze 40 lat – uśmiecha się Bogdan Rębała z Krakowa. – Pani Olejarz to pierwsza prezes naszego związku, o której mogę powiedzieć, że wiem, jak wygląda. PZW jest jak PRL. Formalnie demokratyczny, ale wszyscy wiedzą, że bez względu na wynik wyborów wszystko będzie po staremu. Czyli my, wędkarze, sobie, a działacze sobie.

Gospodarz zły i gorszy

Początek sierpnia. Kanikuła w pełni, ale w polskich mediach, z reguły skoncentrowanych o tej porze na zatłoczonych bałtyckich plażach, królują relacje z katastrofy na Odrze. W telewizji prezes Olejarz ścina się w debacie z przedstawicielem Głównego Inspektoratu Ochrony Środowiska, zarzucając tej rządowej agencji ospałą reakcję na doniesienia o zanieczyszczeniu rzeki. Obrywa się również ministrom Mateusza Morawieckiego.

„Przez dwa tygodnie nikt z rządu, absolutnie nikt nie wsparł moich kolegów, nie podziękował za to, że w czynie społecznym zbierali te ryby i przekazywali je do utylizacji" – podkreśla Beata Olejarz.

– Słuchałem jej w telewizji i najpierw poczułem wdzięczność. Ale potem szlag mnie trafił – wspomina Jerzy, wędkarz z Głogowa uczestniczący w zbiórce martwych ryb na Odrze. – Myśmy faktycznie wtedy nie schodzili z rzeki. Niektórym wyskoczyła na skórze jakaś egzema od syfu, który płynął Odrą. Do silnika w moim pontonie poszło w cztery dni chyba ze 30 litrów paliwa, które teraz tanie nie jest. Tymczasem pani prezes siedzi w telewizji, strofuje rząd, ale jakoś nie wpadnie jej do głowy, żeby z tych 200 mln zł, które ma co roku z naszych składek, przynajmniej częściowo pokryć koszty nam, wolontariuszom.

Polski Związek Wędkarski to jedno z największych polskich stowarzyszeń hobbystycznych. Jego budżet wynosi 189 mln zł (koszty samego zarządu to 6 mln). Do PZW należy dziś blisko 600 tys. osób – czyli więcej niż co trzecia osoba uprawiająca w Polsce wędkarstwo. Związek gospodaruje też – jako dzierżawca – na blisko 220 tys. hektarów wód śródlądowych. A raczej gospodarował, bo w styczniu na konferencji prasowej wiceminister infrastruktury Marek Gróbarczyk wraz z podległym mu szefem nowo powstałego Departamentu Rybactwa w Wodach Polskich ogłosili, że na akwenach zarządzanych przez Wody Polskie zacznie obowiązywać osobna, konkurencyjna stawka za wędkowanie w wysokości 250 zł rocznie (opłaty członków PZW sięgają 300 zł). Na domiar złego minister dał do zrozumienia, że wraz z wygasaniem kolejnych umów o dzierżawę, jakie okręgi PZW zawarły ze Skarbem Państwa, Wody Polskie nie będą ich przedłużać.

→

Wędkarze nad Wisłą w Warszawie.

MARIUSZ CIESZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

– Brawura, z jaką pani Olejarz krytykowała stronę rządową, moim zdaniem wynikała właśnie z poczucia zagrożenia – uważa Lucjan Śliwa, lepiej znany jako „Luk", prowadzący na YouTubie popularny kanał „Spławik i Grunt". – Wody Polskie chcą się pozbyć pośrednika, jakim jest PZW, wręcz szukają pretekstu, by wypowiadać związkowi umowy. W okręgu bielskim niedawno zabrano PZW część wód z powodu niewłaściwie przeprowadzonych zarybień. Katastrofa na Odrze w pewnym sensie stałą się więc dla działaczy PZW podarunkiem od losu, bo pokazała z kolei nieudolność instytucji państwowych w gospodarowaniu wodami.

Czy dla wędkarzy coś wyniknie ze sporu, komu to gorzej wychodzi? – Nic – mówi mój rozmówca. – Skompromitowany w oczach wielu wędkarzy PZW zostanie zastąpiony przez centralny urząd, który nasze interesy będzie mieć również w głębokim poważaniu. Dość popatrzeć na rządowe plany regulacji rzek, które mają zrealizować Wody Polskie. Oznacza to przecież zagrożenie biologiczną degradacją setek kilometrów wciąż dzikich wód. W wielu innych krajach Europy, które wcześniej popełniły błędy nadmiernej ingerencji w bieg rzek, nasze dzisiejsze działanie wydaje się niepojęte.

Lucjan od 19 lat mieszka w Wielkiej Brytanii i z tej perspektywy porównuje organizację środowiska wędkarskiego w obu krajach.

– Angielski Angling Trust nie zajmuje się np. rybactwem – wylicza. – Zarząd Główny PZW jest tymczasem właścicielem Gospodarstwa Rybackiego w Suwałkach, które członkom związku sprzedaje pozwolenia na wędkowanie na swoich jeziorach i jednocześnie dziesiątkuje sieciami tamtejszy rybostan, zostawiając wędkarzom drobnicę.

Angling Trust nie sprzedaje też, jak PZW, opłat za prawo do wędkowania, bo nie jest gospodarzem żadnych wód. Wynajmuje za to detektywów i prawników, którzy winnych zanieczyszczenia wód potrafią szybko wykryć, postawić przed sądem i wyciągnąć od nich ogromne odszkodowania. – Potem z tych pieniędzy finansuje się odbudowę zniszczonego ekosystemu. Przed każdymi wyborami parlamentarnymi związek prosi też kandydatów o ustosunkowanie się do postulatów środowiska – twierdzi Śliwa. – Wierz mi, poza Zielonymi nie znalazła się tu jeszcze siła polityczna, która zaryzykowałaby pomysły sprzeczne z wolą miliona potencjalnych wyborców. W Polsce wędkarzy mamy aż półtora miliona, z czego 600 tysięcy w PZW, ale nie przekłada się to na silny środowiskowy głos. Dlaczego? Dlatego, że działacze związku zajęci są głównie swoimi dietami. A ryb w polskich wodach jak nie było, tak nie ma.

ARCHIWUM PRYWATNE

LUCJAN ŚLIWA *z pięciokilogramową brzaną złowioną w rzece Trent.*

W krainie operatu

Łowisko specjalne PZW w Podgórkach Tynieckich wije się malowniczo opodal krakowskiej obwodnicy. Deszczowa pogoda nie rozpieszcza, ale – jak zauważa Bogdan Rębała, rozkładając wędki – „idą deszcze – będą leszcze".

– No, tutaj to raczej leszczyki – uściśla. – Łowisko od kilku lat jest „*no kill*", czyli sportowe. Każdą złowioną tu rybę trzeba wypuścić, ale jakoś od tego nie przybywa okazów. Nie wiem, może kłusownicy w nocy zabierają okazy? Czasem można dostać białej gorączki, bo drobnica raz za razem czyści haczyk z przynęty i zamiast wypoczywać, muszę w kółko machać kijem. Ponoć są tu też duże karpie i dorodne liny, ale tylko raz mi się taki trafił, a bywam tu systematycznie. Odkąd jestem na emeryturze, właściwie co tydzień.

Rybostan polskich wód to temat, który ekscytuje wędkarzy chyba bardziej od łowienia.

– Pamiętam Wisłę z lat 80. – rozmarza się pan Piotr, kolega Bogdana Rębały. – Śmierdziała tak, że w upalny dzień w oczy szczypało, ale ryb było zatrzęsienie. W pół dnia można było złowić i ze trzydzieści leszczy, każdy „łopata", nawet pod dwa kilo. Teraz jak przez cały dzień złowię dwa, to jest już powód do zadowolenia.

– To chyba, Piotrusiu, dawno do domu zadowolony nie wróciłeś – dodaje żartobliwie Bogdan.

W opracowaniu „Ryby w naszych wodach", przygotowanym w 2018 r. na zamówienie Mazowieckiego Okręgu PZW przez dr. hab. Piotra Hliwę z Katedry Ichtiologii Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, autor oszacował przeciętną zasobność polskich jezior w ryby w przedziale ok. 20-38 kg na hektar. Przy 320 tys. hektarów powierzchni, jaką mają łącznie tego typu zbiorniki w Polsce, daje to od 6,4 do 12,1 mln kg ryb – czyli 10-20 kg na każdego członka PZW.

Rzecz jasna, pozostaje jeszcze 139 tys. hektarów rzek, które miejscami potrafią zaskakiwać bogactwem podwodnej fauny (taką opinią do sierpniowej katastrofy cieszyła się np. Odra w środkowym i dolnym biegu), 71 tys. hektarów stawów, 55 tys. hektarów zbiorników zaporowych czy ponad 40 tys. hektarów zalewisk i starorzeczy. To sporo, ale wśród polskich wędkarzy dominuje przekonanie o przełowieniu polskich wód, które nastąpiło w ostatnich dekadach. W dokumentach gospodarstw rybackich na Mazurach jeszcze z lat 70. XX w. można natrafić na relacje o sieciach wypełnionych rybami w takiej ilości, że nie dało się ich wyciągnąć na brzeg. Sytuacja zaczęła się gwałtownie pogarszać po 1985 r., kiedy w życie weszła ustawa o rybactwie śródlądowym.

– Miałem wtedy 32 lata – zaznacza Bogdan – i większość czasu spędzałem w kolejkach do sklepów. Ta ustawa to dziecko tamtej epoki i deficytu mięsa. Umożliwiła rabunkową eksploatację rybacką wód, żeby szybko uzupełnić braki aprowizacyjne. Zapisano w niej pewne bez-

pieczniki, które miały gwarantować odbudowę rybostanu, ale każdy z nas widzi, że nie przynoszą efektów. Ryb w polskich wodach jest coraz mniej.

Wspomnianym bezpiecznikiem są tzw. operaty rybackie, czyli dokumenty wyznaczające normy eksploatacji danego akwenu. W operacie sporządzanym dla podmiotu eksploatującego wodę wyznacza się dopuszczalną ilość ryb, które można wyłowić z podziałem na gatunki – i od razu planuje odpowiednie zarybienie. Prognozy sporządza ichtiolog, ale przy niewielkiej liczbie specjalistów upoważnionych do tego typu analiz nagminnie dochodzi do tego, że autor operatu nawet nie ogląda opisywanej wody na własne oczy, korzystając w zasadzie tylko z dokumentów dostarczonych przez właściciela akwenu.

– Poza tym dokument obowiązuje dziesięć lat, a biodynamika wód śródlądowych jest tak duża, że warunki bytowe ryb mogą się zmienić w trzy lata, nawet krócej – podkreśla dr Maksym Łaszewski, hydrolog z Uniwersytetu Warszawskiego i zarazem miłośnik wędkarstwa. – W efekcie PZW co roku wpuszcza do wody tony narybku z hodowli, z góry wiedząc, że to w znikomym stopniu wpłynie na rybostan. Krakowski odcinek Wisły można by co roku zarybiać setkami tysięcy sandaczyków, ale większość z nich natychmiast zginie zjedzona przez drapieżniki lub spłynie dalej z nurtem. Rzeka wygląda tu bowiem jak kanał i na uregulowanych brzegach nie ma łach i zatoczek, które dałyby narybkowi schronienie.

Dlaczego zatem PZW kurczowo trzyma się nieskutecznych metod?

– Jak to mówią, chodzi o to, żeby zarybiać, ale nie zarybić – krzywi się Piotr. – Z budżetu związku co roku idą na ten cel dziesiątki milionów. Okręgi wędkarskie finansują z tych pieniędzy ośrodki zarybieniowe, które dają miejsca pracy i sprzedają narybek na wolnym rynku. To lukratywny biznes. A zarazem trudny do kontrolowania – zaznacza.

W jednym z okręgów wędkarskich podczas zarybiania uczestniczący w nim wędkarze z ciekawości sprawdzili zawartość pojemników z narybkiem. W każdym z nich miało być po kilka tysięcy rybek. Okazało się, że jest mniej niż tysiąc. Działacze z PZW oświadczyli, że doszło po prostu do pomyłki. – Tylko że kolejnej akcji zarybieniowej już nie było. Dziwne, prawda? – kwituje Piotr.

W tym hobby chodzi o przebywanie jak najbliżej przyrody. Współczesne **wędkarstwo może mieć wymiar proekologiczny.**

Złów i wypuść

Troska o rybostan rzek i jezior wyrażana przez ludzi łowiących ryby – choćby i amatorsko – może wydać się przejawem hipokryzji. Takie głosy pojawiły się w internecie w kontekście katastrofy na Odrze, kiedy załamującym ręce wędkarzom zarzucano, że rozpaczają nad losem zwierząt, na które sami zapamiętale polują.

– Rzecz w tym, że wielu z nas od dawna nie zabiera ryb – podkreśla Lucjan Śliwa. – Jest zdjęcie, czasem zmierzenie i zważenie okazu, niektórzy dają nawet buziaka i ryba leci z powrotem do wody. Wielu kupuje specjalne maty do odhaczania, żeby zwierzę przy tym nie ucierpiało. Na niektórych łowiskach obowiązuje nakaz dezynfekcji rany po haczyku. Ja się temu nie dziwię. Ryby to przecież nasi partnerzy w grze zwanej wędkarstwem.

W Wielkiej Brytanii – jak pokazują badania Angling Trust – już blisko 80 proc. wędkarzy stosuje zasadę „złów i wypuść". Wśród łowiących na wodach słodkich – bo na Wyspach kwitnie też wędkarstwo morskie – odsetek ten może być jeszcze wyższy, Brytyjczycy nie przepadają bowiem za smakiem karpia czy leszcza.

Jak wygląda to w Polsce? PZW nie pokusiło się o stosowne badania, bez entuzjazmu podchodzi też do idei „*no kill*". Za to Instytut Rybactwa Śródlądowego swego czasu szacował odsetek polskich zwolenników bezkrwawego wędkarstwa na 50 proc. Z roku na rok ta równowaga powinna zmieniać się w przewagę tych, którzy przygody nad wodą nie chcą kończyć zabijaniem. Na forach dyskusyjnych wpisy wielu wędkarzy przypieczętowuje się dziś pozdrowieniem „Wodom cześć". I – sądząc po mobilizacji młodych w większości wędkarzy, którzy w sierpniu pierwsi ruszyli do ratowania Odry – nie jest to pusta deklaracja.

– Dopiero odrzańska katastrofa uświadomiła Polakom, że współczesne wędkarstwo ma także wymiar proekologiczny – mówi dr Łaszewski. – W wielu miejscach w kraju są dziś rzeczki i kanały bez żadnego znaczenia gospodarczego. Los tych wód leży na sercu wyłącznie miejscowym wędkarzom. To oni organizują się w społeczne patrole, żeby gonić kłusowników, pilnować tarlisk zagrożonych gatunków lub nielegalnych wycinek lasu, które mogą gwałtownie zmienić nasłonecznienie brzegu i zagrozić stabilności lokalnej ichtiofauny. Pamiętajmy też, że to wędkarze, którzy nad ukochaną wodą spędzają nawet setki dni, jako pierwsi zawiadamiają służby ochrony środowiska o nielegalnych zrzutach ścieków. Ale w oczach części społeczeństwa nadal jesteśmy tymi, którzy mordują zwierzęta.

Maksym Łaszewski pierwszy raz wziął wędkę w ręce jako dziecko. – Mam 31 lat, czyli połowę życia należę do PZW. Wędkarstwa, czytania rzeki i zwyczajów ryb nauczył mnie ojciec. Jeździłem z nim nad wodę jeszcze ze spławikiem, choć teraz łowię głównie na muchę i spinning. Wędkarstwu zawdzięczam przede wszystkim zawód, a dzięki niemu zafascynowały mnie szczególnie rzeki.

W Zakładzie Hydrologii Uniwersytetu Warszawskiego zajmuje się badaniem wpływu człowieka na temperaturę rzek. Po godzinach uwielbia przemierzać ich brzegi w woderach i z wędką.

– Używam haków bezzadziorowych, które nie kaleczą tak ryb jak tradycyjne. Zadowolony wracam także z wypadów „o kiju", kiedy nie bierze nic – mówi Maksym Łaszewski. – W tym hobby chodzi o przebywanie jak najbliżej przyrody, poznawanie wodnych ekosystemów. Chodzi również o myślenie, bo schematy w wędkarstwie przydają się wyłącznie jako punkt wyjścia do improwizacji. Metody, które sprawdzają się dziś na danym łowisku, jutro mogą nie przynieść efektów. Żeby skutecznie łowić, trzeba naprawdę mnóstwo czasu spędzić i nad wodą, i w domu, czytając poradniki i opracowania.

W skali roku kosztuje to wszystko kilka, czasem kilkanaście tysięcy złotych. Są i tacy, którzy na sprzęt i wędkarskie podróże wydają co roku równowartość dobrego samochodu. Gdyby chodziło w tym wszystkim wyłącznie o rybę do zjedzenia, zabawa nie miałaby sensu. Wizyta w sklepie wyszłaby dużo taniej.

Na szczęście chodzi o to, żeby łapać. Niekoniecznie złapać.

©℗ MAREK RABIJ

PRZEMEK ŚWIDERSKI / REPORTER

Nocna iluminacja kanału żeglugowego na Mierzei Wiślanej. Skowronki, 15 września 2022 r.

Energetyczny wampir Europy

PIOTR WÓJCIK

Rząd nie zamierza narzucać obywatelom oszczędności, bo Polacy ich nie chcą. Sprzeciwia się też regulacjom na szczeblu całej Unii. Ten upór może nas zimą drogo kosztować.

W Polsce właśnie rozpoczyna się okres grzewczy, co oznacza, że wchodzimy w newralgiczny moment kryzysu energetycznego. Państwa Europy Zachodniej nie tylko dbają w związku z tym o dostęp do surowców, ale też wprowadzają radykalne programy oszczędnościowe. Polski rząd nie zamierza nikomu ich narzucać i dopiero zaczyna pracować nad oszczędzaniem energii w budynkach administracji publicznej. Ta zwłoka jest niezrozumiała w sytuacji, w której zupełnie nie wiemy, czy wystarczy nam surowców energetycznych do końca roku.

Najwięcej zależeć będzie od temperatury. Ciepła zima stanie się naszym sprzymierzeńcem, jednak podczas ewentualnej fali mrozów sytuacja może być niezwykle trudna. Według górniczych związków zawodowych węgla zabraknie wtedy niemal na pewno.

– Węgiel importowany z Rosji, który w przeważającej mierze trafiał do gospodarstw domowych i małych ciepłowni, trudno będzie zastąpić – mówi dr Aleksandra Gawlikowska-Fyk z think-tanku Forum Energii.

Inni już oszczędzają

Na bieżące temperatury wpływu nie mamy, jednak na zarządzanie surowcami już tak. A kiedy pojawia się ryzyko niedoboru surowców, trzeba ostrożniej nimi gospodarować. Tak jak robi to Hiszpania, w której zimy są znacznie łagodniejsze niż w Polsce, a dostęp do gazu z różnych kierunków dużo lepszy. Na Półwyspie Iberyjskim znajduje się aż siedem gazoportów, w tym sześć w Hiszpanii i jeden w Portugalii. Mimo to Madryt już w sierpniu wdrożył program oszczędzania energii w celu redukcji zużycia gazu o 7 proc. Restrykcje dotyczyć będą nie tylko budynków użyteczności publicznej, ale też placówek prywatnych, takich jak sklepy, siedziby firm czy restauracje. W budynkach objętych regulacjami temperatura w pomieszczeniach nie będzie mogła być chłodzona poniżej 27 stopni Celsjusza ani ogrzewana powyżej 19 stopni. Zrezygnowano także z podświetlania budynków urzędów i zakazano rozświetlania witryn sklepowych po godz. 22. Podobne zasady wprowadzili Włosi.

Najdalej idą nowe regulacje za Odrą. W Niemczech od 1 września do końca lutego 2023 r. obowiązują przepisy ograniczające m.in. temperaturę ogrzewania w miejscach zatrudnienia do 19 stopni w przypadku pracy lekkiej i zaledwie 12 stopni przy ciężkiej pracy fizycznej. Banery reklamowe i budynki publiczne nie będą w nocy podświetlane. W budynkach użyteczności publicznej – z wyłączeniem szpitali i domów opieki – nie powinno się ogrzewać korytarzy, hal i pomieszczeń technicznych. Niemcy chcą w ten sposób zmniejszyć zużycie gazu aż o jedną piątą.

W Polsce dopiero w połowie września rząd zaczął pracować nad zaleceniami w zakresie ograniczenia zużycia ener-

gii w administracji publicznej. Rozważana jest redukcja o 10 proc. Względem odbiorców prywatnych na razie nie zanosi się jednak na żadne odgórne restrykcje. „Każde przedsiębiorstwo ma prawo podejmować decyzje samodzielnie" – stwierdziła minister klimatu Anna Moskwa w Polsat News. W stosunku do gospodarstw domowych rząd planuje stosowanie tylko miękkich zachęt. Mowa o dodatkowym rabacie w wysokości 10 proc. ceny prądu w zamian za ograniczenie zużycia o 10 proc. w porównaniu do roku poprzedniego.

– Rząd powinien zmienić politykę. Przekonywanie, że surowców nikomu nie zabraknie, jest nieodpowiedzialne, gdyż nie przygotowuje nieświadomej części konsumentów energii na kryzys – zauważa prezes Fundacji Instrat Michał Hetmański. – Świadomi uczestnicy rynku, np. duże firmy czy huty, mają wyspecjalizowane działy do spraw zarządzania kosztami i energią. Wiele innych grup konsumentów, nawet z niektórymi samorządami włącznie, nie ma tej wiedzy. Nie jest więc w stanie samodzielnie wdrożyć programów oszczędnościowych.

– Niestety pojawiają się sondaże, z których wynika, że Polacy nie zamierzają oszczędzać i nie chcą, żeby im cokolwiek narzucano – dodaje dr Gawlikowska-Fyk. – Dlatego musimy zacząć o tym rozmawiać, ale odpowiednim językiem. Oszczędzanie nie robi krzywdy. Odpowiedzialna narracja władz publicznych powinna informować społeczeństwo, dlaczego oszczędzamy, co możemy na tym zyskać oraz ewentualnie stracić.

Nie będzie nam Unia rozkazywać

Na razie rząd spycha odpowiedzialność na obywateli. Zdaniem Anny Moskwy każde gospodarstwo samo powinno „zrobić sobie rachunek sumienia". Przy okazji minister ujawniła, że sama ograniczyła temperaturę w domu do 17 stopni, co jest dobre dla zdrowia. Tej głośno krytykowanej wypowiedzi nie sposób odebrać logiki, choć trudno przypuszczać, by rzucane w audycji radiowej niezobowiązujące deklaracje skłoniły kogokolwiek do samoograniczania.

Dobrowolne oszczędzanie na pewno przyczyni się do redukcji zużycia. Szczególnie w sektorze przedsiębiorstw, gdzie liczy się bilans przychodów i kosztów, więc każdy wzrost cen jest na bieżąco monitorowany. Wywołane drożyzną tąpnięcie popytu dotyczy przede wszystkim gazu, którego ceny są rekordowe. Dzięki temu możemy zbliżyć się do celu unijnego, według którego państwa powinny dobrowolnie ograniczyć jego zużycie o 15 proc. Odbiorcy prywatni są jednak chronieni regulowanymi taryfami, więc w ich przypadku ceny mają ograniczony wpływ na decyzje.

– Według danych strategicznej spółki Gaz-System w tym roku zużyjemy 18 mld metrów sześciennych, co oznacza redukcję o 10 proc. – mówi Gawlikowska-Fyk. – Tymczasem aż 4,4 mld jest zużywanych na cele grzewcze. Gdybyśmy skłonili wszystkich do ograniczenia temperatury w domach o jeden stopień, moglibyśmy wspólnie dojść do wyznaczonego przez Unię celu.

Najnowsza propozycja Komisji Europejskiej mówi o kolejnych celach redukcji zużycia – tym razem energii elektrycznej. W projekcie mowa o obowiązkowym ograniczeniu konsumpcji prądu w szczytach zapotrzebowania o 5 proc. i dodatkowo dobrowolnym o 10 proc. Polski rząd znów jednak nie chce o tym słyszeć. „Absolutnie będziemy przeciwko. Każde państwo w polityce energetycznej ma swoje własne kompetencje. Rozumiem, że pani przewodnicząca by chciała, żebyśmy oszczędzali energię, i może apelować, może zachęcać, może pokazywać dobre przykłady, ale nie ma żadnych kompetencji, żeby jakiekolwiek państwo do tego zmuszać" – stwierdziła minister Moskwa.

Oficjalnie polska propozycja na forum unijnym sprowadza się do nieodpowiedzialnego postulatu obniżenia ceny uprawnień do emisji dwutlenku węgla do 30 euro za tonę. – To zwykła próba odwlekania niezbędnych reform – uważa Michał Hetmański. Jego zdaniem trzeba iść drogą innych krajów, które uruchomiły mechanizmy oszczędnościowe. Polska jest pod tym względem spóźniona, więc nawet jeśli podejmiemy podobne działania, to możemy nie zdążyć z uzyskaniem efektów jeszcze tej zimy.

Awersja rządu do oszczędzania byłaby uzasadniona, gdyby Polska faktycznie zużywała niewiele energii. Problem w tym, że obecnie szybko doganiamy kraje Europy Zachodniej. Według Our World in Data roczne zużycie energii elektrycznej w Polsce to 4,8 tys. kWh na głowę. To faktycznie znacznie mniej niż w Niemczech, gdzie wynosi ono aż 7 tys. kWh *per capita*. Jednak Włochy i Portugalia zużywają dokładnie tyle samo prądu co my. Brytyjczycy nawet nieco mniej, bo 4,5 tys. kWh. Natomiast w wielu państwach naszego regionu zużycie jest wyraźnie mniejsze niż nad Wisłą. Mowa np. o Łotwie (3 tys. kWh) czy Węgrzech (3,7 tys. kWh).

Ktoś mógłby wskazać, że państwa nordyckie zużywają nawet kilka razy więcej prądu niż my – Szwedzi prawie cztery razy więcej. Kraje te mają jednak ten komfort, że ich energetyka oparta jest na odnawialnych źródłach energii, szczególnie wodzie, i dodatkowo uzupełniana atomem. Nie muszą się więc martwić o dostawy węgla czy gazu.

Także pod względem całościowego zużycia energii, a więc nie tylko prądu, lecz również paliw do transportu, ↦

Sąd Rejonowy w Lubaczowie I Wydział Cywilny w sprawie I Ns 135/22 z wniosku Gminy Czarne o stwierdzenie nabycia spadku po Stefanie Rogalskim, s. Stefana i Anny, wdowcu, zm. 24 grudnia 1975 r. w Lubaczowie, mającym ostatnie miejsce pobytu w Starych Oleszycach, po którym pozostał majątek w postaci nieruchomości położonych w Nadziejewie, gm. Czarne, powiat człuchowski. woj. pomorskie, o powierzchni 7,02 ha – wzywa wszystkie osoby roszczące sobie prawa do spadku, aby w terminie trzech miesięcy od dnia zamieszczenia ogłoszenia zgłosiły swój udział w postępowaniu i udowoniły prawo do spadku, pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Chełmie I Wydziale Cywilnym w sprawie o sygnaturze akt I Ns 414/22 z wniosku PROTEGAT 1 Niestandaryzowanego Sekurytyzacyjnego Funduszu Inwestycyjnego Zamkniętego z siedzibą w Krakowie toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Halinie Schöffer, zm. 11 stycznia 2021 r. w Chełmie, ostatnio zamieszkałej w Chełmie.

Wzywa się wszystkie zainteresowane osoby, a w szczególności spadkobierców Haliny Schöffer, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w toczącym się postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.

OGŁOSZENIA

↦ ciepłownictwa i pracy w kuchni, nie wypadamy oszczędnie. Łącznie zużywamy rocznie 33 tys. kWh na głowę, a więc dokładnie tyle, co Hiszpanie, i wyraźnie więcej niż Włosi i Brytyjczycy, których gospodarki wytwarzają przecież znacznie więcej produktów i usług. Mało tego: zużywamy na głowę tylko jedną piątą energii mniej niż Niemcy, chociaż nasze PKB *per capita* jest niższe o ponad jedną trzecią.

– Nasza gospodarka jest mocno energochłonna, a efektywność energetyczna w przemyśle, niestety, nie jest wysoka – mówi dr Gawlikowska-Fyk. – Faktycznie, zużywamy nieco mniej samej energii elektrycznej, ale to się wiąże z tym, że wiele obszarów dopiero elektryfikujemy albo zamierzamy to robić, jak w ciepłownictwie czy transporcie. Zużycie będzie więc rosnąć.

Leży i kwiczy od PRL-u

Zdaniem Michała Hetmańskiego obecna polityka energetyczna Polski jest pokłosiem energochłonnej gospodarki PRL. – Niestety wiele reliktów tamtej energetyki z nami zostało. Dlatego do wytworzenia tej samej liczby dóbr polskie firmy muszą zużywać znacznie więcej surowców energetycznych niż w wielu państwach Europy Zachodniej.

Polska zużywa rocznie 33 tys. kWh na głowę, a więc dokładnie tyle, co Hiszpanie, i wyraźnie więcej niż Włosi i Brytyjczycy. **Tyle że ich gospodarki wytwarzają znacznie więcej produktów i usług.**

Trzeba jednak przyznać, że w ostatnim czasie uruchomiono programy, które mają na celu transformację w kierunku źródeł odnawialnych i niższej energochłonności. Mowa chociażby o programie Czyste Powietrze, z którego można otrzymać dofinansowanie do wymiany domowej instalacji grzewczej i termomodernizacji budynków. Z programu Mój Prąd można natomiast postarać się o dotację na zainstalowanie paneli fotowoltaicznych. Oba programy są słuszne, niestety zmiany postępują zdecydowanie zbyt wolno.

– Efektywność ciepłownictwa w Polsce, przepraszam za wyrażenie, leży i kwiczy – nie pozostawia złudzeń Gawlikowska-Fyk. – Większość budynków nie została stermomodernizowana. Na jednej z naszych konferencji przedstawiciel Bytomia przyznał, że ten problem dotyczy prawie stu procent gminnych zasobów lokalowych. Te często stuletnie budynki to wampiry energetyczne. Poza tym gospodarstwa domowe w UE już praktycznie nie używają węgla. 97 proc. węgla konsumowanego przez unijne gospodarstwa domowe przypada na Polskę.

Według ekspertki Forum Energii wymianie instalacji grzewczych w domach powinno towarzyszyć zwiększanie efektywności energetycznej. Podczas wymiany źródła ciepła należy najpierw ocenić, ile tego ciepła będzie się potrzebować,

REKLAMY

Prestige MJM · BILET SERWIS · STADION ŚLĄSKI · radio ZET · RZECZPOSPOLITA · onet · VIVA! · TYGODNIK POWSZECHNY · proart · VIXON

i dokonać odpowiedniej termomodernizacji. Niestety w Polsce w ogóle nie jest to skorelowane.

– Program Czyste Powietrze jest przydatny, ale jego tempo wdrażania daleko niewystarczające – uzupełnia Hetmański. – Po czterech latach zakontraktowano umowy o wartości 7,4 mld zł. Tymczasem rząd planował, że do 2030 r. będziemy wydawać na ten program 10 mld, ale rocznie. Mamy więc ogromne zaległości, żeby zrealizować całkiem ambitne cele dekarbonizacyjne, zadeklarowane przez sam rząd. Oznacza to, że nadal większy posłuch rząd ma u sprzedawców węgla i w spółkach energetycznych niż u finalnych konsumentów energii.

Prezes Instratu przypomina również, że w ostatnim czasie władze hamowały rozwój odnawialnych źródeł energii. Mowa przede wszystkim o ustawie wiatrakowej, która zablokowała stawianie lądowych farm wiatrowych. Co więcej, rząd zwleka z jej nowelizacją, choć jest ona zawarta w zatwierdzonym już Krajowym Planie Odbudowy. Poza tym w obecnym roku weszły w życie nowe zasady rozliczania energii z fotowoltaiki, które uczyniły ją znacznie mniej opłacalną. To zaś może zatrzymać trwający do niedawna boom na panele PV.

Zrób to sam

Oszczędzać energię możemy jednak sami, nawet bez rządowych regulacji. Forum Energii opublikowało poradnik „Jak obniżyć rachunki za energię przed najbliższą zimą?". Zgodne z jego założeniami samodzielne usprawnienia mogłyby zmniejszyć zapotrzebowanie na ciepło finalne w przypadku pojedynczego domu o 36-60 proc. Wiele z tych rozwiązań jest bezkosztowych. Mowa chociażby o odpowiednim wietrzeniu pomieszczeń – czyli szybkim, intensywnym i z zakręconymi termostatami. Warto też odsłaniać okna w słoneczne dni i zasłaniać w pochmurne. Należy też odsłonić grzejniki i oddalić od nich najbliższe wyposażenie o co najmniej 20 cm.

Inne z zawartych propozycji kosztują mniej niż tysiąc złotych. To np. montaż na grzejnikach urządzeń do automatycznej regulacji temperatury. W pokoju dziennym nie powinna ona przekraczać 21 stopni Celsjusza, a w sypialni 17-19 stopni. Warto też przeprowadzić kontrolę stanu instalacji grzewczej, wraz z jej oczyszczeniem, ewentualnym odpowietrzeniem i naprawą nieszczelnych połączeń. Przyda się również montaż ekranów zagrzejnikowych, które odbijają ciepło skierowane w stronę ścian, których koszt to ledwie 5 zł za metr. 10 zł za metr kosztuje natomiast materiał izolacyjny do obłożenia rur instalacji grzewczej.

Oszczędzać prąd można natomiast dzięki wymianie żarówek na nowe typy LED-ów, pamiętając też o wyłączaniu urządzeń, zamiast utrzymywania ich w trybie czuwania. Warto ponieść te koszty i zakorzenić w sobie odpowiednie nawyki, gdyż z ich efektów korzystać będzie można także podczas kolejnych okresów grzewczych. Zwłaszcza że czasy taniej energii bezpowrotnie się kończą, a na to, że rząd pomyśli o tym palącym problemie za nas, nie bardzo mamy co liczyć.

© PIOTR WÓJCIK

PRESTIGE MJM PREZENTUJE

SCORPIONS
ROCK BELIEVER
World Tour 2023

10 CZERWCA 2023
ATLAS ARENA
ŁÓDŹ

BILETY: BILETSERWIS.PL

THE-SCORPIONS.COM

Prestige MJM · BILET SERWIS · radio ZET · ANTYRADIO · onet · RZECZPOSPOLITA · TYGODNIK POWSZECHNY · VIVA! · pap MediaRoom · HELIOS · proart · VIXON

PATRYK OGORZAŁEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Przepełniony oddział psychiatrii dla dzieci i młodzieży w Łańcucie. 3 lutego 2022 r.

Bo pójdziesz w pasy

BŁAŻEJ KMIECIAK, BIOETYK:

Polskie oddziały psychiatryczne łączy fakt, że lekarze i lekarki nie mają w nich żadnego przeszkolenia w zakresie stosowania przymusu bezpośredniego. Gdy coś dzieje się nagle, działają intuicyjnie.

ANNA KIEDRZYNEK: Zastanawiał się Pan kiedyś, co czuje człowiek przywiązany pasami do łóżka?

BŁAŻEJ KMIECIAK: Wielokrotnie. Przez osiem lat byłem rzecznikiem praw pacjenta szpitala psychiatrycznego. Rozmawiałem z ludźmi, którzy doświadczyli przymusu, rozpatrywałem też ich skargi. Obserwowałem unieruchomione osoby w kryzysie psychicznym i pracę pielęgniarek, których obowiązkiem jest doglądanie chorych w takiej sytuacji. Mogę się tylko domyślać, jak wiele emocji buzuje w osobie pozbawionej możliwości decydowania o sobie, jak ogromny musi czuć lęk.

Wiem natomiast bardzo dobrze, co czuje człowiek, który jest po drugiej stronie. Ten, który bierze udział w unieruchomieniu drugiej osoby.

Pan jako rzecznik brał udział w obezwładnianiu pacjentów?

Brzmi to jak paradoks, prawda? Człowiek, którego zadaniem jest kontrola przestrzegania praw pacjenta, nagle sam staje się częścią „opresyjnego systemu" – tak przynajmniej wiele osób mogłoby pomyśleć. Tylko że sytuacje wymagające zastosowania przymusu w psychiatrii, zwłaszcza te nagłe, są najczęściej zero-jedynkowe. Czyli personel albo rzuci się do obezwładniania człowieka, albo pozwoli mu zrobić sobie lub komuś krzywdę czy zdewastować oddział. Sytuacja, w której brałem udział, wymagała unieruchomienia mężczyzny zamierzającego skoczyć z okna na drugim piętrze. Byli tam również lekarze, a ja po prostu im pomogłem i chwyciłem tego pacjenta za nogę. Trzymaliśmy go, dopóki nie dostał leków. Potem rozmawiałem z innymi pacjentami z oddziału, którzy pytali mnie: „po czyjej jest pan stronie?". Jestem zawsze po stronie pacjenta, ale jeśli ten w mojej obecności z rozpędem rzuca się w stronę okna, to ja próbuję go powstrzymać. Nawet jeśli oznacza to użycie siły.

Psychiatria się cywilizuje, remontuje, odnawia. Zyskuje ludzką twarz. Jednak przymus pozostaje ciągle jej nieodłączną częścią. Osobom z zewnątrz, które nigdy w szpitalu nie były, trudno to pojąć.

Na terenie szpitala psychiatrycznego dochodzi do zachowań agresywnych i autoagresywnych – tak było, jest i będzie. Niestety. Przyczyny takich zachowań są zróżnicowane. Może to być silny lęk

w epizodzie psychotycznym, nagły atak paniki, atak agresji wynikający z zaburzeń rozwojowych, wpływ alkoholu lub narkotyków na organizm... Bywają też pacjenci, którzy całkiem świadomie i z rozmysłem atakują personel lub innych chorych. Gdy byłem rzecznikiem i rozmawiałem z chorymi, oni raczej rzadko skarżyli się na stosowanie przymusu przez personel, bo albo w ogóle tego nie pamiętali, albo zyskiwali wgląd w chorobę i mieli świadomość, że ich zdrowie lub życie było w tamtym momencie zagrożone. To jednak nie znaczy, że w sytuacjach nagłych nie ma pola do nadużyć.

Skąd te nadużycia się biorą i na czym polegają?

Ich źródłem jest moim zdaniem brak wyszkolenia personelu medycznego.

Ale przecież pacjentów zabezpieczają przeszkoleni sanitariusze?

Tak powinno być. Ale praktyka pokazuje co innego. Gdy w 2013 r. przestałem być rzecznikiem, sanitariusze byli rzadkością. Tymczasem bezpieczne obezwładnienie człowieka wymaga umiejętności i uprawnień. Nabywa się ich na specjalnych szkoleniach dla pracowników ochrony.

W szpitalach psychiatrycznych w Polsce pracują dziś zazwyczaj dwie grupy ochroniarzy. Pierwsza to, mówiąc potocznie, panowie portierzy, których zadaniem jest pilnowanie, czy nikt niepowołany nie wchodzi na teren placówki. Oni najczęściej nie mają uprawnień do zabezpieczania pacjentów. Mogą to robić wyłącznie członkowie tzw. grup interwencyjnych w agencjach ochrony, z którymi szpital podpisuje umowę o współpracy. Takie grupy działają na telefon, co oznacza, że w sytuacjach kryzysowych są wzywane na teren szpitala i muszą do niego jak najszybciej dojechać. Jeśli szpital znajduje się w mieście, zazwyczaj nie ma z tym dużego problemu. Jednak na terenie Polski wiele szpitali znajduje się na obrzeżach miast albo poza ich granicami. Czas dojazdu takiej grupy się wydłuża.

Dlatego w praktyce pacjentów najczęściej unieruchamiają pielęgniarki. Czasem towarzyszy im lekarz oraz portier bądź po prostu inni pacjenci, co jest oczywistym pogwałceniem praw osoby zabezpieczanej. Przecież oni temu agresywnemu choremu mogą zrobić krzywdę.

Rozmawiałam kiedyś z człowiekiem, któremu pracownicy ochrony szpitala złamali rękę podczas obezwładniania. Nie miał pretensji, podszedł do tego ze zrozumieniem. Tłumaczył mi, że wcale nie zrobili tego specjalnie, a on był w tak silnej manii, że miał ochotę roznieść cały korytarz. Przez kolejne tygodnie był leczony psychiatrycznie na tym samym oddziale i jednocześnie wożony w tę i z powrotem na oddział ortopedii. Spytałam, czy planował pozwać szpital. „Nie, niby dlaczego?" – zdziwił się. A oni prawie zrobili z niego inwalidę, bo było to bardzo skomplikowane złamanie.

To właśnie mam na myśli, kiedy mówię o nadużyciach. Nie był nim sam fakt zabezpieczenia pani rozmówcy, on sam zresztą przyznał, że było to konieczne. Jednak założę się, że ludzie, którzy go wtedy złapali, nie byli odpowiednio przeszkoleni.

Nawiasem mówiąc, bywają sytuacje tak trudne, że nawet grupy interwencyjne ledwo dają sobie radę – co uzmysławia, z jakimi zagrożeniami mierzy się personel na niektórych oddziałach. Widziałem raz coś takiego. Na oddział młodzieżowy przywieziono kilku chłopców z ośrodka resocjalizacji, którzy mówili o swoich zamiarach samobójczych. Po przyjeździe do szpitala położyli się na korytarzu i obwieścili, że się stamtąd nie ruszą. Wykrzykiwali wulgarne słowa, obrażali personel i innych chorych. Lekarze ich nie ruszali, bo bezpieczne podniesienie człowieka z podłogi nie jest czymś, co powinna robić osoba bez przeszkolenia. W końcu przyjechali ochroniarze, wywiązała się z tego regularna bójka. Ledwo opanowali tych chłopców.

W niedawno wydanej książce „Przymus bezpośredni w psychiatrii" rekomenduje Pan szkolenia w zakresie technik przymusu dla personelu medycznego, a nawet szerzej – dla studentów kierunków medycznych. Ma to służyć bezpieczeństwu pacjentów czy przyszłych lekarzy?

Jednych i drugich! Próbowałem zainteresować tym tematem rektorów uczelni medycznych, ale nie było odzewu. Stosowanie przymusu spychane jest na firmy zewnętrzne, lecz i tak wielu psychiatrów ma za sobą doświadczenie obezwładniania pacjenta. Chyba lepiej byłoby, gdyby otrzymali wcześniej jakieś wskazówki, jak to robić, żeby nie skrzywdzić siebie albo chorego. Do niedawna w rozporządzeniu dotyczącym stosowania przymusu był punkt mówiący o obowiązkowych szkoleniach dla personelu placówki medycznej w zakresie stosowania jego technik. W ostatnich latach ten przepis wyparował. To oznacza, że każdy oddział ma swoją własną praktykę: jeden dyrektor zatrudni i wyszkoli sanitariuszy i jednocześnie podpisze umowę z zewnętrzną agencją ochrony, inny będzie polegał tylko na agencji, a w jeszcze innym pacjenta obezwładni pielęgniarka.

Jedyne, co łączy wszystkie oddziały psychiatryczne, to fakt, że lekarze i lekarki nie mają w tym zakresie żadnego przeszkolenia technicznego. Gdy coś dzieje się nagle, działają intuicyjnie.

Nie ma Pan wrażenia, że polska psychiatria pozostaje w temacie przymusu daleko w tyle za krajami Zachodu? My teraz dyskutujemy o zasadności szkolenia personelu, gdy w tym samym czasie psychiatrzy na zagranicznych kongresach zastanawiają się, czym przymus bezpośredni zastąpić. To jest przepaść w myśleniu o przemocy psychiatrycznej.

Nie zgodzę się z panią do końca. Przymus bezpośredni w krajach zachodnich też jest stosowany, i to nie tylko w psychiatrii. Takie sytuacje po prostu się w medycynie zdarzają. Przymus to zresztą szeroka kategoria – dentysta, który przytrzyma za ręce szarpiącego się pacjenta na fotelu, też stosuje przymus. Można się zastanawiać, czy to zasadne, ale jeśli ma do wyboru puścić spanikowanego człowieka z rozwalonym dziąsłem albo go przytrzymać, aż ten się uspokoi, i zszyć mu ranę, to tak, pewnie wybierze działanie siłowe – ale przecież jest ono uzasadnione stanem wyższej konieczności. Panika, dekompensacja, agresja i autoagresja, chęć ucieczki – z tymi zjawiskami medycy będą się spotykać u pacjentów bez względu na wybraną wcześniej specjalizację lekarską. Przymus nie zniknie, ale tym bardziej powinniśmy dyskutować o metodach jego stosowania i gradacji środków. ↦

Nawet ci pacjenci, którzy uznają zasadność stosowania przymusu w ich przypadku, skarżą się często na sposób, w jaki personel ich potraktował. Można człowiekowi uratować życie i jednocześnie go upokorzyć. To w polskiej psychiatrii niestety częste.

Jako rzecznik interweniowałem w wielu takich sprawach. Przykład pierwszy z brzegu: zapinanie pacjenta w pasy na wieloosobowej sali. Każdy może wtedy do niego podejść, mówić do niego, wyśmiewać go, przeszkadzać. Przykład kolejny, bardziej skrajny: unieruchomienie w pasach nagiego człowieka. Raz też interweniowałem w sprawie chłopaka, który na oddziale dla młodzieży został zapięty w pasy i pozostawiony na łóżku daleko od dyżurki pielęgniarek. Nie był doglądany, więc inny pacjent podszedł do niego i uderzył go tak mocno, że wybił mu przedni ząb. Niedopuszczalne jest zostawianie zabezpieczonego pacjenta samemu sobie. Mniej drastyczną, ale również nieakceptowalną formą nadużywania przymusu jest grożenie nim. Sformułowanie „bo pójdziesz w pasy" jest uzasadnione tylko wtedy, jeśli pacjent faktycznie grozi zrobieniem krzywdy sobie lub komuś innemu. A nie wtedy, gdy przeklina, jest niegrzeczny, niespokojny albo odmawia zjedzenia posiłku.

Przymus sam w sobie nie jest ani dobry, ani zły. Powinien jednak być stosowany zgodnie z ustawą o ochronie zdrowia psychicznego, a do tego w sposób jak najmniej uciążliwy, możliwie jak najkrócej i pod ścisłym nadzorem lekarza. Pamiętajmy też o tym, że polska psychiatria jest stosunkowo mało opresyjna.

Mówią o tym sami pacjenci. „Szpital uratował mi życie" – to zdanie, które słyszę od nich najczęściej. Jednocześnie niektóre media budują obraz szpitala psychiatrycznego jako miejsca z horroru, a głośne przypadki pojedynczych patologii zastępują szerszy, bardziej zniuansowany obraz.

Profesor Jacek Bomba z Krakowa już w 1993 r. mówił o samoregulacyjnej funkcji polskiej psychiatrii. W PRL-u nie było przepisów o stosowaniu przymusu, wprowadziła je dopiero ustawa z 1994 r., o której uchwalenie walczyli sami psychiatrzy – a nie np. politycy oburzeni opresyjnymi działaniami lekarzy. To środowisko medyków dążyło do uregulowania własnych praktyk. Mówimy przecież o pokoleniu uczniów i kontynuatorów wielkiej tradycji psychiatrii humanistycznej, ewenementu na skalę europejską, a nawet światową – bo myśl psychiatryczną w Polsce kształtowali po wojnie lekarze, którzy na własnej skórze doświadczyli, czym jest okrucieństwo i dehumanizacja Innego. Nie chcieli tego dla swoich pacjentów. Od początku widzieli w nich ludzi. Może jestem idealistą, ale widzę w polskiej tradycji psychiatrycznej pewną ciągłość. W ciągu ośmiu lat pełnienia funkcji rzecznika praw pacjenta tylko raz zetknąłem się z ewidentnym sadyzmem ze strony członka personelu. Był to sanitariusz, który faktycznie odnajdywał przyjemność w biciu pacjentów. Odpowiedział za to przed sądem. Był to jednak na szczęście jedyny taki skrajny przypadek w mojej praktyce. Oczywiście nadużycia „miękkie", czyli choćby nadmierny paternalizm wobec chorego, też są problemem. To jednak dotyczy całej medycyny, nie tylko psychiatrii.

BRPD.GOV.PL

BŁAŻEJ KMIECIAK jest profesorem uczelni w Zakładzie Prawa Medycznego Uniwersytetu Medycznego w Łodzi. Członek państwowej komisji ds. pedofilii, były rzecznik praw pacjenta szpitala psychiatrycznego.

Wróćmy do przymusu. Z Pańskich ustaleń wynika, że największy problem z przemocą wobec pacjenta zaczyna się, kiedy wyjdziemy poza obszar psychiatrii.

Dziś zgodnie z ustawą przymus bezpośredni może być stosowany także poza oddziałem psychiatrycznym. W praktyce pewnie było tak od zawsze. Teraz jednak teoretycznie doszły pewne obostrzenia, np. konieczność zatwierdzenia przymusu przez psychiatrę. Byłoby to realne, gdyby ten specjalista faktycznie był dostępny; tak oczywiście nie jest, więc znam przypadki, w których lekarz dojeżdża do szpitala powiatowego raz w tygodniu i za jednym zamachem podpisuje wszystkie „przymusy" z ostatnich siedmiu dni.

Białą plamą są też DPS-y. O tym, że przymus bywa tam nadużywany, wszyscy wiedzą. Od czasu do czasu wybucha afera taka jak w Jordanowie. Jednak za chwilę znowu o tym zapominamy – aż do wybuchu kolejnej.

Kiedy zaczynałem pracę rzecznika praw pacjenta w 2006 r., prof. Jolanta Rabe-Jabłońska, ówczesna łódzka konsultant wojewódzka w dziedzinie psychiatrii, powiedziała mi: „Po czasie uświadomi pan sobie, że prawa pacjenta nie są wcale najczęściej łamane w psychiatrii". Miała dużo racji i widzimy to po latach. W psychiatrii rzecznik może w każdej chwili wejść do szpitala i porozmawiać z pacjentami. Do tego działa normalnie w trybie skargowym, podobnym do ombudsmana. Prawa pacjenta są określone w ustawie.

A jak wygląda sytuacja w DPS-ach? Z jednej strony możliwe jest w Polsce umieszczenie człowieka w DPS-ie bez zgody i stosowanie technik przymusu bezpośredniego. Jednocześnie nie ma czegoś takiego jak karta praw mieszkańca DPS. To są ośrodki poza realną kontrolą, bo raz na pół roku przyjeżdża do nich sędzia i sprawdza, czy dokumenty się zgadzają. Liczba personelu jest ograniczona, lekarze zaglądają tam tylko w sytuacjach wymagających pilnej konsultacji. Dlatego nie będzie przesadą stwierdzenie, że pomimo złego PR-u oddziały psychiatryczne powinny służyć za wzór dla tych placówek, gdzie przymus jest, ale w praktyce pozostaje poza kontrolą. Zdarzają się przypadki łamania praw pacjenta w szpitalach, jednak na poziomie systemowym jest wola, aby im zapobiegać. Co do DPS-ów – dotąd nie było dużej, ogólnokrajowej debaty dotyczącej praw ich mieszkańców. Tymczasem kolejne nieprawidłowości wskazywane przez media pokazują, że jest taka konieczność.

© Rozmawiała ANNA KIEDRZYNEK

JACEK

Podsiadło

Pod chmurką

Biała chmurka wygląda niewinnie. Nie zwróciłbym na nią uwagi, gdyby nas Mikołaj nie zawołał, nie popędzał i nie pokazał chmurki palcem. Dziwne było tylko, że taki samotny obłoczek pojawił się na ogromnym, całkowicie bezchmurnym niebie. Jakby pan B. pyknął z fajeczki.

Zobaczyliśmy go (obłoczek, nie pana B.) i dopiero wtedy dobiegło naszych uszu głuche „pyk".

– Tyle zostaje z ruskiej rakiety – powiedział Mikołaj, patrząc na chmurkę.

Nie miał racji. Sami mnie z Marharytą zaprowadzili kiedyś do lasu w miejsce, gdzie spadł wraży pocisk. Nie wiadomo, zestrzelony czy źle wycelowany – byli na miejscu wojskowi, dokonali oględzin, ale nic nie powiedzieli. I tamta rakieta narobiła szkód, ale w lesie: wykopała lej, poraniła drzewa odłamkami. W powietrzu nic po takiej nie zostaje, w przestworzu to fraszka, igraszka, zabawka blaszana. Wszystko spada na ziemię.

Zaraz po pyknięciu dostaliśmy po sms-ie, że proszę się nie niepokoić, coś tam może i pyknęło, ale nasza obrona przeciwrakietowa nie śpi.

To Marharyta napisała do mnie podczas pierwszych ataków na Charków, że jest w piekle. I – z nutą żalu – że pewnie pozostaję pacyfistą. Żalu, ale nie wyrzutu: od razu wiedziała, że kto nie był w piekle, ten go nie zrozumie.

No i zostałem piewcą wojny, choć nie od razu. Sprawdziło się nie tylko to, co o wojnie przeczytałem, ale nawet to, co sam, bazując na domysłach, napisałem. Napisałem choćby, że podczas wojny wzrasta cena wszystkiego, pieczywa i każdej sekundy, a pocałunki i potrawy nabierają smaku. I że wojna to klarowna, męska przystań. Widziałem całkiem sporo zagubionych mężczyzn, którym wojna pomogła się odnaleźć. O niektórych przynajmniej słyszałem. Wira opowiadała o znajomym, który wrócił z wojska jako wrak psychiczny, fala i te sprawy. Teraz poszedł do obrony terytorialnej i odmieniło go to. Nabrał pewności, spokoju. Przestał chodzić do psychologa i wcale nie dlatego, że daleko. Z początku na każdym błokpoście widywało się miejscowych, umundurowanych w kamizele odblaskowe albo pseudokhaki, uzbrojonych w co kto miał, zadowolonych z życia jak wędkarze. Siedzieli, kurzyli i jedli, ojczyzny swojej strzegli. I widać było, że smakowało im. Teraz większość tych błokpostów porasta trawa. Taka trawa potrafi wyrosnąć wszędzie, wystarczy, że trochę piasku wysypie się na asfalt z worków z piaskiem, i już kiełkuje. Za to na błokpostach, które pozostały aktywne, przybyło wojska i jest ono prawdziwsze niż to po wsiach.

Od piewcy do piewicy droga niedaleka. Wojna straszna rzecz. Jak kogoś zabiją, to on już nie żyje. Ale dzięki wojnie zrozumiałem, że naprawdę lubię ludzi. A były w tym względzie pewne wątpliwości.

Ludzi nie lubię dopiero, kiedy się z kimś pokłócę. Z Tomkiem pokłóciłem się na fejsie. Poszło o ruskich, „puszkinistów", ukraińską propagandę i hasła wypisywane przez żołnierzy na orężu, gorsze niż z Coelho i jeszcze mniej oryginalne („Boże, po śmierci zabierz mnie do nieba, bo w piekle już byłem", czy jakoś tak). Doszło do tego, że w nieparlamentarnych słowach obiecaliśmy sobie trzymać się od siebie z daleka. A teraz po drodze Tomek niespodziewanie objawił się w Lublinie. Słyszał, jak rozmawiam z Olą, że tyle się nazbierało tych dronów i noktowizorów, że muszę gdzieś wyładować połowę karmy i kanistrów. Zaoferował pomoc i kiedy na uroczystej kolacji wznoszono toasty za Ukrainę i Serhija w szczególności, on jeden dygał ze mną po schodach z ciężarami. Lał się z nas pot i w jednej chwili powiedzieliśmy to samo: że nareszcie robimy coś, co ma choć trochę sensu, w odróżnieniu od siedzenia przy laptopkach i nadrapielania po klawiszkach.

Coś mi mówi, że Ukraina może przegrać wojnę przez własną biurokrację. Do tej pory udawało mi się przekraczać granicę bez papierkowej roboty, mówiłem celnikom, że jestem nikim, a pomoc humanitarną wiozę do miejsca, które musi pozostać tajne. To, co zadziałało przy psiej karmie, benzynie, kamizelkach kuloodpornych i nawet dronach, nie zadziałało przy noktowizorach. I Serhij, który odpowiadał za noktowizory od Oli, musiał zdobyć skan certyfikatu od wojskowych w Charkowie i wypełnić deklarację. Było to trudne, bo w ogromnym budynku biura na granicy nie było zasięgu sieci, nie było też ani jednego długopisu. Ostatecznie posiadaczem jedynego długopisu na granicy kraju ogarniętego pożogą wojenną okazałem się ja, a Marharyta, stojąc godzinkę ze smartfonem w górze, dała radę odebrać skan, który należało jeszcze wydrukować. A po wszystko stało się w kolejce. Kiedy odstaliśmy swoje w kolejce do drukarki, okazało się, że pieczęć na wydruku skanu nie jest dość czytelna. Celnik bezinteresownie doradził nam stanąć w kolejce do innego pomieszczenia, gdzie drukarka rzekomo drukowała lepiej, ruscy tymczasem bombardowali bezbronny bez naszych dronów i noktowizorów Charków.

Na działeczce pod Charkowem, z którego Marharyta z Mikołajem wynieśli się dla bezpieczeństwa, siedzi się wieczorami tym przyjemniej, że obowiązuje zaciemnienie. Nikt na całej Ukrainie nie potrafił mi wyjaśnić, jaką rolę spełnia dzisiaj zaciemnienie, które dawniej służyło temu, żeby lotnicy nie widzieli z bombowców, co gdzie jest na ziemi. Uznaję więc, że to dla nastroju. Pijemy herbatkę. Nocne niebo nad Charkowem różni się od naszego tym tylko, że częściej przesuwają się po nim świetlne punkciki. Drony.

– To nasz, bo leci z tej strony – mówi Mikołaj.

– A tamten? Ten, co leci w tamtą stronę?

– Też nasz – mówi z pełnym przekonaniem. ©

WIARA

CZARNA MAGIA

Na naszych oczach pewien salezjanin tworzy nową sektę. Porywa i przyciąga wielu wiernych, ale za jaką cenę?

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

TYTUS ŻMIJEWSKI / PAP

To się sprawdza: głęboka maryjność, apokaliptyczne przepowiednie, budzenie religijnych lęków i proste recepty na trudne problemy. Ks. Dominik Chmielewski proponuje przekaz znakomicie dostosowany do potrzeb wielu polskich katolików. Za charyzmatycznym salezjaninem idą tłumy, także – co nie bez znaczenia – mężczyzn. Różańcowe marsze, wielkie spotkania modlitewne, ruch Wojowników Maryi – to wszystko efekty kaznodziejstwa i formacji zakonnika. „On uzdrowił moje małżeństwo"; „Mąż zmienił się, odkąd go spotkał"; „Wielu, w tym mnie, wyrwał z łap szatana" – takie opinie znaleźć można pod każdym nagraniem duchownego. Zwolennicy mówią o Chmielewskim jako o nowym św. Maksymilianie Marii Kolbem i porównują do księdza Dolindo.

Na pierwszy rzut oka wszystko wygląda świetnie: charyzmatyczny duchowny porywający wiernych to coś, czego przeżywający w Polsce poważny kryzys Kościół niewątpliwie potrzebuje. Kłopot jest tylko taki, że duchowny ów, choć przedstawia się jako jedyny sprawiedliwy, zamiast Ewangelii głosi sprawnie przygotowany, wypowiedziany teatralnym tonem i pełen religijno-kulturowych klisz przekaz będący połączeniem magii, apokaliptyki i politycznych lęków.

Ks. Dominik Chmielewski podczas Męskiego Różańca w Bydgoszczy, listopad 2021 r.

Egzorcyzmowanie kota

Dowodów nie brakuje. Zacząć można od słynnej już w internecie opowieści o egzorcyzmowaniu kota. To nie żart. To zupełnie poważny wykład ks. Chmielewskiego, w czasie którego duchowny ostrzega rodziców przed satanistycznymi zabawkami i okultyzmem w filmach Disneya, który – jak dowiadujemy się z wystąpienia – był masonem i chciał zwodzić dzieci.

Disney to jednak nic. „Czasami opętane mogą być zwierzęta, które są przy nas. Bardzo często są to koty" – oznajmia ks. Chmielewski. Dlaczego akurat koty? Tego nie wiadomo, ale można się domyślić. Koty w myśleniu magicznym mają szczególne, przypisane czarownicom miejsce, i choć kaznodzieja tego argumentu nie przywołuje, trudno znaleźć inny pomysł, dla którego to akurat właśnie kot, a nie pies, chomik czy kanarek, ma stanowić zagrożenie duchowe.

Dowodem na prawdziwość tego zagrożenia jest opowieść o kobiecie obdarowanej miłym kotkiem przez koleżankę, która źle jej życzyła. To właśnie ów „miły kotek" okazał się „nosicielem opętania" i to za jego sprawą egzorcyści nie mogli sobie poradzić z opętaniem samej kobiety. Dopiero gdy postanowiono podczas egzorcyzmów wyegzorcyzmować – przez ową kobietę – kota, to po jej powrocie do domu okazało się, że „dom był całkowicie zdewastowany", a „kota oczywiście nie było". Co się z nim stało? Jak przebiegała anihilacja zwierzęcia, a może jak zabrano go do piekieł, tego się z wykładu nie dowiemy.

Zobaczymy za to magiczne myślenie zawarte w „naukach" ks. Chmielewskiego. Duchowny ten magicznie postrzega nawet spowiedź, która ma być nie tylko miejscem wyznania grzechów i ich odpuszczenia, ale również „błogosławienia dzieci", „odwoływania przekleństw" itd. Sam ks. Chmielewski ma świadomość, że nie jest to stanowisko katolickie, bo przyznaje, że księża nie wiedzą, że tak właśnie trzeba postępować, ale dodaje, że on to wie i dlatego ludzie powinni to robić. Sakrament wymaga w ten sposób uzupełnienia, nie wystarcza on sam, konieczne są jeszcze magiczne procedury odwoływania słów, wypowiadania zaklęć uzdrawiających rzeczywistość, zaklinania świata.

Inaczej być zresztą nie może, bo świat ks. Chmielewskiego jest światem przed demitologizacją: światem pełnym duchowych stworów, zagrożeń, demonów i aniołów, które toczą ze sobą wojny i wpływają na nasze życie, np. ratują dzieci osób, które są tego świadome, ale pozostawiają inne bez odpowiedniej pomocy.

W tym świecie, zdominowanym przez nieustanną walkę duchową, nie ma miejsca na psychologię czy psychoterapię, ona bowiem także niesie ze sobą – a jakże – duchowe zagrożenia jako jakaś forma nowej religii, która odbiera ludziom wiarę w Boga, a buduje jedynie ich ego. A przecież – zdaniem ks. Chmielewskiego – w istocie nie istnieją problemy fizyczne albo emocjonalne, które nie mają podłoża duchowego.

„Wszystkie problemy duchowe, emocjonalne, fizyczne są związane z grzechem. Wszystkie" – mówi kaznodzieja. I dlatego zamiast korzystać z pomocy terapeuty, trzeba zdaniem ks. Chmielewskiego udać się na adorację. „Chrystoterapia, najlepsza terapia, pół godziny codziennie, za darmo" – podkreśla salezjanin. „Problem polega na tym, że my straciliśmy wiarę w Jezusa Chrystusa, który ma moc uzdrowienia, uwolnienia, który jako jedyny zna korzenie twojego problemu i może wyzwolić cię i uwolnić" – dodaje.

Szczegółową analizę błędów zawartych w tych słowach przeprowadzili już prawie dwa lata temu psychoterapeuci chrześcijańscy Monika i Marcin Gajdowie. Nic się jednak nie zmieniło, a w kolejnych wypowiedziach ks. Chmielewskiego pojawiły się nowe elementy, choćby sugerujące, że rodzina samobójców będzie pokutować w czyśćcu tyle lat, ile samobójca skrócił ↦

sobie życie. Skąd takie wnioski? Skąd takie opinie? W największym skrócie z całkowitego niezrozumienia tego, na czym polega działanie Boga, jakie jest chrześcijańskie, a nie manichejskie podejście do ludzkiej natury i do świata; z braku zrozumienia, że nawet przeżycia duchowe wcale nie muszą mieć źródeł duchowych, że mogą wyrastać z emocji czy z cielesności, że nie wszystko ma charakter boży lub sataniczny, że świat jest bardziej skomplikowany.

Apokalipsa nadchodzi

Apokaliptyka ks. Chmielewskiego jest prosta. Z kolejnych wypowiedzi i kazań możemy się dowiedzieć, że „scenariusz apokaliptyczny będzie naszym udziałem". „Nie ma wątpliwości, że to, co dzieje się obecnie w świecie, to objawienie się czterech jeźdźców apokalipsy, zaraza, wojna, głód, śmierć. Im bliżej będzie paruzji, tym bardziej wydarzenia będą się zagęszczać. I nie ma wątpliwości, że patrząc od 2020 r., jesteśmy świadkami tych wydarzeń. Zaraza, pandemia globalna, wojna, która będzie wojną globalną, już mówi się o wielkim głodzie, który będzie skutkiem zarazy i wojny, a konsekwencją będzie śmierć" – mówi ks. Chmielewski. Ale to nie wszystko.

Duchowny zna jeszcze więcej szczegółów przyszłości. „Już niedługo ludzie będą tracić całe dorobki swojego życia, zawali się system finansowy całych państw, ludzie zostaną z niczym. Ludzie w to nie wierzą" – przekonuje. Jasne jest także według niego, kto za tym stoi. „Wielki reset" to temat, który stale wraca w homiliach, wykładach, spotkaniach. A odpowiedzialni za niego są „globaliści", Bill Gates czy George Soros. To oni chcą doprowadzić do wywrócenia całego układu, a fakt, że ludzie nie słuchają Matki Bożej, sprawia, że już niebawem nadejdzie kres czasów. Zadaniem samego kaznodziei, ale także ludzi, którzy go słuchają, jest zaś utworzenie pokolenia, które ową apokalipsę przeżyje, dzięki modlitwie, oszczędnemu życiu, a niekiedy nawet przygotowaniu odpowiednich zapasów na straszliwy czas. Jeźdźcy apokalipsy już ruszyli – głosi ks. Chmielewski. Nic nie da się z tym zrobić.

Jeśli coś w tym nauczaniu zaskakuje, to jedynie fakt, że kaznodzieja nie zwraca uwagi na to, iż sam sobie zaprzecza. Jeszcze kilka miesięcy temu głosił bowiem, że żadnej pandemii nie ma, że to, co się dzieje, jest spiskiem szatana skierowanym przeciwko Eucharystii i właściwemu wobec niej kultowi. Albo jest więc tak, że jeźdźcy apokalipsy już wyruszyli, a jednym z nich jest zaraza, albo zarazy nie było. *Tertium non datur*.

Świat ks. Chmielewskiego jest pełen toczących wojny demonów i aniołów. Nie ma w nim natomiast logiki, ale przecież logika to nauka świecka: nie wolno się nią przejmować.

Takie kwestie jak logika jednak ks. Chmielewskiemu nie przeszkadzają. On jest prorokiem, a logika – tak jak psychologia czy psychoterapia – to przecież świecka nauka, którą nie wolno się przejmować.

Droga do piekła

Skupienie na złu, na nadchodzącej zagładzie widać także w soteriologii ks. Dominika. Co z niej wynika? Otóż tyle, że większość ludzi będzie potępiona. I nie jest to mój wniosek z jego nauczania, ale jasno wyrażony pogląd. Salezjanin wprost mówi, że większość ludzi będzie potępiona, a wiadomo to z „objawień prywatnych" i rozmów z duszami czyśćcowymi. To, że w Piśmie Świętym ani w Magisterium Kościoła nie ma takiego nauczania, że Kościół nigdy nikogo nie uznał za potępionego, a Pismo Święte pełne jest zapewnień, że Bóg chce zbawiać, a nie potępiać, nie ma dla ks. Chmielewskiego znaczenia. On wie, że ludzie będą potępieni.

W jego nauczaniu nie ma też miejsca na zbawczą ofiarę Chrystusa. Duchowny przekonuje, że zbawienie musimy wypracować, musimy je „wypokutować tu, na ziemi". Ono nie jest darem, łaską, ale czymś, co trzeba wywalczyć. To pelagianizm jak się patrzy, podany do tego w lękowym sosie i lekko zmodyfikowany.

W ujęciu ks. Chmielewskiego nie zbawia nas Jezus, ale pokutowanie, żal, umartwianie się, swoisty układ z Bogiem. Gdyby jednak tak rzeczywiście było, to krzyż i męka, o której tak przejmująco mówi kaznodzieja, byłyby niepotrzebne. Wystarczyłby nam nasz własny pokutny wysiłek. A jeśli nie wypracowalibyśmy zbawienia i zostalibyśmy potępieni, w istocie potępilibyśmy się sami: „Gdy człowiek zobaczy swoje grzechy, będzie to taki wstrząs, że nie zniesie prawdy o sobie". Ani Jezus, ani Jego męka nie tylko by nam nie pomogły, ale wręcz stałyby się źródłem potępienia.

Mógłbym pisać jeszcze o mesjanizmie, o podkreślaniu roli Polski w dziele zbawienia, ale darujmy już to sobie. Czas na kilka zasadniczych pytań. Po pierwsze: czy polscy biskupi są świadomi tego, co naucza jeden z najpopularniejszych obecnie (ostatnio gościł w Licheniu) kaznodziejów? Czy znają jego nauczanie i aprobują je?

Co wie episkopat

Odpowiedź nie jest prosta. Z jednej strony mamy archidiecezję katowicką i białostocką, gdzie salezjanin ma zakaz nauczania i głoszenia (a w diecezji kaliskiej powołano komisję, która ma się przyjrzeć jego nauczaniu), ale z drugiej – mamy ordynariusza diecezji bydgoskiej bp. Krzysztofa Włodarczyka, który zdecydował się zostać „wojownikiem Maryi", tym samym niejako autoryzując ruch.

Sytuację jeszcze bardziej komplikuje fakt, że episkopat dysponuje miażdżącą dla ks. Dominika Chmielewskiego i jego ruchu ekspertyzą teologiczną autorstwa grupy siedmiu polskich teologów duchowości. W opracowanie zaangażowani byli profesorowie: ks. Janusz Królikowski z tarnowskiej sekcji UPJPII i ks. Marek Tatar z UKSW, oraz doktorzy: ks. Janusz Lekan i ks. Adam Rybicki z KUL, o. Sebastian Wiśniewski z UAM oraz ks. Paweł Gabara z łódzkiego WSD. Zespołem kierował ks. prof. Marek Chmielewski z KUL. Autorzy wskazują na niewątpliwy sukces duszpasterski salezjanina, a jednocześnie wykazują cały szereg błędów, jakie zawarte są w jego nauczaniu. O czym mówią?

O zagrożeniu „przesadną demonizacją", dopatrywaniu się szatana i demonów wszędzie, o błędnej angelologii i mówieniu o rasie aniołów, o manicheizmie, który objawia się w podziale na „zły świat", będący w gestii szatana i w rękach przewrotnych ludzi, oraz „dobry świat", który powstaje tam, gdzie jest Maryja i jej wojownicy. To, zdaniem autorów dokumentu, jest już objaw podejścia sekciarskiego.

Teologowie zarzucają ks. Chmielewskiemu także, że głosi tezy sprzeczne z katolicką sakramentologią, choćby takie, że „Eucharystia jest po części lub zarazem Ciałem Maryi; przyjmując Ciało Jezusa – Syna Maryi, chrześcijanin tym samym przyjmuje także Jej Ciało", oraz bliskie mariawityzmowi twierdzenie, że Maryja jako „Małżonka Baranka" i Oblubienica Ducha Świętego jest zarazem Jego wcieleniem lub objawieniem.

Niebezpieczne jest również nieustanne zalecanie, by „myśleć o Maryi jako najpiękniejszej dziewczynie świata, zakochać się w Niej jako najwspanialszej kobiecie, umówić się z Nią na randkę". Maksymalizm mariologiczny jest tak mocny, że w duchowości ks. Chmielewskiego i Wojowników Maryi staje się ona ważniejsza niż Jezus. Te same zarzuty sformułowane są wobec publikacji książkowych salezjanina.

Analiza statutów ruchu Wojownicy Maryi nie pozostawia większych wątpliwości co do tego, że zostały tak przygotowane, by cała władza znajdowała się w rękach ks. Chmielewskiego i by bez niego ruch nie był w stanie normalnie funkcjonować. To może rodzić niebezpieczeństwo, gdyby ksiądz został odwołany z ruchu lub gdyby skierowano go do innej posługi. Zdaniem autorów opinii „ewentualne decyzje przełożonych o odwołaniu go z funkcji Opiekuna mogą doprowadzić do rozłamu i schizmy".

Dokument ten biskupi otrzymali już jakiś czas temu, decyzje dwóch diecezji są ewidentnie z nim związane, w uzasadnieniach bowiem (zazwyczaj werbalnych, a nie pisemnych, i to przekazywanych nieoficjalnie) znajdują się argumenty na nim oparte. Tyle że to wszystko dzieje się po cichu, bez jasnego wskazania zarzutów, bez możliwości rozliczenia się z nich samego księdza, ale także bez uświadomienia wiernym, że pokarm, jaki otrzymują podczas licznych głoszonych przez ks. Chmielewskiego rekolekcji, ma niewiele wspólnego z nauczaniem katolickim, a jest pomieszaniem New Age, prywatnych objawień, magicznej wiary i wypaczonej maryjności.

> Według miażdżącego raportu polskich teologów nauczanie ks. Chmielewskiego to **pomieszanie New Age, magicznej wiary i wypaczonej maryjności.**

Sekta w procesie tworzenia

Skąd bierze się ta ostrożność biskupów? Odpowiedzi trzeba zapewne szukać po pierwsze w ogromnej popularności kaznodziei, a po drugie w fakcie, że przyciąga on mężczyzn (także młodych) do Kościoła. W realiach błyskawicznej laicyzacji niebranie tego pod uwagę byłoby błędem. Ks. Chmielewski – i to również wiedzą już biskupi – ma także wiernych oddanych raczej jemu niż episkopatowi, a to oznacza, że gdyby mieli oni między nimi wybierać, to mogliby uznać episkopat za element „systemu szatana". Kolejny ks. Natanek nie jest nikomu potrzebny.

Ten brak działania umożliwia jednak tworzenie się odrębnej od Kościoła (ale pozostającej w nim i czerpiącej z jego autorytetu) sekty z własną doktryną, z budzeniem poczucia zagrożenia, służącym do uzależniania od kaznodziei ludzi, którym wmawia się rozmaite lęki, by ich potem z nich wyzwalać. Sekciarski charakter ma także włączanie w religijność katolicką (a dokładniej w jej fasadę) elementów magiczno-pogańskich.

Nie przekonuje mnie to, że ks. Chmielewski jest maryjny, bo jego maryjność – na co zwracają uwagę teologowie – jest wyolbrzymiona i niechrystocentryczna. Nie przekonuje mnie też fakt, że salezjanin nawraca i przyciąga ludzi, bo robi to każda sekta. Nie ma działań jednoznacznie złych, w każdym procesie są zawarte także elementy dobre. Istotnym pytaniem jest natomiast to, czy ks. Dominik Chmielewski rzeczywiście przyciąga do wiary czy do pogańskiego zaufania wobec magii. Z tym problemem trzeba się zmierzyć.

Jeśli Kościół w Polsce chce powtórki z mariawityzmu, to jest na najlepszej ku temu drodze.

© TOMASZ P. TERLIKOWSKI

TYGODNIK POWSZECHNY

Zareklamuj swoje wydarzenie w najciekawszym przewodniku „Tygodnika"!

JESIENNY WŁÓCZYKIJ KULTURALNY

Już w środę 28 września w „Tygodniku" jesienny dodatek, a w nim pomysły na spędzenie jesieni – z dobrą lekturą, muzyką; w teatrze, operze czy na wystawie. Kulturalne rekomendacje tygodnikowych autorek i autorów w jednym przewodniku.

Uwaga! Sprawdź ceny dla instytucji kultury – szczegóły pod adresem **reklama@tygodnikpowszechny.pl** lub nr. tel.: **Mateusz Gawron 602 33 17 91** i **Anna Pietrzykowska 602 590 416**

Zapraszamy na łamy i do lektury!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Dwie trzecie głosów

ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI

Nie możemy udawać, że doktryna zawsze była dobra – mówią uczestnicy niemieckiej Drogi Synodalnej i proponują przełomowe zmiany w Kościele.

MAXIMILIAN VON LACHNER / MATERIAŁY PRASOWE

Bp Georg Bätzing, dr Irme Stetter-Karp i inni członkowie komitetu wykonawczego Drogi Synodalnej po ogłoszeniu wyników głosowania nad tekstem „Podstawowe linie odnowionej etyki seksualnej". Frankfurt, 8 września 2022 r.

Jako katoliczka jestem zmęczona. Jestem tak bardzo zmęczona i porządnie denerwuje mnie, że potrzebujemy 30 stron argumentów na to, żeby nazwać i usunąć tę wołającą o pomstę do nieba niesprawiedliwość, i że dogmatyczna autocenzura wydaje się ważniejsza niż godność człowieka" – tak Julia Knop, profesorka teologii dogmatycznej z Erfurtu, przekonywała 9 września uczestników czwartego zebrania Drogi Synodalnej do przyjęcia tekstu programowego komisji „Kobiety w posługach i urzędach Kościoła".

Tak brzmi stracona cierpliwość większości katolików zaangażowanych w niemiecki proces synodalny. Dzień wcześniej głosami biskupów odrzucony został dokument programowy komisji „Życie w udanych związkach" – „Podstawowe linie odnowionej etyki seksualnej" – który postulował przyjęcie obecnego stanu nauki o człowieku i ocenę seksualności nie przez pryzmat poszczególnych aktów, ale zgodności z kierunkiem życia: samostanowieniem, odpowiedzialnością i wiernością. Reguły określone w statucie Drogi wymagają do przyjęcia dokumentów 2/3 głosów całego zgromadzenia i 2/3 głosów biskupów obecnych na sesji. Mimo że ponad 82 proc. głosujących było za przyjęciem dokumentu, nie udało się osiągnąć wymaganej puli głosów biskupich. Kiedy na ekranie pojawiło się niewystarczające 61 proc., na sali i wśród prowadzących zapanowała konsternacja. Obrady przerwano.

– Moja pierwsza myśl była taka: „To dobrze. Wreszcie dzieje się tu coś uczciwego. Wreszcie różnice wychodzą na jaw". Ale wtedy zobaczyłam Hendrika, homoseksualnego młodego człowieka, wychodzącego z sali z płaczem. Ten moment uderzył mnie najmocniej w ciągu tych trzech dni czwartego zebrania. Pomyślałam: „Podczas Drogi Synodalnej głęboko zranione osoby są ranione ponownie" – opisuje ten moment Regina Nagel, asystentka parafialna z diecezji Rottenburg-Stuttgart.

Rozczarowanie

Odrzucenie dokumentu doprowadziło do wybuchu nagromadzonych emocji. Czas do zakończenia Drogi robi się krótki (zostało już tylko jedno spotkanie, w marcu 2023 r.), więc zaczyna się ostateczne głosowanie dokumentów, nad którymi komisje pracowały przez ostatnie dwa lata. W dodatku ostatnie półrocze przyniosło kolejne wydarzenia podnoszące napięcie: publikację raportów o przemocy seksualnej w kolejnych niemieckich diecezjach oraz anonimowego komunikatu watykańskiego, krytykującego Drogę Synodalną (potem się okazało, że był sporządzony przez Sekretariat Stanu).

Najbardziej chyba jednak ciąży uczestnikom ogrom wykonanej pracy: przypomnijmy, że każda z czterech komisji synodalnych przygotowuje jeden tekst programowy oraz kilka szczegółowych, analizujących kwestie zarysowane w tekście głównym. Projekty tekstów programowych były już prezentowane i dyskutowane na poprzednich zgromadzeniach, każda komisja organizowała dodatkowe spotkania, podczas których słuchano opinii i polemik, dokumenty udostępniono też uczestnikom Drogi w internecie, w specjalnym programie, w którym mogli nanosić poprawki, zgłaszać sugestie i sprzeciwy. Wszystkie one były później dyskutowane i głosowane przez zgromadzenie.

Mimo tych okazji i narzędzi do wygłoszenia sprzeciwu i zmiany zapisów, przeciwnicy odrzuconego tekstu milczeli. Tylko dwóch biskupów podczas dyskusji zadeklarowało, że zagłosuje przeciw, ponieważ według nich tekst proponuje nie rozwój nauki kościelnej, a jej zanegowanie.

„Głęboko żałuję, że biskupi w tym zgromadzeniu, którzy mają dużą odpowiedzialność, również teraz za tę decyzję, nie są gotowi przedstawić swojego zdania – powiedziała po głosowaniu Irme Stetter-Karp, przewodnicząca Centralnego Komitetu Niemieckich Katolików, współorganizatora Drogi. – Jeśli to się powtórzy przy następnym głosowaniu, świeccy będą pytać: Po co inwestujemy tyle sił i czasu? Po co? Dodam jeszcze: wierzę, że wszyscy, którzy tutaj tysiące godzin zainwestowali, wiedzą, po co. Mówię za nich wszystkich: robimy to dla naszego Kościoła. I tylko dlatego zdecydowałam się tu zostać, choć moje serce i dusza mówią: kto wie, czy to była dobra inwestycja?". Po policzkach Stetter-Karp płynęły łzy.

Przewodniczący Episkopatu Niemiec, bp Georg Bätzing, próbował ratować sytuację. Zapewniał, że odrzucony dokument zawiezie do Rzymu w ramach zaplanowanej na listopad wizyty *ad limina*, że podda go dyskusji w swojej diecezji. Wzywał, żeby pozostać razem. Ale prze-

paść między biskupami a resztą katolików dała się odczuć. „Nie może być tak, że my, wierzący, musimy cały czas trwać przy biskupach – a oni nie trwają przy nas" – powiedziała siostra Katharina Kluitmann, była przewodnicząca konferencji wyższych przełożonych zakonnych w Niemczech.

Przez chwilę wydawało się, że Droga Synodalna właśnie się skończyła. Oddzielnie biskupi, oddzielnie świeccy udali się na narady. Wiele osób z komisji, której tekst odrzucono, opuściło spotkanie. Ale następnego dnia rano zgromadzenie zebrało się na nowo i przyszedł czas na żmudne konstruowanie synodalności: na trudną szczerość, wypracowywanie kompromisów, nieustanne pilnowanie, by realne troski katolików znalazły publiczny wyraz, a nade wszystko – odważne podawanie w wątpliwość obecnego systemu władzy w Kościele. W dalszych głosowaniach przyjęto projekt stałej rady, która ma sprawić, że synodalność nie skończy się wraz z Drogą, ale stanie się stałą praktyką partycypacji świeckich w kierowaniu Kościołem w Niemczech. Świeccy wymusili również na biskupach, by wszystkie następne głosowania były imienne.

Owacje

Pozytywny wynik głosowania nad programowym tekstem o konieczności równego dostępu kobiet i mężczyzn do wszystkich urzędów i posług kościelnych został przyjęty długimi owacjami na stojąco, a przewodniczący komisji nie kryli wzruszenia. I choć znaleźć można wiele głosów krytycznych, że tekst ze zbyt dużą nieśmiałością postuluje zmiany, to bez wątpienia jego przyjęcie jest wydarzeniem historycznym – zwłaszcza z perspektywy innych Kościołów partykularnych czy Kościoła powszechnego.

– Teksty zostały publicznie udostępnione. Droga Synodalna w Niemczech jest bardzo uważnie obserwowana i teraz zaufałabym dynamice Kościoła powszechnego. Temat kobiet został postawiony na Synodzie powszechnym przez wiele Kościołów lokalnych, my oferujemy konkretną argumentację. I tego nie da się już cofnąć – ocenia prof. Knop.

Dokument jasno określa wezwanie do równouprawnienia jako swój podstawowy cel. Wykluczenie kobiet z urzędowego reprezentowania Chrystusa określa jako skandaliczne, zauważa przemoc wobec kobiet (w tym duchową) oraz wskazuje te elementy religijnego dyskursu, które tworzą dlań przychylne środowisko, przedstawia argumentację historyczną, biblijną i teologiczną za równym traktowaniem kobiet i mężczyzn oraz określa konieczność zmian jako pilne.

Dokument wskazuje również na bogactwo pracy duszpasterskiej już wykonywanej przez kobiety, na ich moc prorocką i siłę w walce o ludzką godność: „Przedstawienie historii chrześcijaństwa z perspektywy kobiet nie jest więc opowiadaniem o serii wyjątkowych postaci kobiecych, które się wyróżniają, ale przypomnieniem historii ciągłego wkładu kobiet w życie Kościoła, który musi być dostrzeżony i doceniony". A nade wszystko: w tekście znalazł się apel do papieża o zrewidowanie „Ordinatio sacerdotalis", dokumentu, który najdalej postąpił w zamykaniu debaty o kapłaństwie kobiet.

Odpowiedzialność

Znamiona wydarzenia historycznego ma również dokument szczegółowy, który wzywa papieża do przewartościowania oceny homoseksualizmu. W krótkim i klarownym tekście zwraca się tu uwagę na konieczność poszanowania każdego człowieka z daną mu od Boga seksualnością i wynikającym z niej dążeniem do harmonizacji życia z orientacją seksualną. Wskazuje się na wartości, które mają decydować o ocenie relacji, takie jak poszanowanie godności i samostanowienia, miłość i wierność, odpowiedzialność za siebie nawzajem oraz wyłączność i trwałość. Postuluje się zmianę zapisów katechizmu oraz jasne opowiedzenie się przeciw terapiom konwersyjnym, dyskryminacji w przyjmowaniu do pracy w instytucjach kościelnych oraz przy udzielaniu święceń. Dokument został przyjęty większością 92 proc. (i 83 proc. pośród biskupów).

Oprócz konkretnych rozwiązań, za których wprowadzenie w życie finalnie będzie odpowiadał biskup, ważna jest zmiana nastawienia w mówieniu o zadaniu Kościoła: towarzyszenie człowiekowi, a nie niewzruszona obrona wypracowanych uprzednio rozwiązań.

Knop: – Ostatecznie to właśnie zostało powiedziane w soborowej konstytucji „Gaudium et spes". Dla nas w Niemczech ważne jest, że nie zorganizowaliśmy Drogi Synodalnej tylko po to, żeby jeszcze raz powiedzieć, jaka jest nauka, ale że zrobiliśmy to z historią winy Kościoła w tle. Dlatego jesteśmy przekonani, że nie możemy po prostu udawać, iż doktryna zawsze była dobra. Mówiąc o czynnikach systemowych, mamy na myśli nie tylko struktury, ale również idee. ©

ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI *jest teolożką i historyczką sztuki, współzałożycielką Fundacji Tekla. Pracuje dla organizacji Voices of Faith, działającej na rzecz obecności kobiet na stanowiskach decyzyjnych w Kościele, i z jej ramienia uczestniczy w Drodze Synodalnej.*

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Jarosławiu I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 455/20 toczy się postępowanie z wniosku Asekuracji sp. z o. o. z siedzibą w Sopocie o stwierdzenie nabycia spadku po Józefie Widaju, s. Teodora i Anny, ur. 31 maja 1950 r. w Przemyślu, zm. 4 stycznia 2013 r. w Jarosławiu, ostatnio stale zamieszkałym w Czerniawce.

Wzywa się spadkobierców Józefa Widaja, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Jarosławiu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku po ww. spadkodawcy.

W Sądzie Rejonowym w Kościerzynie w sprawie o sygn. akt I Ns 429/21 toczy się postępowanie z wniosku Adama Kochanka o zasiedzenie nieruchomości położonej w Litewskim Górach, gm. Liniewo, stanowiącej działki geodezyjne o numerach 163, 197, 198 i 225, o łącznej powierzchni 11,3200 ha, objętej księgą wieczystą Sądu Rejonowego w Kościerzynie GD1I/0000666606/1, w której jako właściciel figuruje Stefania Pierzchała, córka Jana i Józefy.

Wzywa się wszystkich spadkobierców Stefanii Pierzchały, aby w terminie 3 miesięcy od daty publikacji ogłoszenia zgłosili i wykazali swe prawo do przedmiotowej nieruchomości pod rygorem rozpoznania sprawy bez udziału.

Przyjaciółki

MARCELINA SZUMER-BRYSZ

Wanda Błeńska była lekarką, która poświęciła życie leczeniu trędowatych w Ugandzie. Trwa jej proces beatyfikacyjny, na którym jednym z głównych świadków jest Beata Chomicz.

O Wandzie Błeńskiej (1911-2014) pierwszy raz usłyszałam 20 lat temu. Wtedy moja babcia, Beata Chomicz, torunianka, wieloletnia harcmistrzyni i założycielka tutejszego harcerskiego Kręgu Seniorów, zebrała od przyjaciół i z pomocą Komendy Hufca Toruń wydała w formie książki listy, które z leprozorium w Bulubie nad Jeziorem Wiktorii wysyłała jej przyjaciółka, inna harcerka, Janina Bartkiewicz, przez dekadę wspierająca doktor Błeńską w jej pracy z chorymi. Dostałam wtedy od babci egzemplarz „Listów z Afryki".

– Wszystko, prawdę mówiąc, zaczęło się właśnie od harcerstwa – mówi Beata Chomicz, która w lutym skończyła 98 lat.

Mimo wieku do dziś uczestniczy w rozmaitych spotkaniach harcerskich, turystycznych czy KIK-owskich. Zaproszono ją też do Poznania na inaugurację procesu beatyfikacyjnego przyjaciółki, ale w wyjeździe przeszkodziły ograniczenia związane z pandemią.

– Byłam harcerką już przed wojną, więc gdy na początku lat 50. przeczytałam apel odradzającego się hufca, by zgłaszali się chętni do działania, poszłam w nadziei, że może chociaż do jakiejś pracy biurowej się przydam. Komendantka, a była nią Janina Bartkiewicz, posłała mnie jednak na kurs drużynowych. Prócz mnie zgłosiło się jeszcze sporo innych podobnych nam ludzi i tak stworzyła się nasza Paczka. Tak się polubiliśmy, tak nam było dobrze w swoim towarzystwie, że zaczęliśmy się spotykać nie tylko w hufcu czy na zbiórkach, ale też na imieninach lub przy innych okazjach. Na jedno z tych spotkań Janka przyprowadziła swoją przyjaciółkę z czasów okupacji. Powiedziała: „To jest nasz człowiek", więc przyjęliśmy ją do Paczki. To właśnie była Wanda.

Daleko, ale blisko

Wanda Błeńska była już wtedy od dziesięciu lat lekarką w Ugandzie. W Polsce spędzała jedynie urlop. – Raz na dwa lata dostawała dwa miesiące wolnego i przyjeżdżała do kraju – wspomina Beata, którą od pierwszej chwili oczarowała skromność Błeńskiej i jej uśmiech. – Nie miała poczucia, że robi coś wielkiego, raczej przeświadczenie, że robi to, co lubi i powinna. Miała przy tym fantastyczne poczucie humoru i wielkie pokłady serdeczności i ciepła. Byłyśmy daleko od siebie, ale zawsze czułam się otoczona myślami i modlitwami Wandy.

Nieczęste spotkania rekompensowały sobie listami. – Wanda pisała rzadko, bo zwyczajnie nie miała na to czasu. Najczęściej dopisywała parę słów od siebie do listu Janki, która w 1965 r. pojechała wspierać ją w Afryce – przedtem zrobiła kurs z zakresu rehabilitacji, nauczyła się szyć buty ortopedyczne i nauczyła się angielskiego.

Stało się to już po tym, jak komunistyczne władze narzuciły partyjnych aktywistów do kierowania ZHP i pozbyły się „nieprawomyślnych", szczególnie przedwojennych druhów i druhen, takich jak Janina i Beata.

– Był rok 1962. Moja drużyna miała za sobą dwa tygodnie pracy i zabawy, gdy z powiatu przyjechał wizytator. Pierwsze pytanie brzmiało: „Czy byli w kościele?". Powiedziałam, że działając zgodnie z konstytucją pozwoliłam iść. Wizytator na to, że mam nie zawracać sobie głowy konstytucją, bo moim zadaniem jest tak zorganizować dzieciom czas, by nie było gdzie zmieścić mszy. Została mi jedna odpowiedź: że nie mogę też działać wbrew sobie, bo i ja jestem osobą wierzącą. Działacze komitetów partyjnych – powiatowego i wojewódzkiego – zatrzęśli się ze złości. To był mój koniec w harcerstwie.

Janina wyjechała do Wandy, Beata została w Toruniu. Afrykańska korespondencja przychodziła na adres mojej babci i była potem odczytywana całej Paczce.

Listy od Janki i Wandy babcia rozkłada na stole w swoim toruńskim mieszkaniu. W jednej z kopert kartka z lat 70. Do niej przyklejony ręką Wandy Błeńskiej opłatek wigilijny i świąteczne życzenia. W innej niewielkie afrykańskie figurki. Ostatnio bawił się nimi prawnuk Beaty. Niewiele dzieci ma okazję pobawić się przyszłymi relikwiami...

– Więcej czasu dla siebie miałyśmy dopiero, gdy Wanda już przeszła na emeryturę i wyjechała z Afryki. Wtedy co kilka miesięcy była w Toruniu, miałyśmy więc czas na spotkania. Niestety już bez Bartusia, jak pieszczotliwie Jankę nazywała jej najbliższa przyjaciółka Wanda.

Druhna Janka zmarła na raka krtani. Rok po operacji Wanda Błeńska przywiozła ją do Polski i przez cały swój trzymiesięczny urlop opiekowała się nią. – Parę dni przed śmiercią poszłam do Janki, była

ARCHIWUM BEATY CHOMICZ

Wanda Błeńska (z lewej) i Janina Bartkiewicz na wycieczce rowerowej, 1961 r.

już bardzo słaba, ale miała potworne wyrzuty sumienia, że Wanda zamiast odpoczywać, dogląda ją i obsługuje robiąc za matkę, kucharkę, pielęgniarkę i lekarkę – opowiada Beata. – Wychodząc minęłam się w drzwiach z Wandą, która wracała z jakichś zakupów. Powiedziała mi, że to już ostatnie dni, że nasz Bartuś odchodzi. Jakoś mi się tak wtedy z serca wyrwało: „Wandziu, ja to ciebie już uważam za świętą". „A dajże spokój! – odpowiedziała. – Przecież ja robię tylko to co, umiem i lubię!". Zrozumiałam wtedy, że dla niej pomaganie innym to był wybór życiowy, nic szczególnego.

To chucherko lekarzem?

Babcia wspomina, że jej przyjaciółka lekarką chciała być od zawsze. – Była maleńka, gdy straciła mamę, i chyba już jako dziecko postanowiła, że zostanie lekarką. Żeby ratować ludzi, żeby nikt już nie musiał tak tęsknić za mamą jak ona.

Droga do wymarzonego zawodu była jednak wyboista. Pierwsza przeszkoda: dziekan wydziału lekarskiego. – Gdy ojciec, pracownik toruńskiego kuratorium, zabrał drobną 17-letnią Wandzię na uczelnię w Poznaniu, dziekan zapytał, co niby ma robić to dziecko na tak ciężkim wydziale. Wanda jednak była nieugięta, nikt nie był jej w stanie odwieść od studiowania medycyny.

Pomysł wyjazdu na misję zrodził się w jej głowie dość wcześnie. Na studiach należała do grupy misyjnej. – Z tym że wszystko trochę przeciągnęło się w czasie – mówi Beata Chomicz. – Wybuchła wojna. Wandzia prócz tego, że pracowała w Zakładach Higieny w Toruniu, należała też do AK i działała w strukturach Gryfa Pomorskiego. Była komendantką oddziału kobiecego, dosłużyła się stopnia porucznika. No ale w końcu Niemcy ją aresztowali. Z wyrokiem śmierci wywieźli ją do więzienia w Gdańsku. Udało się ją uwolnić, bo nasi konspiratorzy przygotowali wielką paczkę żywnościową dla Niemca, od którego zależało życie Wandzi. To już był 1944 r., w Niemczech nic nie było, przymierali tam głodem. Więc zwyczajnie go tą paczką przekupili – opowiada.

Jej zdaniem mało jest osób, które tak jak Wanda Błeńska nie odczuwały strachu. – Stąd też pewnie wynikała jej pogoda ducha. Ale do tego trzeba umieć, tak jak ona, zawierzyć się Bogu. Uwierzyć, że On nas kocha i nad nami czuwa. Cecha przydatna, w czasie wojny rodziła bohaterów. Wandy ukochany brat Roman był w oflagu i gdy dowiedziała się, że ciężko zachorował, mimo trudności pojechała, by mu oddać krew. Ujęła tym lekarzy, krew się przydała.

Dalsze losy Błeńskiej brzmią w opowieści babci niczym scenariusz filmu akcji.

– Gdy po wojnie dowiedziała się, że brat jest w Hamburgu samotny i znów ciężko chory, a nie dostała wizy, musiała wyjechać z kraju nielegalnie. Udało jej się dogadać z marynarzami, którzy schowali ją do skrzyni między hałdami węgla – opowiada Beata. – Tak znalazła się w Hamburgu. Nie chcąc zostawić brata, straciła możliwość powrotu. Praktykowała medycynę w Niemczech i Liverpoolu, robiła rozmaite kursy medycyny tropikalnej, ciągle z myślą, że wyjedzie na misję medyczną. Gdy okazało się, że znajomy ksiądz zna biskupa poszukującego lekarza do Ugandy, Wanda załatwiła wszystkie formalności w pięć dni!

Matka trędowatych

– Wandzia leczyła nie tylko trędowatych – mówi Beata. – Ona tam była jedyną lekarką na setki kilometrów! Miała tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy pacjentów, ze wszystkimi możliwymi przypadłościami. Czasem pracowała bez przerwy, dzień i noc. Jeśli wieczorem przeprowadziła operację, potrafiła w nocy wstać, żeby sprawdzić, jak się czuje pacjent. Ja naprawdę nie wiem, jak ta jedna, z wyglądu drobna i słaba kobieta to udźwignęła.

Beata pokazuje mi list Janiny Bartkiewicz z jej pierwszej wizyty w szpitalu dla trędowatych w Nyendze – drugiego szpitala obsługiwanego przez doktor Błeńską – do którego wstąpiły po drodze do Buluby. Nowa pomocnica Błeńskiej nie mogła się nadziwić, jak przyszła błogosławiona traktuje pacjentów. Żadnego obrzydzenia, tylko serdeczna, czuła, pełna troski relacja lekarz–pacjent, a może po prostu człowiek–człowiek. – Wanda nigdy nie używała rękawiczek, ↦

ARCHIWUM BEATY CHOMICZ

Pamiątkowe zdjęcie na równiku, Uganda, 1968 r.

ARCHIWUM BEATY CHOMICZ

Beata Chomicz, Toruń, listopad 2021 r.

TYTUS ŻMIJEWSKI / PAP

Wanda Błeńska, Poznań, 2006 r.

↦ bo nie chciała, by chorzy na trąd mieli wrażenie, że się ich boi lub brzydzi.

– Przez pierwsze 15 lat Wanda była w Ugandzie sama, potem udało się jej namówić polskich lekarzy na przyjazd, więc było lżej.

Gdy przyjechała, szpital był szpitalem tylko z nazwy. Nie było tam nawet łóżek. Czasem operowała na jakimś prowizorycznym posłaniu czy łóżku polowym. Opowiadała mi, że modliła się wtedy do Boga, by coś zrobił, bo ona już zrobiła wszystko, co mogła. Wspominała przypadki pacjentów, o których nie wiedziała, czy życie zawdzięczają jej pracy czy Bożej ingerencji.

Jednocześnie Beata zastrzega, że Wanda Błeńska, choć pobożna, nigdy nie była dewotką. Cytuje mi kolejny fragment listu Janiny Bartkiewicz, która tak podsumowała przyjaciółkę i szefową: „Nowoczesnych świętych tak sobie wyobrażam. Pobożność bez dewocji, prostota w obcowaniu z Bogiem i ludźmi (...) i ta nadzwyczajna pogoda ducha. Kto się z nią zetknął, był oczarowany”.

Tak jak oczarowani musieli być polscy alpiniści, którzy w 1955 r. postanowili zdobyć ugandyjski szczyt Vittorio Emanuele. – Zatrzymali się u Wandy i zaproponowali, by ruszyła z nimi. Weszła z nimi na tę górę, a ma ona prawie 5000 m, kompletnie bez przygotowania, jako pierwsza kobieta w historii – opowiada Beata.

Pożegnanie z Wandą

Wanda Błeńska wyjechała z Afryki w 1994 r. Maleńki ośrodek, który zastała w Bulubie w 1950 r., rozrósł się za jej czterdziestoletniej kadencji do rozmiarów sporego szpitala ze stoma łóżkami, oddziałem pediatrycznym, ośrodkiem dla trędowatych, centrum diagnostycznym i centrum szkoleniowym. – Wanda nie tylko leczyła, ona też prowadziła ważne badania nad chorobami tropikalnymi. Niejeden lekarz szkolił się właśnie u niej – opowiada Beata i dodaje, że ośrodek w Ugandzie nosi dziś imię Błeńskiej.

Kiedy babcia pożegnała się z przyjaciółką? – Właściwie się nie pożegnałam – mówi. – Po powrocie do Polski Wandzia osiadła w Poznaniu. W Toruniu ostatni raz była w 2012 r. Bardzo to był aktywny pobyt, wciąż ją gdzieś wożono, wręczano kwiaty itp. Na spotkaniu z młodzieżą zdążyłam tylko do niej podejść i poprosić, żeby jednak trochę odpoczęła, położyła się na chwilę, miała już przecież wtedy 101 lat. No ale powiedziała, że nie jest zmęczona. I poprosiła, żebym przyjechała do niej do Poznania, to sobie spokojnie pogadamy. Nie pojechałam, krępowałam się. Nie chciałam nikogo swoją osobą trudzić. Dwa lata później Wandzia zmarła.

Beata Chomicz jest w kontakcie z ks. Jarosławem Czyżewskim, postulatorem procesu beatyfikacyjnego Wandy Błeńskiej, któremu przekazała mnóstwo materiałów o przyjaciółce. Ponieważ nowe technologie nie są dla niej zagadką, większość osobiście zeskanowała i przesłała mailem.

– Dość długo już żyję, wszystkie nasze wspólne przyjaciółki odeszły i już są razem, a ja wciąż tutaj. Jestem może jedyną żyjąca osobą, która znała Wandzię tak długo – mówi babcia.

Gdy dowiedziała się, że przyjaciółka zostanie wyniesiona na ołtarze, pomyślała po prostu: „no, nareszcie”.

© MARCELINA SZUMER-BRYSZ

WOJCIECH

Bonowicz: *Widok z dołu*

Kiedy siedzę z Bogdanem w saloniku, który urządził w piwnicy, mam wzrok na poziomie trawy. To zupełnie niezwykłe, patrzeć na trawę – na ptaki, które ją przeszukują, na skradające się koty (teraz śpią, ale w pogodny dzień będą buszować) – nie z góry, ale tak, jakby moja głowa wyrastała z ziemi. Spokój, pokora, ale też spełnione marzenie, by być mniejszym, malutkim, oglądać świat z perspektywy Calineczki i przemykających między opadłymi liśćmi żuków.

„Nie wolno przywiązywać się do widoku z jednego okna", pisał Tischner. Nawet z okna obok świat, choć niby ten sam, wygląda nieco inaczej – nie tylko jego centrum nieznacznie się przesuwa, ale zmienia się też coś na jego brzegach. Pamiętam z dzieciństwa, jak się czekało na powrót taty z pracy: przebiegaliśmy od okna w kuchni do okna w pokoju, bo nie wiadomo było, na którym przystanku wysiadł i z której strony nadejdzie. Z okna w pokoju widok był szerszy, ale jeśli tata wysiadł na pętli, szybciej można było zobaczyć jego sylwetkę, stojąc na taborecie w kuchni. Jako dziecko byłem zafascynowany tym, jak drobna zmiana w sposobie patrzenia wpływa na to, co widzimy. Lubiłem np. przymykać na przemian lewe i prawe oko. Jeśli robiłem to dostatecznie szybko, wprawiałem w ruch rzeczy, na które patrzyłem – meble się chwiały, lampa na suficie przesuwała, doniczki na parapecie zabawnie podskakiwały. Lubiłem też kłaść się na boku w trawie: jedno oko było wtedy zanurzone w zieleni, drugie wystawało ponad nią. Chmury schodziły tak nisko, że zdawały się muskać główki koniczyny. Między źdźbłami trawy zawsze ktoś spacerował. Byłem w dwóch światach równocześnie.

Zwykle patrzymy na ziemię z góry. Nie dostrzegamy wówczas szczegółów, nie myślimy o tym, co się tam „w dole" dzieje. Patrząc z góry, nieuchronnie nabieramy przekonania, że jakoś nad tym światem panujemy; im wyżej nosimy głowę, tym większy obszar mamy pod kontrolą. Na wiele spraw zresztą patrzymy w ten sam sposób: mamy swój pogląd, swoją ocenę, swoją „górę" – i „dół", czyli rzeczywistość inaczej ujęta i inaczej zobaczona nas nie interesuje. Mamy swoje okno i swojski widok za oknem, po cóż mielibyśmy coś zmieniać? Zmiana zawsze jest wyzwaniem, zmiana budzi lęk. Bywa więc i tak, że nawet kiedy ktoś postawi nas przed nowym oknem i nowym widokiem, możemy wcale tego nowego nie zobaczyć, bo tak przywiązani jesteśmy do tego, by widzieć „po staremu". Można objechać pół świata i wrócić do domu z głową pełną stereotypów. Można też nie wyjeżdżać z domu i być nieustannie „w podróży", w której co rusz natykać się będziemy na coś, co każe nam zrewidować dotychczasowe przekonania.

„To bardzo ważne, by człowiek umiał zmieniać od czasu do czasu punkty swego widzenia świata", pisał Tischner. „Nie wolno przywiązywać się do jednego okna. Zmieniać punkty widzenia to wznieść się ponad siebie, ponad własne uczucia, własne interesy, to patrzeć na siebie tak, jak by się było kimś innym. Jakiś stopień wolności jest warunkiem myślenia. Wolność przypina człowiekowi skrzydła. Dzięki tym skrzydłom człowiek może unieść się ponad swój mały świat. Może popatrzeć na siebie z zewnątrz. Dopiero porównując wewnętrzny i zewnętrzny obraz samego siebie, może człowiek przybliżyć się do prawdy".

Często wracam do tego fragmentu. Zastanawia mnie fakt, że Tischner używa w nim wyrażenia „nie wolno" zamiast perswazyjnego „nie warto" czy „nie powinno się". „Nie wolno" jest bardziej kategoryczne, stanowcze, nie zostawia wyboru. Jest w tym jakiś przejmujący paradoks: są takie rzeczy, których „nie wolno", jeśli chce się być wolnym. Jedną z tych rzeczy, których „nie wolno", jest niechęć do rewizji swoich poglądów, do zmiany perspektywy, do – jak to się dziś mówi – wyjścia ze strefy komfortu. Człowiek musi się wznieść ponad „swój mały świat", pisze Tischner. A ja dodałbym jeszcze, że czasem, aby się „wznieść", trzeba zejść w dół, między źdźbła trawy, stanąć twarzą w twarz z tym, czego dotąd nie widzieliśmy, bo może nie chcieliśmy widzieć. ©

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

- **OGÓLNOKLUBOWE,** poniedziałek 26 września, cykl Wspólne czytanie, „Czy jest szansa na ciałopozytywność?" – czytamy Dodatek Specjalny "Ciało się udało", / online /
- **SŁUPSK,** czwartek 22 września, spotkanie z prof. Andrzejem Rzeplińskim, „Konstytucyjna demokracja" / stacjonarne /
- **LUBLIN,** wtorek 27 września, spotkanie z Filipem Flisowskim i Robertem Gostkowskim, „Obecni w Kościele – dlaczego Kongres Katolików i Katoliczek?" / stacjonarne /

REZERWUJ CZAS!

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

Więcej na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

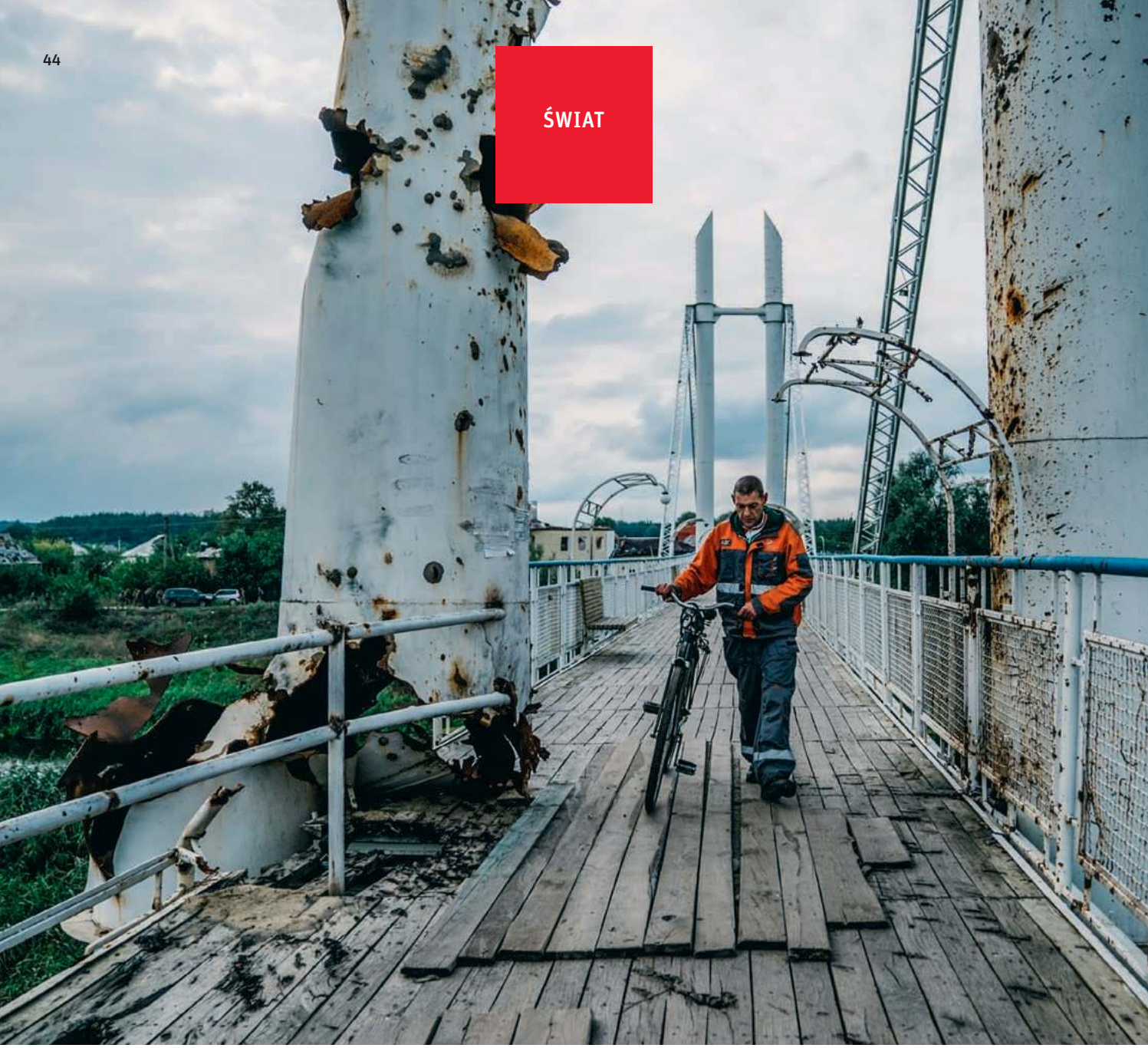

NOWA NADZIEJA

Po półrocznej rosyjskiej okupacji mieszkańcy Iziumu odzyskali wolność.

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIĄŻEK Z IZIUMU (OBWÓD CHARKOWSKI, UKRAINA)

Dwie 74-latki, Lubow i Lidia, wyglądają wzdłuż ulicy. Lidia pracowała wcześniej w szpitalu. Z kolei prosta majestatyczna postawa, splecione za plecami ręce, spokojny i opanowany głos zdradzają, że Lubow była nauczycielką. Dawniej w jednej z tutejszych szkół uczyła języka ukraińskiego.

Na ulicę padają promienie zachodzącego słońca – tam, gdzie udało się im przebić przez miejską zabudowę i drzewa. Przebija się ich teraz więcej, bo w tej dzielnicy wiele budynków zostało poniszczonych w trakcie walk. Jak choćby ten, obok którego stoją Lubow i Lidia, wypalony do cna.

Na innym widać napis: „Izium – miasto prawdziwych emocji”.

Most dla pieszych, jedyna w mieście przeprawa przez rzekę Doniec.

Idą nasi chłopcy

Sąsiadki wyszły popatrzeć, bo wciąż nie mogą się nacieszyć, że do ich miasta powróciło ukraińskie państwo. Wróciło bowiem zupełnie niedawno. Gdy Lubow i Lidia stały na ulicy, Rosjan nie było w Iziumie dopiero od czterech dni.

– Idą nasi chłopcy. Aż czuje się, jak bije od nich aura – mówi Lubow.

Ulicą idzie oddział mężczyzn w mundurach. Nie spotykają ich tu rzucane ukradkiem krzywe spojrzenia, tylko uśmiechy, łzy i ciepłe słowa. Mieszkańcy, a przynajmniej znaczna część z tych, którzy pozostali w mieście, czekali, aż ukraińska armia wróci do Iziumu, gdzie do momentu rosyjskiej inwazji z 24 lutego mieszkało 48 tys. ludzi.

Izium to kluczowa i najbardziej symboliczna zdobycz ukraińskiej kontrofensywy, w rezultacie której w ciągu kilku dni rosyjska armia została zdruzgotana i zmuszona do chaotycznej ucieczki z niemal wszystkich kontrolowanych terenów w obwodzie charkowskim.

Lubow przekonuje, że wróciły nie tylko niebiesko-żółte flagi, ale coś jeszcze.

– Wczoraj szłam przez plac, a tam ludzie spacerują. Czegoś takiego nie było u nas przez pół roku! Siedzieli poukrywani, bali się strasznie. Ludzie odczuli, że coś się zmieniło – mówi emerytowana nauczycielka.

Mianowicie wróciła wolność.

– Przywykliśmy do swobody. Idę, gdzie chcę, mówię, co chcę, i nikt mi tego nie zabrania. Nie mogłam tego pojąć, jak żyć w poczuciu ciągłej trwogi – stwierdza Lubow.

Dlatego nie zważa na to, że Izium wygląda dziś jak jedno wielkie pobojowisko, że nic w nim nie działa, a na pomoc humanitarną czekają tłumy. Wróciła bowiem nadzieja, że za jakiś czas w Iziumie życie znowu zacznie pulsować.

Najstraszniej było nocą

Od pierwszych dni inwazji Izium był jednym z celów Rosjan. Przez miasto prowadzi trasa do ważnych ośrodków obwodu donieckiego, takich jak Słowiańsk czy Kramatorsk. W marcu o Izium toczyły się zacięte walki i to właśnie wtedy doszło do największych zniszczeń.

– Wykorzystali wszystko, co mieli. Najpierw lotnictwo, następnie artylerię, potem swoje zrobiły czołgi, a na końcu weszła piechota – mówi Lubow.

Mieszkańcy najgorzej wspominają samoloty.

– Najstraszniejsze, jak nocą bombardują. Nie widać samolotów, świszczą nad głową, zrzucają minimum dwieście pięćdziesiąt kilogramów, aż dom podskakuje – opowiada 63-letni fotograf Mykoła.

– Samoloty zdaje się wszyscy pamiętają. Waliły po nas strasznie. Siedzieliśmy w piwnicach. Nie wiedzieliśmy, dokąd to przyleci. Tam niedaleko jest dom czteropiętrowy. W niego trafiło jako jeden z pierwszych – mówi Władysław, 42-letni właściciel sklepu spożywczego.

Jak podają ukraińskie władze, w rezultacie tamtego ataku miało zginąć 47 osób, w tym dzieci.

– Potem psy tam z urwanymi rękami w pyskach biegały – dodaje Władysław.

To nie strach, tylko poniżenie

W pierwszych dniach po zajęciu Iziumu w mieście znajdowali się rosyjscy żołnierze z armii regularnej. Jak mówi Lubow, byli uprzejmi, nie robili problemów, unikali sytuacji konfliktowych. Próbowali znaleźć wspólny język. Chcieli, by potraktowano ich jak swoich.

– Ale to było sztuczne. Czuliśmy to. Najpierw nas zbombardowali, a potem mówili: *Wsio budiet choroszo* – stwierdza.

Bez okien w domach, przez długi czas bez dostępu do wody, prądu i gazu, wegetowali, jak mogli. Na miejsce rosyjskiej armii szybko przyszli bojownicy z podporządkowanych Moskwie samozwańczych Donieckiej Republiki Ludowej i Ługańskiej Republiki Ludowej, a także z Federalnej Służby Wojsk Gwardii Narodowej Rosji, w tym okryci złą sławą kadyrowcy.

W 2014 r. wybuchła wojna w Donbasie, w rezultacie której zginęło przynajmniej 13 tys. osób. Wspierani przez Rosjan separatyści powołali do życia dwie nieuznawane republiki, których obrona przed Kijowem stała się oficjalnym powodem rosyjskiej inwazji osiem lat później. Choć po roku 2015 linia frontu w Donbasie się ustabilizowała, to regularnie dochodziło do starć między ukraińską armią a bojownikami i Rosjanami.

To po wkroczeniu do Iziumu separatystów i gwardii narodowej stosunek do cywilów zmienił się diametralnie. Lubow pamięta pijanych ludzi w mundurach wlokących karabiny po ziemi. Któregoś razu przyjechali do jej domu i strzelali seriami po oknach. W budynku byli ludzie. Chowali się, a jak kule przestały latać, wyszli, aby sprawdzić, co się stało. Tamci po prostu chcieli sobie postrzelać. Taki mieli kaprys.

W mieście zapanował chaos i wydawało się, że nikt nie sprawuje kontroli nad różnymi ugrupowaniami znajdującymi się w Iziumie. Kazali nosić mieszkańcom białe opaski, by pokazywali tak swoją lojalność.

– Nie tyle czułam strach, bo w takim wieku już się tak nie lękasz, ale raczej poniżenie, bo jesteś nikim na swojej ziemi ↦

Władysław (drugi od prawej) przed swoim sklepem, obok jego żona Ołena.

Mykoła spędził tydzień w areszcie podczas rosyjskiej okupacji.

↦ i masz ciągle się bać. W marcu były jeszcze mrozy, chodziłam do studni po wodę. Jak gdzieś ciebie złapali bez paszportu czy białej opaski, to mieli cię za nikogo.

Niech ktoś mi powie, że jestem separatystą

Przed pustym sklepem leży wyrzutnia rakiet termobarycznych z ledwie widoczną literą „Z", którą siły rosyjskie oznaczają swoje pojazdy. Rakiety sterczą bez ładu.

Za nimi przed sklepem siedzi na wystawionym na zewnątrz krześle Władysław, obok niego żona Ołena i ich znajoma Nadija.

Na zniszczenia, walające się wraki i rakiety, na porzucony czołg z napisem „Allahu Akbar" na lufie nie zwracają uwagi. Ta pożoga stała się ich codziennością i to teraz powracające życie jest dla nich czymś niezwyczajnym.

Władysław jest etnicznym Rosjaninem, wychował się w obwodzie donieckim, na terytoriach, które są obecnie okupowane. Jego ojciec pochodzi z Kubania. W ostatnich latach Związku Sowieckiego służył w wojsku na terytorium Ukrainy i tutaj został.

Gdy rosyjski żołnierz powiedział mu teraz, że jest jednym z nich, ojciec Władysława odpowiedział mu: „Dla mnie jesteś okupantem".

Władysław i Ołena nie wyjechali z miasta, bo wojna wkroczyła do Iziumu szybciej, niż zdążyli się zorientować. Potem mogliby udać się już tylko do Rosji i stamtąd próbować przedostać się gdzieś dalej. Ale o wyjeździe do kraju, który napadł na jego dom, Władysław nie chciał nawet myśleć.

– Dlatego zostaliśmy tutaj, bo to nasza ziemia – stwierdza dziś. – Niech ktoś mi tylko powie w twarz, że jestem separem, to po tej szkole życia, jaką tu przeszliśmy, nie będę zważał na prawo.

„Separ" to potoczne określenie na rosyjskich separatystów.

Cierpieliśmy my, teraz cierpcie wy

Do sklepu Władysława i Ołeny ludzie walczący po stronie rosyjskiej włamywali się osiem razy. Przede wszystkim robili to ci z grup zbrojnych obu nieuznawanych republik. To oni stali na pobliskim posterunku i kręcili się po okolicy.

We Władysławie kipi złość, z nerwów ciągle bawi się wkrętarką. Małżeństwo skarży się, że przez tych sześć miesięcy normą stały się pobicia, kradzieże i szabrownictwo.

Już po odzyskaniu kontroli nad tym terenem ukraińska policja znalazła masowe groby w jednym z lasów, w których pochowano ponad 440 osób. W dniu oddawania tekstu do druku nie jest jasne, czyje ciała się w nich znajdowały.

W sklepie Władysława i Ołeny okupanci wyważyli drzwi, rozwalili lodówkę, przychodzili pić wino. Nawet wygrzebali z niedziałającej od dawna lodówki zatęchłego kurczaka i wątróbkę, której zapachu małżeństwo nie może pozbyć się do dzisiaj.

– Kiedyś pracowałem w organach ścigania, zdarzało mi się chodzić na przeszukania, ale nigdy w życiu takiego bałaganu nie robiłem – mówi Władysław.

Wynieśli też białą bejsbolówkę firmy Puma. Władysław był do niej przywiązany, przywiózł czapkę z wakacji w Egipcie. Wiedział jednak, że prędzej czy później znowu ją zobaczy. Tydzień później na posterunku miał ją na głowie bojownik z ŁRL. Władysław podszedł, zdjął ją uzbrojonemu mężczyźnie z głowy i jeszcze go ochrzanił.

Przez swój temperament Władysław ciągle wpadał w tarapaty. Któregoś razu bojownicy wykopali okop koło jego sklepu, więc w nocy go zasypał. Wpadł. Zamknęli go, pobili, grozili, że go wykastrują. Ołenie mówili, że oddadzą męża jutro, żeby mogła zakopać ciało.

To właśnie obywatele Ukrainy, którzy stanęli po stronie nieuznawanych republik w obwodach donieckim i ługańskim, patrzyli na mieszkańców Iziumu z największą niechęcią.

– Rosjanie nas nienawidzili, to fakt. Ale to ci z DNR i ŁNR mówili nam: cierpieliśmy przez osiem lat, teraz cierpcie wy – stwierdza Władysław.

Drut na małym palcu

Fotograf Mykoła stracił swoje studio, a także znajdujące się w nim aparaty, obiektywy, lampy. Walnął w nie czołg, a to, co się ostało, rozkradli szabrownicy. Przed inwazją robił zdjęcia na ślubach i do reklam.

Mykoła został w mieście sam. Najpierw wyjechała jego córka. Żonie kazał opuścić Izium w maju – po tym, jak wrócił po tygodniowym pobycie w areszcie, po którym pozostały mu blizny na nadgarstkach.

To było tak: pod koniec kwietnia podjechały pod jego dom dwa samochody i ciężarówka. Wyskoczyło z niej około

Natalia i Władysław przed sklepem, obok rozbita rosyjska wyrzutnia rakiet.

Zniszczone i porzucone przez Rosjan pojazdy na wjeździe do Iziumu.

dwudziestu ludzi w mundurach. Puścili drona, żeby obserwował okolicę. Sąsiadów rzucili na ziemię. Wpadli do jego domu. Przeszukali wszystko. Potem okazało się, że to jeden z mieszkańców doniósł na Mykołę, jakoby robił improwizowane ładunki wybuchowe.

Dlaczego sąsiad to zrobił? Mykoła tego nie wie. Nie wyklucza, że go zmusili, dlatego nie żywi do niego żadnych pretensji.

W domu mundurowi niczego nie znaleźli. Skonfiskowali Mykole dwa telefony i komputer (później oddali tylko ten ostatni, ale wykręcili z niego dysk twardy). Założyli mu kajdanki, a potem także worek na głowę.

Do dzisiaj nie wie, dokąd go wywieźli. Pamięta za to doskonale, jak go okładali. Podczas przesłuchań oplatali mu małe palce u rąk drutem, a następnie podłączali do prądu. Pytali go, czy kocha Rosję. Odpowiadał, że nie. Gdy mówili na niego „chochoł" – to pogardliwe określenie na Ukraińca w języku rosyjskim – poprawiał ich, że jest Ukraińcem. Za jedno i drugie solidnie obrywał.

W końcu go wypuścili i dali mu spokój.

W mieście praktycznie nic nie działało. Jak twierdzi Mykoła, ustanowione przez Rosjan władze dużo mówiły, ale nie podejmowały żadnych działań. Jedynie od czasu do czasu w jego domu pojawił się prąd. Rozwozili też pomoc humanitarną, z czego korzystali mieszkańcy, bo poza własnymi ogrodami trudno było dostać coś innego.

– Władze działały tu zgodnie z tak zwanymi ruchami Browna. Biegali, krzyczeli, ale nic poza tym – twierdzi Mykoła.

Rosjanie, z którymi rozmawiał, zdawali mu się ludźmi z innej planety. Dziwili się, że w domach stały pralki i lodówki, że domy miały własne toalety. Jeden Rosjanin pytał go, gdzie można kupić kasety VHS. Mykoła odpowiedział, że już o płyty z filmami trudno, bo od dawna nikt nie korzysta z takich wynalazków.

Widział, jak żołnierze wynosili z cudzego domu damską bieliznę i biustonosze, a następnie pakowali ją do samochodów.

– Brali, co widzieli – podsumowuje Mykoła.

Łzy po burzy

Od miesięcy władze w Kijowie zapowiadały, że ukraińska armia przejdzie do kontrofensywy. Mowa była jednak cały czas o południu kraju, gdzie walki trwają zwłaszcza o obwód chersoński, graniczący z okupowanym Krymem.

Tymczasem we wtorek 6 września Ukraińcy uderzyli na Charkowszczyźnie, w północno-wschodniej części kraju. Rosjanie wydawali się tym zupełnie zaskoczeni. Ich obrona została przerwana i musieli salwować się ucieczką, porzucając mnóstwo sprawnych pojazdów, broni i amunicji.

W niecały tydzień utracili – jak podaje Kijów – 8 tys. kilometrów kwadratowych, teren odpowiadający jednej czwartej województwa mazowieckiego. Zanim wkroczyła tu armia ukraińska, z tych terenów do Rosji wyjechało przynajmniej kilkanaście tysięcy ludzi; część z nich stanęła po stronie władz okupacyjnych.

Gdy zaczęła się kontrofensywa, w Iziumie Rosjanie ogłosili kilkudniową godzinę policyjną. Nikt nie mógł opuszczać domu przez całą dobę. W tym czasie na ulicach od świtu do nocy panował straszny gwar i słychać było ciągnące kolumny.

Mykoła mówi, że gdy wyglądał przez okno, widział, że niektóre samochody nie miały nawet opon, iskry sypały się spod felg. Do pancerza jednego z czołgów przyczepiona była ukradziona pralka.

Wreszcie w mieście zapanowała cisza.

Potem przez kilka godzin w Iziumie nie było nikogo. Dopiero po pewnym czasie Mykoła ujrzał wóz bojowy piechoty. Obok szli żołnierze śpiewający „Czerwoną kalinę" – popularną piosenkę ukraińską, która stała się symbolem tej wojny.

Oj, na łące czerwona kalina pochyliła się,
Czemuś nasza sławna Ukraina
zasmuciła się,
A my tę czerwoną kalinę podniesiemy,
A my naszą sławną Ukrainę, hej, hej,
rozweselimy!

Mykoła zaśpiewał wraz z nimi. Gdyby był bardziej sentymentalny, na pewno by się rozkleił.

Ludzie wychylali się z okien, wychodzili na zewnątrz. Machali, krzyczeli „Cześć, chłopcy!". Na twarzach pojawiły się uśmiechy.

Zwabione ciszą, na ulicę wyszły także Lubow i Nadija. Nie wstrzymywały łez.

Myślały, że nie dożyją już tego momentu, gdy w mieście znowu pojawią się ukraińscy żołnierze. © PAWEŁ PIENIĄŻEK

2 MAJA 2022 R., ZAPOROŻE
Oleksandr (na zdjęciu z żoną) właśnie przyjechał z Mariupola wraz z córką, synem i zwierzętami domowymi: psem i królikiem. Na ostatnim rosyjskim punkcie kontrolnym podejrzewano go o wspieranie Ukrainy – powodem był esemes, który Rosjanie znaleźli w jego telefonie.
Żona Oleksandra była przerażona, że mogą go aresztować. Po przybyciu do Zaporoża zarejestrowali się jako uchodźcy wewnętrzni, rozmawiali z prasą, potem wypili kawę na uboczu i objęli się, całując w mieszaninie miłości i łez.

4 MARCA 2022 R., LWÓW
Szkolenie wojskowe z udzielania pierwszej pomocy. Kobieta na podłodze odgrywająca rolę ofiary to Ewa, programistka gier mobilnych, która uciekła z Krymu po zajęciu go przez Rosjan w 2014 roku. Zdecydowała się dołączyć do służb medycznych na linii frontu, jednak później, przerażona stratą kolegów, wróciła na tyły, aby tam pomagać.
Ewa napisała do mnie w maju: „Jesteśmy zdruzgotani. Widzisz, że większość twoich znajomych straciła członków rodziny i przyjaciół. (...) Prawie każdy kogoś stracił, i nie masz nikogo, kto mógłby być dla ciebie wsparciem. I to jest dla mnie największa tragedia. Straciłam najwspanialszych, najodważniejszych ludzi, których miałam szczęście poznać, i nie mam z kim dzielić tego bólu”.

4 MAJA 2022 R., ZAPOROŻE
Karina z dwójką dzieci znalazła się wśród cywilów ewakuowanych z huty Azow w Mariupolu, gdzie byli uwięzieni przez dwa miesiące i bombardowani przez armię rosyjską. Ewakuację organizował rząd Ukrainy wspólnie z Czerwonym Krzyżem i ONZ.

W Ukrainie. Justyna Mielnikiewicz

SELFIE / MAPS

JUSTYNA MIELNIKIEWICZ, polska fotografka, od 2003 roku mieszka w Tbilisi. Publikuje m.in. w „The New York Times", „Le Monde", „Stern", „National Geographic" i „Wall Street Journal". Laureatka World Press Photo, Canon Female Photojournalist Prize, Caucasus Young Photographer Award przyznawanej przez Magnum Foundation, Aftermath Project Grant oraz Eugene Smith Fund w 2016 roku. Swoje wieloletnie projekty opublikowała w albumach „Woman with a Monkey – Caucasus in Short Notes and Photographs", „Ukraine Runs Through it" i ostatnio „GOGO Magazine". W pracy dla niej najważniejsi są ludzie. Mówi „Tygodnikowi": „zależy mi, by to, co się wydarza w Ukrainie, było dla widza spotkaniem z konkretnymi ludźmi – bo spotkanie twarzą w twarz jest osobiste".

Więcej zdjęć z projektu „W Ukrainie. Justyna Mielnikiewicz" można zobaczyć w Międzynarodowym Centrum Kultury w Krakowie do 6 listopada 2022 r.

22 LUTEGO 2022 R., KIJÓW | Ksiądz rozmawia z żoną zabitego kapitana Antona Sydorowa, by ją pocieszyć. Kobieta nie stała przy trumnie, tylko weszła do przedsionka kościoła, trzymając na ręku pięciomiesięczną córkę.

Boczek czy podgardle

PAWEŁ BRAVO

Choć Bracia Włosi należą do rodziny prawicowych populistów, których Moskwa próbuje hołubić, są – jeśli wierzyć deklaracjom Amerykanów – agenturalnie czyści. To oni będą wkrótce rządzić w Rzymie.

FABIO FRUSTACI / EPA / PAP

Mural przedstawiający Giorgię Meloni (Bracia Włosi) i przywódców pozostałych włoskich partii politycznych biorących udział w nadchodzących wyborach. Rzym, 2 września 2022 r.

Z Putinem czy z Europą – twój wybór": pierwszy człon tego wyboru, czyli nazwisko rosyjskiego prezydenta, wydrukowano na czarnym tle. Drugi, opcja europejska, na polu czerwonym, którego brzeg domyka łagodnie uśmiechnięta twarz Enrica Letty i logo kierowanej przezeń Partii Demokratycznej.

Inne wersje tego dwubiegunowego plakatu głoszą: „dyskryminacja / równe prawa" „paliwa kopalne / energia odnawialna" „NoVax / nauka i szczepionki" itd. Proste jak cep koncepty najłatwiej jest przedrzeźniać i nie minęło dużo czasu, by w sieci pojawiły się parodie. Najsławniejsza – „z boczkiem / z podgardlem" – odnosiła się do odwiecznego sporu, jaki kawałek wieprzowiny należy użyć do carbonary. Letta nie przestraszył się szyderstwa i oświadczył na Twitterze: „Z podgardlem, od zawsze i na zawsze".

SPORO GŁOSÓW może kosztować go ta deklaracja. Ale niekoniecznie tylko dlatego, że zraził do siebie amatorów boczku. Mrugając do Włochów okiem, Letta zaprzeczył idei skrajnej polaryzacji, którą jego kampania miała podkreślać. Wszak to centrolewica próbowała – od początku tej kampanii, niespodziewanej i improwizowanej – określić wybory w niedzielę 25 września jako moment, gdy trzeba postawić tamę faszyzmowi. Główna partia bloku centroprawicowego, czyli Bracia Włosi Giorgii Meloni, takie solenne wezwanie uwiarygadnia – przynajmniej w warstwie symboli i rodowodów, bo niekoniecznie już w warstwie deklaracji i programów, o czym za chwilę.

Ale skoro nadchodzi ostateczne starcie i wzywa się do „frontu ludowego" przeciw złu, nie czas na dowcipy. „Giacomo Matteotti nie popijał kawki z Mussolinim" – komentowali publicyści zdjęcia Letty i Meloni, jak gawędzą w przerwie kampusu politycznego, organizowanego w sierpniu przez wpływowe środowiska katolickie w nadmorskim Rimini. Matteotti to wybitny socjalista i mąż stanu, zatłuczony w latach 20. XX w. przez bojówki „czarnych koszul". Współczesny zaś lider, odwołujący się do ówczesnych „czerwonych", zachowuje się wobec domniemanej faszystki jak kulturalny polityk europejski.

JEDYNA DOTĄD debata twarzą w twarz tej kampanii, zorganizowana przez dziennik „Corriere", też przebiegała w atmosferze raczej akademickiej wymiany zdań. Zwłaszcza że wymarzona „faszystka" Meloni, do zwalczania której Letta był przygotowany, już nie istnieje. Przeszła bowiem w warstwie programowej i retorycznej metamorfozę. Prezentuje się obecnie jako konsekwentna konserwatystka, działająca w ramach porządku demokratycznego i wyrażająca tylko „normalny" punkt widzenia na ważne kwestie kulturowe i społeczne.

W dodatku Meloni jest lojalnie atlantycka, w kwestii wojny w Ukrainie nie tyle antyrosyjska, co proamerykańska (ale to na jedno wychodzi). Wobec zaś Unii zapowiada tylko silną asertywność: grozi, że brukselscy urzędnicy przestaną mieć z Włochami łatwo. Co nie jest dla wyborców niczym nowym, bo o tym, że ich państwo jest chorym ogniwem Unii (zwłaszcza strefy euro), słyszą od co najmniej dekady – i to niezależnie, kto rządzi.

Meloni sprawnie maskuje często bardzo prawicowy przekaz – np. w sprawie przerywania ciąży zapewnia, że nie zamierza niczego „zaostrzać" (za dostępnością aborcji opowiada się w sondażach ok. 80 proc. także jej wyborców), a jedynie egzekwować obecne prawo. A prawo to *de facto* daje władzom lokalnym i szpitalnym duże pole do wprowadzania tylnymi drzwiami faktycznego zakazu – w niektórych regionach praktycznie już się nie wykonuje aborcji.

DROBNE RÓŻNICE w przekazie – np. partia Meloni jako pierwsza od dawna zwraca się do wyborców *per* „rodacy", a nie jak inne „obywatele" – wpadają w ucho tylko wyczulonym obserwatorom. W swojej zręczności i umiejętnym dobieraniu pól, na których opłaca się toczyć starcia, Meloni bywa porównywana z Viktorem Orbánem – podczas gdy Matteo Salvini, do niedawna numer jeden na włoskiej prawicy, dziś tracący grunt pod nogami wskutek nieudolności, miałby być raczej europejskim wcieleniem awanturnika Trumpa.

Letta nie chciał się godzić na inne debaty z większą liczbą przeciwników, by

nie rozwadniać czarno-czerwonego napięcia. Wcześniej jego Partia Demokratyczna współtworzyła podwójną reformę ustrojową – ograniczenie liczby posłów z 630 do 400 oraz mieszaną ordynację wyborczą, która jedną trzecią mandatów przydziela wedle kryterium większościowego. Obie zmiany wymuszają tworzenie dużych bloków wyborczych, a co za tym idzie – polaryzację przekazu. Lewicy do niedawna na tym zależało; deklarowane przez nią w poprzedniej kadencji projekty korekt systemu zaległy w szufladach.

Tylko że grać na polaryzacji trzeba umieć, a w tym Partia Demokratyczna i sam Letta – polityk nietuzinkowy, lecz dobry na inne czasy – okazali się kiepscy. „Walka z faszyzmem" skończyła się gorączkowym upychaniem partyjnej nomenklatury na miejscach „biorących", których zrobiło się niebezpiecznie mało. Teraz nadaremno centrolewica narzeka, że to „najgorsza ordynacja z możliwych". Dzięki niej sprawnie dopięty (choć pełen wewnętrznych pęknięć) blok centroprawicowy, mający w ostatnich sondażach ok. 47 proc. poparcia, jest o włos od zdobycia dwóch trzecich mandatów w parlamencie, czyli większości konstytucyjnej.

PRZEKAZ CENTROLEWICY skupia się dziś już tylko na apelu, aby do tego nie dopuścić, żeby zatem klęska wyborcza, z góry uznana, nie była za duża. Apele o „niemarnowanie głosu" na drobniejsze listy mogą jednak skutkować większym zniechęceniem wyborców (a to właśnie ci skłaniający się do lewicy stanowią, wedle socjologów, większą część ogromnej puli niezdecydowanych i niegłosujących).

Wygrać w niektórych okręgach jednomandatowych może pomóc centrolewicy zaskakujący, niechciany sojusznik: Ruch Pięciu Gwiazd, z którym alians Letta odrzucił na początku kampanii, gdy wierzył, że poradzi sobie sam. W wielu południowych okręgach kandydaci Pięciu Gwiazd mają niezłą pozycję (ich partia wprawdzie dramatycznie dołuje, ale dobrze się kojarzy wyborcom z dochodem podstawowym, pobieranym głównie na południu Italii). Sami co prawda nie wygrają w tych okręgach, ale jeśli odbiorą komuś głosy, to – paradoksalnie – ludziom prawicy, co w przypadku wyrównanego wyścigu może przeważyć szalę na rzecz kandydata centrolewicy.

TO NIE JEDYNY PARADOKS. Weźmy choćby taki: w zmaskulinizowanej polityce włoskiej pierwszą w dziejach premierką będzie kandydatka formacji bardzo tradycjonalnej. Partia Demokratyczna, choć przez ostatnie 15 lat aż 11 razy zmieniała liderów, nigdy nie mianowała na to stanowisko kobiety.

Kolejna rzecz: ponad 70 proc. społeczeństwa (z niewielkimi odchyleniami w elektoratach różnych partii) nadal dobrze ocenia poprzedni „techniczny" rząd Maria Draghiego. A jednak prawie połowa chce teraz głosować na partie, które albo go popierały, ale potem obaliły, albo konsekwentnie były przeciwko niemu w opozycji. Idea, iż elektorat mógłby „ukarać" daną partię za lekkomyślne obalenie wyjątkowego w dziejach gabinetu Draghiego, który sprawnie zarządzał wydawaniem pieniędzy z unijnego funduszu odbudowy, to koncept publicystyczny. Elektorat nie myśli spójnie. W sytuacji, gdy zniknął ponadpartyjny pragmatyczny ośrodek władzy, wyborcy nie sądzą, by którakolwiek z partii potrafiła skutecznie dbać o podstawowe sprawy ekonomiczne (we wszystkich sondażach energia, drożyzna czy emerytury są na czele listy spraw określanych jako najważniejsze).

Wyborcy zatem przegrupowują się wedle drugorzędnych, ale za to mocno przez partie podkreślanych przekazów związanych z tzw. kwestiami kulturowymi (we Włoszech to nie tylko aborcja czy równouprawnienie osób LGBT, ale też polityka migracyjna). Tym bardziej że rządzące w ostatnich latach gabinety z nazwy prawicowe dokonały kilku istotnych korekt prosocjalnych – do tego stopnia, że najsilniejsza centrala związkowa CGIL, dawniej afiliowana przy partii komunistycznej, a i potem zawsze bliska lewicy, nie wzywa tym razem do głosowania na Demokratów.

Wprawdzie „techniczny" rząd cieszył się wielkim szacunkiem, ale też, jak się okazuje, naruszył rozliczne interesy także zwykłych obywateli. Dlatego dziś to właśnie będący w kontrze do niego Bracia Włosi tak błyskawicznie urośli w siłę, kosztem pokrewnej ideologicznie Ligi, która formalnie Draghiego wspierała.

W SZEREGACH LIGI jest paru ambitnych polityków, gotowych pozbyć się Mattea Salviniego po spodziewanym kiepskim wyniku w wyborach. Jeśli tak się zdarzy, będzie to dla reszty Europy, paradoksalnie, ważna zasługa „faszystki" Meloni. Nie ma bowiem bardziej konsekwentnie promoskiewskiego i oddanego Putinowi polityka na Zachodzie niż Salvini, ten „europejski Trump".

Takiego określenia użył zresztą doradca Salviniego, gdy jesienią 2018 r. negocjował z wysłannikami Kremla dużą transakcję sprzedaży rosyjskiej ropy na rzecz włoskiego koncernu Agip. Rosjanie mieli udzielić specjalnego rabatu od ceny surowca, a zarobione dzięki temu przez podstawionych pośredników pieniądze miały trafić do spółek związanych z Ligą. Nie wiadomo, czy *deal* doszedł do skutku – Salvini wszystkiemu zaprzecza. Ale nawet gdyby faktycznie nie wziął złamanego rubla, a umowa o współpracy Ligi z partią Jedna Rosja nie miała żadnych finansowych aspektów, i tak działalność tego polityka to jeden wielki prorosyjski *trolling* na poziomie wizerunkowym (koszulki z Putinem to tylko jeden jaskrawy przykład). Jak też sabotaż, widoczny np. w konsekwentnym torpedowaniu sankcji od 2014 r.

Wojna w Ukrainie tylko lekko zachwiała życzliwością dla Rosji wśród Włochów – nadal prawie połowa uważa, że nie należy świadczyć pomocy wojskowej dla Kijowa. Tym bardziej ważny jest upadek (przejściowy, bo Kreml zapewne znajdzie lub aktywuje następnych) lobbystów ułatwiających Rosji tworzenie silnego przyczółka.

BRACIA WŁOSI, choć należą do rodziny prawicowych populistów, których Moskwa próbuje hołubić, a czasem wspierać, są – jeśli wierzyć ostatnim deklaracjom np. Antony'ego Blinkena – finansowo i agenturalnie czyści. Meloni rozumie, że niechętny stosunek do Moskwy to jeden z podstawowych warunków, by zachodni sojusznicy pozwolili jej rządzić i zadowalać wyborców w innych dziedzinach, z „obroną wartości" i „obroną granic" na czele.

Trudno jednak orzec z góry, na ile ta mocno prawicowa agenda da się realizować, skoro sojusz, jaki się zebrał wokół Meloni, jest skazany na twarde porachunki zaraz po wyborach. Oraz na szybkie nadgonienie działań przeciwkryzysowych, które ustępujący rząd Draghiego musiał pozostawić w stanie zamrożonym.

Ale o tym właściwie się w trakcie kampanii nie dyskutowało. ©℗

Renowacja cerkwii w Rezekne. Łotwa 19 sierpnia 2016 r.

Ni ryba, ni mięso

TOMASZ OTOCKI

Cerkiew prawosławna na Łotwie została formalnie uniezależniona od wpływów moskiewskiego patriarchy. Nie zrobiła tego sama – uczynił to za nią łotewski parlament.

Wszystko potoczyło się szybko i gładko, niejako z zaskoczenia. W poniedziałek 5 września prezydent Egils Levits wyszedł z inicjatywą ustawowego oddzielenia Łotewskiej Cerkwi Prawosławnej od Patriarchatu Moskiewskiego. Już trzy dni później Sejm uchwalił odpowiednie poprawki do ustawy z 2008 r. o ustroju Cerkwi prawosławnej na Łotwie. Uzależnienia tutejszego prawosławia od Patriarchatu Moskiewskiego tym razem nie broniła partia mniejszości rosyjskojęzycznej Zgoda. Jedynym ugrupowaniem, które głosowało przeciwko, była malutka partia Władza Suwerenna, której działalność graniczy z populizmem.

Co ciekawe, po tym, kiedy w 2014 r. Rosja zaatakowała Ukrainę, Cerkiew na Łotwie nie słynęła z prokremlowskiego nastawienia. Raczej starała się być neutralna. – Kremlowi nie podoba się działalność metropolity Rygi i całej Łotwy Aleksandra – mówił mi w 2019 r. Andis Kudors, łotewski politolog.

Kudors wskazywał zarazem, że gdyby tutejsza Cerkiew zdecydowała się podporządkować Konstantynopolowi – jak uczyniła to kilka lat temu Prawosławna Cerkiew Ukrainy – wówczas społeczność rosyjskojęzyczna na Łotwie rozpadłaby się na dwie części. – Promoskiewscy aktywiści polityczni stwierdziliby: zostajemy z Moskwą! – uważał Kudors.

Kwestia konieczności

Po tym jednak, kiedy 24 lutego Rosja rozpoczęła pełnowymiarową inwazję, politycy łotewscy nie mają skrupułów w pójściu na zwarcie z radykałami rosyjskimi. Na wiosnę uchwalono prawo o likwidacji sowieckich pomników i reformę oświatową, która likwiduje szkolnictwo rosyjskie. Teraz doszła inicjatywa prezydenta w sprawie Cerkwi. A dotyczy wcale nie małej grupy społecznej: prawosławie jest trzecim co do wielkości wyznaniem na niespełna 2-milionowej Łotwie, po luteranach i katolikach. Przyznaje się do niego ok. 370 tys. osób.

– Oddzielenie Łotewskiej Cerkwi Prawosławnej od Patriarchatu Moskiewskiego było koniecznością – twierdzi w rozmowie z „Tygodnikiem" były polityk centroprawicowej Jedności Aleksejs Loskutovs, sam prawosławny. – Patriarchat ten, silnie wspierany przez rosyjskie tajne służby FSB, służy jako środek propagandy, prania mózgu, popiera wojny i morderstwa na Ukrainie. Wprawdzie Łotewska Cerkiew Prawosławna trochę oddaliła się od pozycji Moskwy, ale z mojego punktu widzenia była to taka kosmetyka. Wystarczy wspomnieć, że duchowni tego Kościoła codziennie modlą się za metropolitę Cyryla – dodaje Loskutovs.

Vjačeslavs Dombrovskis, należący do tej samej koalicji rządzącej obecnie Łotwą, stwierdza w rozmowie z „Tygodnikiem": – Z liberalnego punktu widzenia Kościół jest oddzielony od państwa. Wolałbym, aby inicjatywa oddzielenia się od Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego wyszła od kierownictwa łotewskiej Cerkwi, ponieważ dla mnie, jako osoby no-

minalnie będącej jej członkiem, działania i słowa kierownictwa Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego są nie do przyjęcia.

Cała frakcja liberalna, do której przynależy, głosowała w Sejmie za inicjatywą prezydenta.

Kto się jeszcze oburza

Z kolei Michaił Czernousow, adwokat i kandydat do Sejmu z listy Władzy Suwerennej, znajduje na Facebooku tylko gorzkie słowa wobec rosyjskiej Socjaldemokratycznej Partii Zgoda za jej postawę w parlamencie. Uważa to za zdradę społeczności rosyjskiej nad Dźwiną.

– Byłoby słuszne, aby państwo nie ingerowało w sprawy Kościołów, zgodnie z art. 99 naszej konstytucji. Sam Kościół może zajmować się swoimi sprawami, bez pochopnych instrukcji prezydenta i decyzji Sejmu. Wprowadzenie takiej inicjatywy na trzy tygodnie przed wyborami jest prowokacją i hańbą zarówno dla prezydenta, jak i dla Sejmu – złości się Czernousow w rozmowie z „Tygodnikiem".

Spokojniej reaguje Nikołaj Kabanow, poseł Zgody do Sejmu i adresat krytyki działacza Władzy Suwerennej: – Całej historii prawosławia we wszystkich krajach towarzyszyła ścisła współpraca z władzami. Najwyraźniej manifestuje się to dzisiaj w Rosji.

Kabanow nie uważa, aby postawa Zgody w Sejmie wpłynęła na wyniki wyborów: większość osób mówiących po rosyjsku nie jest szczególnie religijna. Egzaltowaną postawę prezentują z reguły ci, którzy nazywają wojnę Putina z Ukrainą „specjalną operacją wojskową", wedle wykładni Kremla.

Powrót do tradycji

Sama Cerkiew prawosławna na Łotwie wydała już po fakcie dość neutralny komunikat, uspokajający wierzących. – Ten komunikat to ni ryba, ni mięso – ironizuje mój prawosławny znajomy Andriej Gusaczenko.

„Państwo ustanowiło status naszego Kościoła jako autokefalicznego (...) Zmiana statusu nie zmienia wiary prawosławnej, dogmatów, życia liturgicznego Kościoła, stylu kalendarza, świętego języka liturgicznego, obrzędów, tradycji i życia wewnętrznego Kościoła" – głosi komunikat na stronie www.pravoslavie.lv.

Nie do końca jest on trafny. Bo z kolei na stronie Sejmu możemy przeczytać kalendarz, który obowiązuje obecnie Cerkiew. Do 31 października będzie musiała ona też zharmonizować swój statut z poprawkami wprowadzonymi do ustawy o statusie Cerkwi. Z kolei do 1 października należy powiadomić Kancelarię Prezydenta o zwierzchnikach Kościoła, metropolitach, arcybiskupach i biskupach sprawujących urząd.

Patrząc historycznie, można powiedzieć, że Cerkiew łotewska wraca obecnie do lat 1936-40, gdy była oddzielona od Patriarchatu Moskiewskiego i podlegała pod Konstantynopol (zmieniło się to potem w czasie okupacji sowieckiej). Do tej przedwojennej tradycji odwołują się właśnie Łotysze, którzy wiele razy wskazywali, że warto by zmienić także kalendarz prawosławnych nad Dźwiną i obchodzić Boże Narodzenie w dniach 24-26 grudnia.

Takie zmiany to byłaby jednak już zbyt daleka ingerencja w życie prawosławnych. Na razie mieszkający nad Dźwiną rosyjskojęzyczni – bo Łotyszy w tej Cerkwi jest bardzo niewielu – muszą przetrawić „autokefaliczną" decyzję Sejmu. ©

PIERRE CROM / GETTY IMAGES

HISTORIA

KAROL TRZECI I KAMIEŃ PRZEZNACZENIA

Tysiące Szkotów witały na ulicach Edynburga pogrążonego w żałobie króla Karola. Jednak nowy brytyjski władca potrzebuje od nich czegoś więcej – ich narodowej relikwii.

PATRYCJA BUKALSKA

Blok z piaskowca waży niemało, bo 152 kilogramy. Jest raczej jasnego koloru. No i nie widać z zewnątrz, aby miał jakieś magiczne cechy. A jednak to on – Kamień Przeznaczenia, Kamień ze Scone, Lia Fàil. Mityczny kamień koronacyjny szkockich królów.

Jego pochodzenie jest nieznane, za to krąży o nim wiele legend. Pojawia się w nich biblijny Jakub, jak na tym właśnie kamieniu śni o drabinie do nieba, jest córka faraona, a także Tuatha Dé Danann, mityczni półbogowie z celtyckiej mitologii.

Chcąc jednak trzymać się bardziej faktów niż legend, można zaryzykować stwierdzenie, że Kamień jest starszy niż sama Szkocja. Możliwe, że pochodzi z Irlandii, a do niewielkiej, ledwie czterotysięcznej dziś miejscowości Scone – miejsca koronacji szkockich królów – przywiózł go w wieku IX Kenneth MacAlpin, znany później jako Kenneth I, pierwszy król zjednoczonych Szkotów i Piktów.

Metafizyczna aura

Kamień opuścił Szkocję w roku 1296 – zrabował go angielski władca Edward I Długonogi. Po tym, jak podbił chwilowo Szkocję (a także Walię), Edward pragnął upokorzyć Szkotów i upewnić się, że odtąd nie będą mieli już własnego władcy. Jednak król Anglii się przeliczył, bo brak Kamienia nie przeszkadzał Szkotom w powoływaniu na tron kolejnych władców ich kraju, dopóki pozostał on niezależny.

Paradoksalnie inaczej ma się sprawa z Anglikami: dla nich zdobyczny szkocki Kamień – wbudowany następnie w angielski tron koronacyjny w londyńskim opactwie Westminster – stał się z czasem jednym z niezbędnych elementów ceremonii koronacyjnej, wnoszącym odpowiednio metafizyczną aurę. W ciągu ostatnich ponad 700 lat zasiadali na nim wszyscy angielscy i brytyjscy władcy – wliczając w to Elżbietę II, koronowaną w 1953 r.

Choć więc daty koronacji Karola III jeszcze nie podano, to już wiadomo, że bez Kamienia się nie obejdzie i że w odpowiednim czasie będzie musiał zostać przetransportowany z Edynburga, gdzie dziś się znajduje, do Londynu.

Droga do domu

To będzie jego trzecia podróż na południe.

Zagrabiony przez Edwarda Długonogiego cenny relikt wracał już bowiem do Szkocji dwukrotnie. Pierwszy raz w roku 1950, gdy z opactwa westminsterskiego „uwolnili" go – jak sami to nazwali – lub też ukradli (dobór słów będzie zależeć od poglądów opowiadającego) szkoccy studenci. Oficjalnie i legalnie Kamień powrócił jednak do Szkocji dopiero w 1996 r., czyli dokładnie 700 lat po tym, jak został zrabowany (zdobyty) w Scone.

Decyzję o zwrocie podjął dość nieoczekiwanie konserwatywny rząd premiera Johna Majora, a posunięcie to nie miało wiele wspólnego z historyczną wrażliwością czy pragnieniem zwrotu zrabowanego niegdyś przedmiotu – powody były czysto polityczne. W tamtym czasie

OWEN HUMPHREYS / PA IMAGES / ALAMY STOCK PHOTO / B&W

Gdy po 700 latach Kamień Przeznaczenia wracał do Szkocji, od przygranicznego miasta Coldstream towarzyszyła mu eskorta z dudami. Listopad, 1996 r.

w Szkocji nasiliły się żądania autonomii i własnego parlamentu. Brytyjskie władze doszły więc do wniosku, że jeśli zdobędą się na taki gest wobec Szkotów, to na jakiś czas zaspokoją ich ambicje niepodległościowe.

Swoją drogę do domu Kamień rozpoczął wcześnie rano 15 listopada 1996 r. Kiedy z koszar Albemarle w północnej Anglii wyjechał nieoznakowany land rover z cennym ładunkiem, świtało, a przy bramie nikt nie czekał. Inaczej było już w pierwszym szkockim mieście Coldstream nad rzeką Tweed. Tam przejazd przez graniczny kamienny most celebrowano z wojskową eskortą – i oczywiście z żołnierzem grającym na dudach.

Niemal afront

Na zamek w Edynburgu Kamień dojechał 30 listopada – w dzień św. Andrzeja, patrona Szkocji. Wcześniej przez dwa tygodnie zajmowali się nim konserwatorzy i naukowcy.

Żeby zobaczyć Kamień – tym razem przewożony w otwartym samochodzie, osłonięty szybą z pleksi i złożony na niebieskim aksamicie – na ulice szkockiej stolicy wyszły tysiące ludzi. Jednak, jak zauważa w swojej książce „Stone Voices. The Search for Scotland" znany dziennikarz i pisarz Neal Ascherson, nie było powszechnego aplauzu. Zebrani spokojnie przyglądali się paradzie, a zagadywani przez reporterów odpowiadali po prostu, że Kamień należy do narodu szkockiego i już. I że oddanie go to tylko pierwszy krok. Ascherson zapamiętał też buczenie tłumu, gdy zagrano „God Save the Queen", oraz transparenty z napisem: „Szkocja prosiła o parlament, a dostała Kamień".

Rzeczywiście część Szkotów odebrała ten brytyjski gest niemal jako afront – dowód, iż nie traktuje się ich poważnie, że ↦

↦ myśli się, iż są tak głupi, że zadowolą się starym kamieniem, który i tak do nich należy, po czym zapomną o swych postulatach.

Nie zapomnieli – rok później zapadła decyzja o powołaniu Holyrood, szkockiego regionalnego parlamentu. W 1999 r. rozpoczął on obrady.

Uwolnić Kamień!

Tamtą podróż z Albemarle do Edynburga dokumentował fotograf Gary Doak, wtedy początkujący *freelancer*. Po latach przyznaje, że nie interesował się wówczas polityką, ale czuł, że jest świadkiem historycznej chwili. Zwłaszcza gdy już po oficjalnej części uroczystości do Kamienia podeszła Kay Matheson. Towarzyszyli jej europosłanka i szkocka działaczka niepodległościowa Winnie Ewing oraz ówczesny przywódca Szkockiej Partii Narodowej (SNP) Alex Salmond. „Było widać, że to dla niej emocjonalny moment" – mówił Doak.

Wcześniej Kay była tak blisko Kamienia w grudniu 1950 r., gdy w Boże Narodzenie wraz z trzema kolegami z Uniwersytetu w Glasgow – odnotujmy ich imiona: Ian Hamilton, Alan Stuart i Gavin Vernon – włamała się do opactwa westminsterskiego i zabrała Kamień.

Miała wtedy 22 lata i bardzo zdecydowane poglądy. Całą czwórkę cechowała odwaga, determinacja, ale i naiwność, bo ich plan był wielką improwizacją. Nie mieli nawet pieniędzy na hotel, ledwo starczyło im na benzynę podczas długiej podróży ze Szkocji do Londynu. Do opactwa włamali się przy pomocy łomu, wydobyli Kamień z krzesła koronacyjnego, ale ten rozpadł się na dwie części (być może został uszkodzony wcześniej, w 1914 r., gdy sufrażystki podłożyły pod tron bombę).

W pierwszej chwili studenci przerazili się, że zniszczyli szkocki symbol, potem jednak uznali, że w dwóch kawałkach łatwiej go będzie nieść. Rozdzielili się: większy, prawie stukilogramowy kawałek wzięli chłopcy (ciągnąc go do auta na płaszczu, bo nie zastanowili się wcześniej, jak przeniosą tak ciężki blok), a Kay zabrała mniejszy fragment i sama odjechała samochodem na północ.

Wkrótce na drogach do Szkocji ustawiono policyjne blokady, po raz pierwszy od kilkuset lat szkocko-angielska granica została zamknięta. Jednak samotnie podróżująca kobieta nie wzbudzała podejrzeń i Kay dotarła do domu.

> Gdyby teorie, które od wieków krążą wokół Kamienia, były prawdziwe, oznaczałoby to, że w koronacyjnym tronie **królów brytyjskich znajduje się kopia kopii.**

Elżbieta, torf i Cyganie

Natomiast Ian Hamilton, pomysłodawca całej akcji, uznał, że ze względu na patrole nie uda się od razu przewieźć Kamienia do Szkocji – ukryli go więc na polu w hrabstwie Kent.

Kiedy po niego wrócili dwa tygodnie później, okazało się, że wokół Kamienia swój obóz rozbili Gypsies (brytyjscy Cyganie). Ostatecznie udało się Kamień przemycić na północ, a nawet znaleźć kamieniarza, który podjął się na nowo scalić oba kawałki.

Po jakimś czasie policja wpadła na trop studentów. Kay znaleźli w domu jej rodziców nad Loch Ewe, w trudno dostępnej zachodniej części Highlands. Przesłuchiwana dziewczyna skłamała, że ukryła Kamień w pobliskim torfowisku. Śmiała się potem, że po tym, jak policja je przekopała, miała wydobyty torf na opał na cały rok.

Ostatecznie studentom nie przedstawiono żadnych zarzutów – już byli bohaterami, a proces zrobiłby z nich męczenników. Oni sami zwrócili Kamień kilka miesięcy później – zostawili go w nocy, okryty szkocką flagą, w ruinach opactwa w Arbroath. Stamtąd został zabrany przez policję do Londynu i w lutym 1952 r. osadzony na nowo w tronie koronacyjnym.

W samą porę, bo w tym czasie Elżbieta II została królową. Jej koronacja odbyła się w czerwcu 1953 r. – i podczas ceremonii mogła zasiąść na krześle z Kamieniem Przeznaczenia.

Dusza Szkocji

Wybór opactwa Arbroath na miejsce podrzucenia Kamienia nie był przypadkowy – to tam w 1320 r. szkoccy baronowie przyjęli Deklarację z Arbroath ze słynnym zdaniem: „Nie walczymy o honor, ani dla bogactwa, ani dla chwały, lecz wyłącznie o wolność".

Tekst dokumentu pokazuje też, że Szkoci patrzyli wtedy na swoich królów jak na reprezentantów obarczonych obowiązkami, z których muszą się rozliczyć, a nie jak na pomazańców bożych z władzą absolutną. W Deklaracji napisano o królu, że „jeśli odwróci się od zadania, które rozpoczął, i podda Szkocję i nas angielskiemu królowi i narodowi, wypędzimy go natychmiast jako wroga nas wszystkich, który łamie prawa nasze i własne, i wybierzemy na króla kogoś innego, kto będzie potrafił bronić naszej wolności".

Przy tak racjonalnym – i wyprzedzającym tamte czasy – podejściu magiczny Kamień nie był już Szkotom potrzebny do utrzymania swojej państwowości. Nie znaczy to jednak, że pogodzili się z jego stratą. Przydał się im także kilkaset lat później – w 1950 r.

W latach 50. XX wieku Szkocja była w zupełnie innym punkcie niż teraz – ruch niepodległościowy był słaby, poparcie dla SNP rzędu jednego procenta. Szkoci wydawali się akceptować swoje miejsce w Zjednoczonym Królestwie. Ian Hamilton chciał to zmienić, chciał „obudzić naród szkocki", i do tego właśnie potrzebował symbolu. „Kamień został zabrany ze Szkocji, żeby pokazać nam, że utraciliśmy naszą wolność. Odzyskanie go mogłoby być wskazaniem do jej przywrócenia" – pisał potem we wspomnieniowej książce.

Grupie Hamiltona udało się pobudzić szkocką dumę. O studentach śpiewano piosenki, tak jak kiedyś o dawnych bohaterach. Zrobiono film, napisano książki. „Kiedy podniosłem Kamień w opactwie, poczułem, że mam w rękach duszę Szkocji" – opowiadał po latach Hamilton. „Nasze odzyskanie Kamienia – a nie kradzież! – wpłynęło na całe nasze życie" – mówiła Kay Matheson.

Wtedy, w 1996 r., Hamilton nie towarzyszył jej jednak na zamku w Edynburgu podczas powrotu Kamienia. Był rozczarowany, że nie został on oddany, lecz jedynie przekazany Szkotom do czasu kolejnej koronacji i że formalnie pozostaje własnością brytyjskiej Korony. „Ten Kamień nie należy do żadnej królewskiej rodziny, ale do narodu szkockiego" – podkreślał.

MICHAEL KAPPELER / AFP / EAST NEWS

Kamień Przeznaczenia odzyskany przez policję po kradzieży (lub jak chcą Szkoci: uwolnieniu) z opactwa Westminster, 1950 r.

Angielskie emocje

Hamilton czuł, że Kamień uosabia duszę jego ojczyzny – tymczasem podobnie fundamentalne znaczenie temu kawałkowi skały przypisują także Anglicy. A zaczęło się to już wkrótce po jego zrabowaniu.

Oto bowiem trzy dekady później, po zawarciu angielsko-szkockiego traktatu pokojowego w Northampton w 1328 r., Kamień miał zostać zwrócony Szkotom; król Edward III nawet wydał w tej sprawie stosowne dyspozycje. Do zwrotu jednak nie doszło, bo w Londynie wybuchły zamieszki i protestujący mieszkańcy miasta uniemożliwili wywiezienie Kamienia z opactwa westminsterskiego – tak jakby od jego obecności zależały losy królestwa.

To, jak cenny jest Kamień dla Anglików, pokazały też decyzje z czasu II wojny światowej, gdy z obawy przed zniszczeniem podczas niemieckich bombardowań tron koronacyjny wywieziono do Gloucester. Kamień jednak pozostał w Londynie, tyle że dobrze go ukryto – na wypadek, gdyby stało się niewyobrażalne i do stolicy weszli Niemcy.

Miejsce ukrycia znało jedynie kilka osób, a że w czasie wojny ludzkie życie nie jest pewne, sporządzono też dwie mapy, które z kolei wysłano do Kanady i tam zdeponowano w osobnych sejfach. Kolejną mapę, która pozostała w Londynie, zniszczono. Sugestia, żeby na czas wojny Kamień ukryć w Szkocji, została wtedy odrzucona. Charles Peers, odpowiedzialny za zabezpieczenie dzieł sztuki i obiektów religijnych w opactwie, uznał ją nawet za próbę przejęcia Kamienia przez Szkotów w pokątny sposób. W swoim liście dodał, że od czasów Edwarda I próbują oni zdobyć Kamień wszelkimi środkami, a londyńska policja ostrzegała go już, iż mogą próbować nawet kradzieży.

Dużo to mówi o ówczesnym stosunku angielskich elit do Szkocji i ignorowaniu przez nie historycznego faktu – że był to koronacyjny kamień Szkotów i został im zabrany siłą.

Pamięć i symbole

Od kiedy Kamień powrócił do Szkocji w 1996 r., jego sprawa nie pojawiała się raczej w publicznej debacie. Dyskutowano jedynie, czy nie powinien zostać umieszczony w Scone zamiast w Edynburgu. Dwa lata temu rząd Nicoli Sturgeon zdecydował, że w 2024 r. Kamień zostanie przeniesiony do Perth, dwa kilometry od Scone.

Teraz zapowiedź przewiezienia go do Londynu na koronację Karola III może otworzyć ponownie kwestię własności i znaczenia Kamienia. Co prawda komentarze, że historia się powtarza i że tak jak kiedyś zabrał go Edward I, tak teraz zabiera go Karol III, są marginalne, a po koronacji Kamień wróci przecież do Szkocji. Ale dla części zwolenników niepodległości ponowne przewiezienie Kamienia na ceremonię koronacji uwidacznia szkocką zależność od Londynu.

Dla zwolenników unii z Londynem wygląda to zupełnie inaczej: dla nich Kamień potwierdza zjednoczenie Wielkiej Brytanii, jest symbolem połączonych pamięci i historii dwóch narodów, jego istnienie wręcz wzmacnia unię.

Jest też trzecia grupa. To zwolennicy szkockiej republiki, dla których Kamień ma znaczenie tylko jako historyczny artefakt, a niepodległość Szkocji od niego w żaden sposób nie zależy. Już kilka lat temu Ian Hamilton mówił w wywiadzie: „70 lat temu to był symbol. Teraz nie potrzebujemy symboli, bo prawie nam się udało osiągnąć szkocką niepodległość”.

Rzeczywiście – Szkocja ma własny rząd i parlament, od kilkunastu lat niepodzielnie rządzi tam SNP i poparcie dla niej nie słabnie. W przyszłym roku szkocka premier Nicola Sturgeon zdeterminowana jest przeprowadzić kolejne referendum niepodległościowe.

Szkoci nie potrzebują dziś Kamienia, by pamiętać o swojej tożsamości.

Tajemnica tajemnic

Aby jednak trochę skomplikować tę historię, powiedzmy na koniec, że wśród wielu pytań wokół Kamienia Przeznaczenia są też te o jego autentyczność. Nie sposób na nie odpowiedzieć, ale też trudno je ignorować.

A zatem: czy Edward I zabrał ze Scone prawdziwy Kamień? Ten opisywany w legendach, ale też pierwszych przekazach, miał być wszak ciemny, prawie czarny, lekko metaliczny, pokryty inskrypcjami – inny niż piaskowiec z tronu. I czy zakonnicy ze Scone oddaliby tak po prostu jeden z najważniejszych szkockich skarbów?

Jedna z teorii mówi więc, że prawdziwy Kamień ukryli (gdzie: na wyspie Skye, na dnie rzeki Tay?), a Anglikom oddali zrobioną z piaskowca pokrywę od latryny (ta latryna to może już złośliwość przekazu; w każdym razie po prostu „kawałek piaskowca”). Kiedy w 1996 r. przeprowadzono geologiczne badania Kamienia, stwierdzono, że pochodzi on z kamieniołomu z okolicy Scone – co miałoby potwierdzić, że to ten zabrany przez Edwarda I ze szkockiego opactwa. Ale nie potwierdza to, iż na pewno jest on mitycznym Lia Fàil, przywiezionym z Irlandii i używanym przez pierwszych szkockich królów.

Czy jednak Lia Fàil w ogóle istniał? Może pierwsi szkoccy władcy sami dopisali legendę Kamienia, by wzmocnić swoją pozycję?

No i jest jeszcze jedna teoria: gdy czwórka studentów oddała połamany Kamień do naprawy, kamieniarz podobno zrobił kilka kopii. Czy któraś z nich mogła trafić do Westminsteru zamiast oryginału w 1951 r.? Wydaje się to niemożliwe... Ale gdyby obie teorie były prawdziwe, oznaczałoby to, że w koronacyjnym tronie królów brytyjskich znajduje się kopia kopii.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

Szympans Congo maluje obraz w londyńskim zoo. 1958 r.

MAŁPIE SZTUKI

Jeśli chcemy zrozumieć twórczość artystyczną, pomóc nam może zaglądanie do naszego mózgu, poszukiwanie najstarszych dzieł, ale też podglądanie malujących zwierząt.

DIANA SAŁACKA

Jest rok 1956. Desmond Morris, zoolog, popularyzator nauki (zdobędzie rozgłos dzięki takim książkom jak „Naga małpa", „Ludzkie zoo" czy „Naga kobieta"), a także malarz amator, postanawia sprawdzić umiejętności artystyczne pewnego niepozornego zwierzęcia. Jest nim żyjący w londyńskim zoo młody szympans o imieniu Congo. Morris przedstawia małpie narzędzia pracy artysty – kartkę papieru, pędzle i farby, a ta po obserwacji jego zachowania zaczyna naśladować tworzenie dzieł sztuki.

Chaotyczne linie i ekspresja barw na dziełach Conga zostały docenione przez szereg artystów, m.in. Joana Miró i Pabla Picasso. Styl Conga opisywany był jako „liryczny abstrakcyjny impresjonizm", a autorowi przypisywano iście ludzkie intencje. Ponoć szympans odmawiał pracy nad skończonym dziełem, bez względu na smaczne zachęty opiekunów. Gdy jednak z klatki zabierano mu nieskończony obraz, Congo awanturował się i demonstrował oburzenie. Nauka kreślarstwa pobierana u Morrisa, podstawowy zmysł kompozycji i nietypowy dobór kolorów sprawiły, że prace Conga stały się nie lada ciekawostką na rynku sztuki. W 2005 r., już po śmierci małpiego artysty, trzy jego prace sprzedały się za łączną kwotę 25 tys. funtów, dziesięć lat później jeden z obrazów uzyskał cenę 12 tys. funtów. Szympans pozostawił po sobie około 400 prac i choć nie każda została doceniona przez krytyków, ich rozgłos i popularność można uznać za spektakularny sukces artystyczny. Przychylny odbiór na rynku aukcyjnym nie powinien nas dziwić. Czym bowiem różni się abstrakcyjne dzieło szympansa od tego, które wykonał człowiek?

Świadomość siebie

Na to pytanie postanowiono poszukać odpowiedzi w głośnej prowokacji i pracach innego szympansiego bohatera, znanego publicznie jako Pierre Brassau. Dziennikarz szwedzkiego tabloidu Åke Axelsson użył talentu szympansa mieszkającego w zoo w Borås do przedstawienia na rynku sztuki nieznanego dotąd, utalentowanego abstrakcjonisty – Pierre'a Brassau. Axelsson zorganizował głośną wystawę artysty, na którą zaproszeni zostali uznani eksperci, kuratorzy i marszandzi. Opinie na temat prac Brassau były podzielone. Ale jeden z krytyków napisał: „Brassau maluje silnymi pociągnięciami, ale również z wyraźną determinacją. Pociągnięcia jego pędzla zakręcają z wściekłą drobiazgowością. Pierre jest artystą, który działa z delikatnością baletnicy".

Czy z takim poglądem zgodziłby się sam artysta? Czteroletni szympans imieniem Peter początkowo wolał jeść farby, niż nimi malować. Dopiero po dostarczeniu odpowiedniej ilości bananów opiekunowi udało się przekonać Petera do artystycznej twórczości. Cały proces natomiast, od nauki rysunku po selekcję prac na wystawę, był tajemnicą między pracownikiem zoo a dziennikarzem odpowiedzialnym za mistyfikację. Przypadek Pierre'a Brassau komplikuje odpowiedź na pytanie o to, czym różni się *modern art* (sztuka współczesna) od *monkey art* (sztuka małp). Recenzenci nawet po ujawnieniu gatunku autora bronili zdania, że są to wartościowe i ciekawe prace. Może mieli rację? Może błędnie przypisujemy małpom słabsze kompetencje w zakresie sztuki, a tymczasem mogą one być tak samo prawdziwymi artystami jak ludzie? A może stan świadomości twórcy w ogóle nie ma znaczenia, gdy oceniamy coś jako dzieło sztuki?

Filozofowie sztuki na ogół uznają, że małpy nie podzielają znanej ludziom intencji artystycznej – malując, nie do końca wiedzą, co robią. I choć czasem doceniamy ich prace na aukcjach czy w konkursach (jeden z głośniejszych zorganizowała Humane Society w 2013 r. – w kategorii malowania językiem zwyciężył szympans Brent z rezerwatu w Luizjanie, przed dwójką małpich artystów z Florydy: Cheetahem i Repleyem), to trudno przekonywać, że małpi artyści mają podobny do ludzkiego zamiar przedstawienia określonej rzeczy. Ich pociągnięcia farbą nie odzwierciedlają symboli, nie wyrażają idei, nie są też abstrakcyjną ekspresją czy manifestem, domniemany początek i koniec twórczego procesu zaś najpewniej są wynikiem przypadku, a nie uznaniem kompletności dzieła. Zachowanie małpy z farbami należy rozpatrywać raczej w kategoriach zabawy, nie sztuki. Znamienne jest też to, że żyjące na wolności szympansy nie przygotowują same barwników i żadnych dzieł nie tworzą.

Gdyby ktoś jednak chciał bronić honoru małpich artystów, mógłby zwrócić uwagę na to, że małpy człowiekowate osiągnęły wysoki poziom świadomości. Kilka lat temu w eksperymentach zorganizowanych przez zespół Michaela Tomasello przeszły one tzw. test fałszywych przekonań (pokazały, że rozumieją, iż ktoś może posiadać nieprawdziwe informacje i kierować się nimi), co świadczy o tym, że rozróżniają pomiędzy treścią własnego i cudzego umysłu. Wydaje się, że mogą rozumieć, iż różne osobniki posiadają własne pragnienia, przekonania, emocje czy intencje. Zatem przynajmniej kilka z podstawowych warunków artystycznej twórczości jest u małp spełnionych – i być może, wiedzione ludzkim przykładem, mogą w swoich zabawach z farbami odnaleźć choćby namiastkę uczucia, które przepełnia ludzkich artystów.

„To o pracach Conga, a nie prehistorycznych artystów jaskiniowych można powiedzieć, że prawdziwie reprezentują narodziny sztuki" – stwierdził przed dekadą Morris. Ale skąd właściwie sztuka wzięła się w naszym gatunku?

Piękny jak artysta

Część psychologów ewolucyjnych, m.in. Geoffrey Miller – autor książki „Umysł w zalotach" – tłumaczy powstanie sztuki działaniem mechanizmu selekcji płciowej. Sztuka ma być sygnałem posiadania przez twórcę wartościowych cech, podobnie jak ciężki i niepraktyczny ogon u pawia (przeszkadza on w ucieczce i ukrywaniu się przed drapieżnikami, ale dzięki temu świadczy o ogólnej sprawności czy odporności na pasożyty jego właściciela). Samice pawi preferują partnerów o pięknych ogonach, bo tacy gwarantują, że przekażą jej dzieciom korzystne geny – a rywalizujące o partnerki samce inwestują zasoby w ogon, by się jak najlepiej zareklamować.

U naszych przodków sztuka mogłaby sygnalizować kreatywność albo być fanaberią pokazującą, że artysta ma... dużo wolnego czasu – a więc zapewne wyjątkowo dobrze radzi sobie z wyzwaniami codzienności. Czy więc twórczość artystyczna jest pozbawiona jakiegokolwiek sensu poza dążeniem do przekazania genów? Z takimi uproszczonymi wyjaśnieniami jest wiele problemów – wystarczy pomyśleć o tym, że często najbardziej podobają nam się dzieła dawno nieżyjących artystów, z którymi już na pewno nie spłodzimy dzieci. Wzruszamy się przy obrazach Tycjana czy sprzeczamy o interpretację pejzaży Chagalla bez myślenia o wspólnym potomstwie. Ewolucja instynktu piękna mogła mieć jakiś związek ↦

WORLD HISTORY ARCHIVE / B&EW

↦ z działaniem doboru płciowego, ale trudno spodziewać się, by w sztuce chodziło wyłącznie – albo nawet głównie – o zdobywanie partnerów.

Innego sensu sztuki doszukuje się amerykańska antropolożka Ellen Dissanayake. W książce „Homo Aestheticus" pisze o sztuce jako jednym z kluczowych dla ludzkiego przetrwania czynników, wymieniając ją obok schronienia, pożywienia czy ciepła. Według niej podstawową funkcją sztuki jest „uszlachetnianie" pewnych obiektów czy zachowań ważnych dla ludzkiego losu – nadawanie im symbolicznego znaczenia poprzez piękno. Przykładem takich wytworów mogą być, według Dereka Hodgsona, niektóre niezwykle symetryczne kamienne narzędzia pochodzące sprzed pół miliona lat, których wykonanie wymagało nadzwyczajnego wysiłku, a mimo to część z nich nie została nigdy użyta. Możliwe więc, że dzięki swemu pięknu pełniły raczej funkcje symboliczne czy rytualne.

Kluczowa wartość sztuki przejawia się jednak nie w obiekcie, a w samym procesie. Rytuał, taniec czy nawet zabawa zbliżają do siebie ludzi i pomagają przetrwać momenty kryzysu, co według Dissanayake odegrało kluczową rolę w historii naszego gatunku. Może wspólne malowanie ścian jaskiń było po prostu dla naszych przodków pretekstem do wspólnego spędzania czasu? Takie postawienie sprawy nie zadowoli jednak każdego. Przedstawione obiekty, kolory i wrażenie, jakie wywołuje dzieło sztuki, trudno sprowadzić wyłącznie do „nadawania znaczenia". Często pragniemy widzieć w danym obrazie coś wyjątkowego, coś, co pozwoli nam docenić ten właśnie obiekt na tle innych prac, niezależnie od procesu „uszlachetnienia".

Idealny krajobraz

O to, jakie obiekty uważamy uniwersalnie za piękne, w latach 90. zapytali przez telefon ponad tysiąc Amerykanów dwaj radzieccy dysydenci, Vitaly Komar i Alex Melamid. U podstaw ich eksperymentu leżało założenie, że każdy głos jest równy, nieważne, czy należy on do osoby z artystycznego światka, krawcowej, czy kierowcy. Ankietowanych zapytano o preferowane kolory, pory roku, zwierzęta, krajobrazy, sposób ich przedstawienia... Rozmówcy mogli określić, czy na obrazach wolą widzieć realistyczne, czy też wyimaginowane obiekty. Zebrane dane artyści

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA X3

Wybrane dzieła Conga

wykorzystali w pracy „America's most wanted", oddając wizję idealnego, najbardziej pożądanego (przez większość) dzieła sztuki. Na obrazie znalazły się sarny, akwarelowe pagórki, jezioro, wypoczywająca rodzina i... George Washington.

Taki pejzaż preferencji nie był jednak charakterystyczny tylko dla mieszkańców USA. Komar i Melamid przeprowadzili podobne badania w dziewięciu innych krajach, uzyskując zadziwiająco zbliżone rezultaty. Okazało się, że niezależnie od położenia geograficznego, ludzie preferują te same cechy w przedstawionych obrazach. Są to m.in. obecność wody lub ślady jej występowania, otwarta przestrzeń z widokiem na horyzont, dowody życia zwierząt oraz różnorodna flora. Te uniwersalne upodobania doprowadziły do sformułowania tzw. hipotezy sawanny. Zakłada ona, że wolimy krajobrazy afrykańskie, szczególnie te, na których łatwo byłoby o schronienie się (np. na drzewie), wodę i pożywienie, a także z oddali dałoby się dostrzec drapieżniki. Zgodnie z tą hipotezą takie preferencje sprzyjały zamieszkiwaniu terenów, na których najłatwiej było przeżyć.

Ewolucyjna tęsknota za idylliczną sawanną wydaje się tutaj podstawą do uznania sztuki za ładną i przyjemną. Takie spojrzenie wypacza jednak kilka kwestii. W historii naszego gatunku zmieniał się wygląd naszego naturalnego habitatu. W dodatku hipoteza sawanny ma trudność z wyjaśnieniem naszych indywidualnych gustów – powinno nam się podobać dokładnie to samo. Nieważny też jest sposób wykonania. Afrykański pejzaż powinien zachwycać niezależnie od tego, czy jest malarskim arcydziełem, czy wygaszaczem ekranu.

Czysta przyjemność

Nad istotą sztuki i naszego instynktu piękna zastanawiają się także neuronaukowcy, którzy próbowali odpowiedzieć na odwieczne filozoficzne pytanie: czy piękno drzemie w samym dziele sztuki, czy jest raczej predyspozycją odbiorcy? Z różnych badań wyłania się wniosek, że prawda może leżeć gdzieś pomiędzy.

Naukowcy z różnych dziedzin mogą różnie patrzeć na sztukę, ale na ogół wszyscy się zgadzają co do jednej kwestii – doznania artystyczne są przyjemne. Według wspomnianej Dissanayake wrażenie przyjemności wywołanej przez sztukę jest pewną ewolucyjną koniecznością, bodźcem, który informuje nas o oznakach zdrowia i witalności partnerów, zasobie czasu i pracowitości, odzwierciedlonym w artystycznym dziele. W jednym z klasycznych już badań neuronaukowcy Hideaki Kawabata i Semir Zeki wykazali m.in., że podczas oglądania obrazów aktywna jest kora oczodołowo-czołowa, odpowiedzialna za przetwarzanie przyjemnych bodźców, a pobudzenie tego obszaru jest silniejsze, gdy oglądamy malunki uznawane przez nas za piękne. Piękno miałoby zatem pobudzać nasz układ nagrody – podstawowy mechanizm neuronalny, który motywuje nas do rozmaitych zachowań. Te i wiele dalszych badań w obszarze neuroestetyki wskazują więc, że posiadamy pewne predyspozycje do postrzegania piękna.

Czy te predyspozycje różnią się od zwykłego postrzegania przedmiotów? Wydaje się, że tak. Dostrzegamy cechy danej rzeczy, które sprawiają nam szczególną

przyjemność. Taką cechą jest np. symetria. Zarówno badania nad dorosłymi, jak i nad dziećmi pokazują, że wolimy regularne wzory, niezależnie od kultury czy wychowania. Preferencja bodźców symetrycznych, głównie wzdłuż osi pionowej, występuje już u niemowląt. Ale dotyczy to nie tylko obiektów. Noworodki doceniają także atrakcyjne, symetryczne twarze już od około drugiego, trzeciego dnia po urodzeniu.

Vilayanur Ramachandran i William Hirstein wymieniają całą listę mechanizmów percepcyjnych, które zaangażowane są w przetwarzanie piękna i są źródłem estetycznej przyjemności – a także poszukują ich neuronalnego podłoża i ewolucyjnego rodowodu. Według tych badaczy artyści mniej lub bardziej świadomie sprawiają, że ich dzieła pobudzają te mechanizmy. Obok symetrii, na stworzonej przez Ramachandrana i Hirsteina liście „praw sztuki" znajdują się m.in. grupowanie, pozwalające odróżniać przedmiot od tła, wydobywanie kontrastu, „rozwiązywanie problemów percepcyjnych" (przyjemność estetyczną czerpać mamy z odkrywania nieoczywistych znaczeń, jak na obrazku wyłaniającym się z puzzli), unikanie nieoczywistych perspektyw czy stosowanie wizualnych metafor (pozwalających odkrywać ukryte podobieństwa między przedmiotami czy ideami).

Krytyka i dialog

Ale nawet jeśli badacze ci poprawnie identyfikują pewne cechy wytworów artystycznych, trudno na tej podstawie stworzyć przepis na arcydzieło. Nie chodzi tylko o to, że artyzm czasem wiąże się ze złamaniem jakichś zasad, ale także o to, że nasze relacje ze sztuką wydają się znacznie bardziej skomplikowane.

W całym procesie naszego poznania, także estetycznego, bierze udział nasze ciało, środowisko, otoczenie, pamięć, wiedza, a nawet interakcje, które składają się na ciągłe i skomplikowane działania. Możemy poszukiwać źródeł poczucia piękna w doborze płciowym, hipotezie sawanny czy naszej percepcji, jednak nie uzyskamy jeszcze pełnej odpowiedzi na pytanie o to, co wyróżnia naszą sztukę – ani na pytanie, dlaczego podoba nam się akurat to, a nie inne dzieło.

Pewnie dlatego tak trudno zaakceptować egzaltowaną opinię krytyka oglądającego w galerii sztuki prace szympansa. Pragniemy myśleć, że myli się względem odbioru bohomazów małpy, tymczasem jego zachwyt nad kompozycją dzieła może być jak najbardziej prawdziwy, a założenie, iż obraz pochodzi od człowieka, jest całkiem racjonalne. Wszystkie zmysły, środowisko społeczne i wiedza każą sądzić, że w przypadku Pierre'a Brassau mamy do czynienia z intencjonalnie namalowanym przez artystę obrazem. Wywołane wrażenie nie jest błędem – jest żywą i wielowymiarową interpretacją, opartą na elementach wykraczających poza analizę samego dzieła czy zmysły odbiorcy. A przecież także wiedza o tym, do jakiego gatunku należy nie tylko samo dzieło, ale i jego autor – może wpłynąć na czyjąś ocenę.

© DIANA SAŁACKA

Autorka jest rzeczniczką Centrum Kopernika UJ. W październiku na kanale Copernicus na YouTubie zadebiutuje jej program „No to pięknie" – seria rozmów o sztuce z perspektywy różnych nauk.

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Pierwsze dzieła

NIE JEST JASNE, kiedy w historii człowieka pojawiła się sztuka, ponieważ trudno ocenić, które wytwory ludzkich rąk mają charakter artystyczny lub symboliczny. Nasz rodzaj wyewoluował ponad 2 mln lat temu, a pierwsi ludzie zostawili po sobie proste kamienne narzędzia zwane olduwajskimi. Miały one jednak wyłącznie praktyczne zastosowania.

OK. 1,7 MLN LAT TEMU *Homo erectus*, który dokonał rewolucji technologicznej – stworzył obrabiane dwustronnie narzędzia aszelskie – wyżłobił w kawałku skały w wąwozie Olduwai w zachodniej Afryce serię zagłębień w kształcie odwróconej kopuły. Niektórzy badacze uznają takie formy za przejaw sztuki lub myślenia symbolicznego. Temu samemu gatunkowi przypisuje się wyrycie zygzaków na muszli znalezionej w miejscowości Trinil na Jawie, datowanej na 500 tys. lat. Już wtedy pojawiają się też aszelskie pięściaki o dwustronnej symetrii, wykonane w ozdobnym kamieniu i z tak dużą starannością, że można podejrzewać, iż nie były używane do zwykłych czynności. Ówcześni ludzie powszechnie posługiwali się już ogniem, a nawet potrafili pokonać kilkanaście kilometrów morza i kolonizować wyspy. 300-500 tys. lat ma Wenus z Tan-Tan – kamienny artefakt o ludzkich kształtach, barwiony ochrą, przez część archeologów uznawany za jedną z najstarszych rzeźb.

200 TYS. LAT TEMU dwójka dzieci zostawiła odciski stóp i dłoni w tybetańskim błocie. Zapewne podczas zabawy, ale ponieważ ich układ przypomina mozaikę, mógł wymagać jakiejś formy artystycznego namysłu. W tym czasie mózg człowieka osiągnął już współczesne rozmiary. Niewiele później pojawiają się dowody na wyrabianie biżuterii. Ok. 70-50 tys. lat temu powstały najstarsze malowidła naskalne przedstawiające zwierzęta i sceny polowań, a ok. 40 tys. lat mają odbicia zabarwionych dłoni w jaskini El Castillo i tzw. flet Divje Babe (na zdjęciach) – domniemany instrument muzyczny wykonany z kości udowej niedźwiedzia jaskiniowego. Młodsze przejawy sztuki są już powszechne. ©℗ ŁK

MATERIAŁY PRASOWE UNIVERSITY OF BRISTOL

Logika refleksów

PIOTR SZYMANEK

Niektórzy ludzie nie rozpoznają się w lustrze. A ci, którzy potrafią, mogą po długotrwałym wpatrywaniu się we własne odbicie doświadczyć nietypowych przeżyć.

Zdradzi nam, kto jest najpiękniejszy na świecie, uratowało Hermionę Granger przed atakiem terroryzującego Hogwart bazyliszka, a czasem można przez nie przejść do innego świata. Lustra fascynowały ludzkość zapewne od chwili, w której człowiek po raz pierwszy rozpoznał własne odbicie w tafli wody. Nadają przestrzeniom głębi, hipnotyzują, pozwalają bawić się światem dookoła i zaglądać w miejsca, do których nie mamy dostępu. I – przede wszystkim – pozwalają zobaczyć samych siebie i dowiedzieć się, jak postrzegają nas inni. Dzięki temu wszystkiemu znalazły także swoje miejsce w nauce.

W latach 70. XX w. zaczęto traktować lustro jako narzędzie badania samoświadomości. Procedura znana jako „test lustra" pozwala sprawdzić, czy dany osobnik (np. dziecko albo małpa) jest w stanie pojąć, że obraz, który widzi na powierzchni lustra, jest odbiciem rzeczywistego świata, a w szczególności: rozpoznać samego siebie w tym odbiciu. Test lustra najczęściej poprzedzało namalowanie na twarzy lub pyszczku badanego (i bez jego wiedzy) czerwonej kropki. Jeśli postawiony przed lustrem zorientował się, że ma na sobie kropkę, przechodził test. W ten sposób zdolność do myślenia o sobie samym przypisano niemowlętom, małpom człekokształtnym, delfinom, niektórym ptakom i słoniom. Ten test ma jednak wiele ograniczeń, bo nie wszystkie zwierzęta korzystają w równej mierze ze zmysłu wzroku (dla psów opracowano test oparty na zapachu), poza tym konsekwentnie przechodzi go także pewna rybka – wargatek sanitarnik – którą trudno podejrzewać o wyrafinowaną zdolność do myślenia o sobie samej.

Niezależnie od tych obiekcji, test lustra stanowi ciekawą wskazówkę dotyczącą złożoności procesów poznawczych występujących w danym organizmie. Mózg musi w końcu wykonać wiele obliczeń, by zrozumieć, że widzi odbicie. Potrzebna jest tu umiejętność reprezentowania – a więc budowania aktywnego modelu otaczającego świata – oraz zdolność zauważenia, że niektóre reprezentacje są, w pewnym sensie, fałszywe. Rozpoznanie siebie wymaga dodatkowych obliczeń – dopiero gdy mózgowi uda się skojarzyć pozycję oraz ruchy „tego zwierzęcia, tam" z pozycją oraz ruchami własnego ciała, osobnik może się zorientować, że ma do czynienia z odbiciem. O poziomie trudności wyzwania, jakim jest rozpoznanie się w lustrze, najlepiej zaś świadczą przypadki ludzi, którzy sobie z nim nie radzą.

Czerwona pigułka

W słynnej scenie z „Matriksa" Morfeusz proponuje Neo dwie tabletki: czerwoną i niebieską. Neo wybiera czerwoną, która pozwala mu, niczym Alicji, znaleźć się po drugiej stronie lustra. Bohater dotyka srebrnej tafli zwierciadła, a ta okazuje się płynna. My nie mamy czerwonych pigułek, ale zdarzają się wśród nas pacjenci z tzw. agnozją lustra, którzy faktycznie próbują przejść „na drugą stronę".

Agnozją określa się w neurologii zbiorczo wszystkie zaburzenia rozpoznawania. Chyba najsłynniejszym jest prozopagnozja – brak zdolności do rozpoznawania twarzy. Dotknęła ona np. tytułowego „Mężczyznę, który pomylił żonę z kapeluszem" z książki Olivera Sacksa oraz jednego z bohaterów filmu „Vinci", któremu normalne funkcjonowanie umożliwiały ustalone ze znajomymi hasła (Churcilawa – Beckenbauer!).

Istnienie agnozji lustra stwierdził w latach 90. Vilayanur Ramachandran. Ten słynny neurobiolog – także badacz doświadczeń estetycznych [wspomina o nim w poprzednim artykule Diana Sałacka – red.] – przeprowadził eksperyment, do którego zaprosił pacjentów z zespołem pomijania lewostronnego (takie osoby nie potrafią rozpoznać przedmiotów w swoim lewym polu widzenia, mimo braku uszkodzenia wzroku). Po prawej stronie pacjentów postawiono lustro i pokazywano w nim przedmioty trzymane nad ich lewym ramieniem. Choć pacjenci wiedzieli, że patrzą na lustro, próbowali chwycić przedmiot, sięgając ręką przed siebie. Gdy pytano ich, co jest nie tak, odpowiadali sfrustrowani, że przedmiot „znajduje się w lustrze" albo „za lustrem". Jak zauważa Ramachandran, ta agnozja była czymś więcej niż objawem pomijania stronnego: u pacjentów brakowało zrozumienia tego, jak działa lustro.

W ostatnich latach stwierdzono także istnienie pokrewnego zaburzenia – agnozji obrazu lustrzanego. Osoby nią dotknięte mają większą świadomość tego, jak działa lustro (nie będą więc wyciągać w jego kierunku ręki), ale mimo to nie potrafią rozpoznać odbitych w nim obiektów – w tym samych siebie.

Ale bodaj najbardziej zaawansowanym zaburzeniem związanym z lustrami jest tzw. zespół błędnej identyfikacji lustrzanej. Ta choroba może kojarzyć się z bardziej znanym zespołem Capgrasa: przypadłością, w przebiegu której pacjent jest w stanie tylko w ograniczony sposób rozpoznać swoich bliskich. Chory twierdzi, że choć dana osoba – np. jego żona – jest do złudzenia podobna do ukochanej małżonki, to jednak nie jest to ta sama kobieta, której przysięgał. U takich pacjentów, jak sugerują naukowcy, wszystko w obrębie zmysłu wzroku działa poprawnie; problemem jest uszkodzenie mózgowych obszarów odpowiedzialnych za emocje. Chory rozpoznaje syna, ale nie

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Oławie w Wydziale I Cywilnym pod sygnaturą akt I Ns 102/21 prowadzone jest postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Zbigniewie Słomce, mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Jelczu-Laskowicach (55-220) przy ul. Grabskiego 18/5. Skład spadku nie został ustalony.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Oławie i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Instalacja Dani Karavana „Odbicia" w galerii Muzeum Śląskiego. Katowice, 27 września 2016 r.

czuje związanych z tym pozytywnych emocji, więc dochodzi do wniosku, że to po prostu musi być sobowtór.

Pacjenci z zespołem błędnej identyfikacji lustrzanej również konfabulują, próbując wyjaśnić lekarzowi treść własnej percepcji. Twierdzą np., że osoba „w lustrze" to ich przyjaciel albo syn, młodsza wersja ich samych lub ktoś, kto się pod nich podszywa. Co ciekawe, u osób z tym syndromem zachowana jest w całości zdolność rozpoznawania twarzy innych ludzi w lustrze.

Czy jest jakaś niebieska pigułka, która zmieniłaby lustro z powrotem w – po prostu – lustro? Przyczyn agnozji lustra, agnozji obrazu lustrzanego i błędnej identyfikacji można poszukiwać w tym samym obszarze mózgu – przedniej części prawej półkuli. Uszkodzenia zlokalizowanych tam struktur zwykle objawiają się problemami takimi jak zaburzenia kategoryzacji, utrata zdolności rozpoznawania oraz trudności w korygowaniu własnych błędnych przekonań.

Jednakże syndrom błędnej identyfikacji wymaga zazwyczaj czegoś więcej niż uszkodzeń mózgu, a także zdarza się u pacjentów, u których uszkodzenia nie wystąpiły. Często nie potrafią rozpoznać się w lustrze pacjenci z demencją lub chorzy na schizofrenię. Wygląda więc na to, że dwa podobne do siebie zaburzenia związane z percepcją zwierciadła mogą mieć różną etiologię: neurologiczną, psychiczną lub mieszaną.

Przestroga Narcyza

Co ciekawe, żeby przeżyć niezwykłe doświadczenie z lustrem, nie trzeba mieć żadnej agnozji. Opublikowany w tym roku przez Giovanniego Caputo i współpracowników przegląd badań rzuca światło na różnorodność przeżyć, które może wywołać w nas długotrwałe patrzenie w lustro i przyglądanie się własnemu odbiciu.

Podobnie jak w micie o Narcyzie, dla którego zobaczenie swojego odbicia nie skończyło się dobrze, w rzeczywistości wpatrywanie się w lustro wywołuje – w skrajnych przypadkach – dysocjacyjne stany takie jak depersonalizacja (wrażenie bycia kimś innym lub chwilowa utrata poczucia tożsamości) i derealizacja (poczucie oddzielenia od rzeczywistości, jak gdyby była ona tylko snem albo filmem). Autorzy sugerują, że wystarczy patrzeć swojemu odbiciu w oczy przez 10 minut, by doświadczyć podobnych sensacji. Po takiej sesji badani doświadczali też zniekształcenia własnej twarzy w lustrze, a czasem wydawało im się, że widzą świecącą aurę wokół swojej głowy lub świecące oczy. Niektórzy z nich miewali nawet wrażenie, że widzą w lustrze zupełnie inną twarz. W jednym z eksperymentów zauważono, że szczególnie mocno oddziaływały na uczestników zmodyfikowane lustra. Gdy postawiono przed ochotnikami lustro podzielone pionowo na dwie części, doświadczyli oni depersonalizacji oraz uczucia, że ich lewa i prawa część reprezentują odpowiednio dwie różne połówki ich charakteru: dobrą i złą.

Caputo opisuje też doświadczenia, w których badani zamiast patrzeć w swoje odbicie, mieli obserwować lustro wycelowane w czarny sufit. Również i w tym przypadku doświadczenia uczestników bywały niezwykłe. Wielu z nich czuło obecność bliskich zmarłych albo widziało cień poruszający się na powierzchni lustra. Zdarzało się to częściej w przypadku osób, które niedawno przeżyły stratę kogoś bliskiego. Trzeba tu jednak zaznaczyć, że ten efekt może nie mieć za wiele wspólnego z samym lustrem i da się go zapewne wyjaśnić sugestią, której poddani byli badani. Wiemy skądinąd, że sugestia może mieć ogromny wpływ na nasze doświadczenie. Doskonale udowadnia to eksperyment kognitywisty Michiela van Elka, w którym zakładano osobom badanym na głowę „hełm Boga", mający rzekomo wywoływać doświadczenia religijne przy pomocy przezczaszkowej stymulacji mózgu. Po półgodzinnej sesji w hełmie badani zgłaszali naukowcom, że czuli obecność nadludzkich istot, a nawet mogli się z nimi komunikować. Zapewne zresztą tak było. Ale fakt faktem: hełm nie był nawet podłączony do prądu.

Jak tłumaczyć wszystkie te przedziwne stany, które można przeżyć patrząc w najzwyklejsze lustro? Jednym z prostszych mechanizmów, który może być zaangażowany w zmiany w percepcji własnej twarzy, jest... nuda. Znane są przypadki kierowców samochodów ciężarowych, którzy przemierzając wciąż te same, puste krajobrazy, zaczynają widzieć ludzi, zwierzęta i przedmioty przesuwające się przed nimi po drodze. W stanie deprywacji sensorycznej – a więc gdy naszemu mózgowi, łaknącemu bodźców, po prostu brakuje informacji do przetwarzania – łatwo o niewinne halucynacje, które wypełnią nasze pole widzenia czymś przykuwającym uwagę. Jednak niektóre z „lustrzanych" doświadczeń trudno wyjaśnić w ten sposób. Szczególnie interesująca jest tu depersonalizacja i derealizacja, stany pojawiające się najczęściej u ludzi z zaburzeniami lękowymi. Czyżby zbyt długie wpatrywanie się w swoje odbicie powodowało, że nasz umysł czuje się przeładowany myślami o sobie samym?

Na razie nie wiemy, jakie dokładnie mechanizmy neuropsychologiczne odpowiadają za fenomen lustrzanych dysocjacji. Ale wiemy, że warto przyglądać się temu, jak w lustrze „odbija" się nasz mózg i nasze myśli, by dowiedzieć się o nich więcej. Byleby nie za długo – na wszelki wypadek. ©

W PEWNYM WIEKU

ANDRZEJ FRANASZEK, PISARZ:

Na ogół jesteśmy dziś ironiczni, wręcz cyniczni, a więc letni. Tymczasem moi bohaterowie byli gwałtowni, gorący lub zimni. Nigdy letni.

MONIKA OCHĘDOWSKA: Jako biograf nie ukrywasz czułości wobec swoich bohaterów: Herberta, Miłosza, niedługo Czapskiego. Lubisz słowo „czułość"?

ANDRZEJ FRANASZEK: Bardzo je lubię, dość często używam, w miarę swych możliwości staram się je również – by tak rzec – praktykować. Ale wiele lat temu zapadła mi w serce fraza Czesława Miłosza o francuskim odpowiedniku „czułości", czyli o słowie *tendresse*. Miłosz pisał, że „kiedy ściska w gardle, dlatego, że istota, na którą patrzę, jest tak bardzo krucha, ranliwa, śmiertelna, wtedy *tendresse*". Taki stan w sobie odkrywamy może zwłaszcza wtedy, gdy jesteśmy nieco starsi. Choćby kiedy spotykamy dawno niewidzianego przyjaciela, uświadamiamy sobie, jak się zmienił, i wzruszamy tą zmianą, cieleśnie wręcz czując wspólny los ludzi żłobionych przez czas, zmierzających ku śmierci. Albo kiedy dojrzewamy do tego, by miłości nie utożsamiać wyłącznie ze stanem gwałtownego zakochania, kiedy zdajemy sobie sprawę, że zakochania, nawet nieszczęśliwego, doznawać łatwiej, niż podtrzymywać latami czułość.

Dlaczego tak się dzieje?

Dla czułości trzeba wyzwolić się z siebie, natomiast w dramatycznym zakochaniu, kiedy wydaje nam się, że – tak to zresztą ujmuje język angielski czy francuski – wpadamy w otchłań miłości, nie jest pewne, czy kochamy tę drugą istotę, czy może upojny stan, w którym się znajdujemy.

Jaki to stan?

Wzmożonego istnienia, jego podwyższonej temperatury. A przecież także stan, w którym czujemy, że jesteśmy niejako podwójni, bo przeżywając coś z całą intensywnością – jednocześnie analizujemy owo przeżywanie. W „Dolinie Issy" Miłosz zauważa, że nawet w chwili najwyższego podniecenia, kochając się z kimś, patrzymy na siebie również z zewnątrz, choćby dostrzegając komizm samego aktu seksualnego. I wtedy właśnie człowiek „bardziej niż kiedykolwiek, czuje, że jest podwójny".

Każdy z nas?

Na pewno ci pisarze, których od lat czytam, byli ludźmi o silnie rozwiniętej introspekcji, o nieustannej potrzebie analizowania swoich emocji. Czasami są nawet tą potrzebą udręczeni, jak choćby Miłosz, bardzo jeszcze młody, który w liście do Iwaszkiewicza pastwi się nad sobą, że stojąc przy martwym ciele swojej ukochanej babci nie czuje żadnych emocji, jedynie zmusza siebie do smutku czy łez, by nie naruszyć żałobnej konwencji.

Józef Czapski chyba tego nie miał?

Czapskiego opisywano zwykle jako człowieka aż niebezpiecznie anielskiego, może cokolwiek naiwnego lub zbyt szlachetnego jak na życie w XX stuleciu.

Otóż rotmistrz Czapski był w czasie wojny nieszczęśliwie zakochany w pewnym młodym poruczniku. Przeżywał ten stan z pełnym dramatyzmem, kusiło go samobójstwo, zapisywał w dzienniku każdy szczegół związany z tamtym człowiekiem, modlił się o jego uśmiech. A jednocześnie – i to jest właśnie fascynujące – zastanawiał się, jak może spożytkować sytuację, w której się znalazł. Czapski wie, że na cierpieniu korzysta, że wyrywa go ono z duchowego zleniwienia, z „praktyczności", a zatem – w jego oczach – jałowości istnienia. Utożsamia się nawet z narratorem „W poszukiwaniu straconego czasu", którego wiadomość o byciu zdradzanym zarazem obezwładnia i uskrzydla.

Jak wiemy, ogromna część literatury nie jest poświęcona zgodliwemu pożyciu wieloletnich małżonków albo bezinteresownej przyjaźni, a właśnie stanom dramatycznym i niszczącym, ale nieraz, przyznajmy, pięknym. Nawet poczciwy Hans Castorp z „Czarodziejskiej góry", który porzuca dotychczasowe życie dla Kławdii Chauchat, wmawia w siebie chorobę, by zostać w sanatorium i tam czyhać na każde spojrzenie fascynującej go kobiety. Castorp, który jak skarbu strzeże wspomnienia o spędzonej z nią nocy, otóż zakochany Castorp, gdy po pewnym czasie sprawy między nimi przybierają bardziej spokojny obrót – właściwie przestaje się Kławdią interesować.

Słuchałeś ostatnio audiobooka „Czarodziejskiej góry" i cytowałeś na Facebooku zdanie Manna o tym, że „prawdziwie zajmujące jest tylko to, co gruntowne". Co ta formuła dla Ciebie znaczy?

↦

DOROTA CZOCH / ANYWHERE.PL

↦ Na prostszym poziomie: przeczytanie jak największej ilości materiałów na temat kogoś, o kim piszę, te wszystkie archiwalne kwerendy... Ale o wiele istotniejszym wcieleniem gruntowności wydaje mi się wycieniowanie ocen, a więc możliwie najgłębsze, na jakie mnie stać, zrozumienie mojego bohatera. Nie chcę oczywiście porównywać krzątaniny biografa z pracą twórcy arcydzieła, jakim jest „Czarodziejska góra". Ale czemu nie powiedzieć, że dla tej krzątaniny sztandarem mógłby być sposób, w jaki Tomasz Mann traktuje stworzone przez siebie postaci, ten głęboko ludzki ton jego opowieści, w której śmiesznostki i ułomności znajdują swe miejsce, nie unieważniając jednak powagi, wzniosłości czy bólu.

Bohaterowie „Gwiazdy Piołun", Twojej najnowszej książki – poza Miłoszem, Herbertem i Czapskim także Różewicz, Iwaszkiewicz czy Gombrowicz – są często ukazywani w takich właśnie bolesnych, gorzkich momentach rozczarowania sobą albo światem. Wiedzą już, że są ranliwi i śmiertelni.

Minąwszy 50. urodziny, a więc mając pewność, że za nami półmetek życia, nie możemy uciec przed rozliczaniem się ze sobą. Wśród pisarzy, których wymieniłaś, to chyba Miłosz najczęściej zapisywał w wierszach potrzebę rachunku, osądu, a przy tym – rozczarowanie samym sobą, konstatację, że nie stał się kimś, kim pragnął być w młodości: „Panie doktorze, boli mnie. / Nie tu. Nie, nie tu. Sam już nie wiem. / Może to nadmiar wysp i kontynentów, / niepowiedzianych słów, bazarów i drewnianych fletów / albo picia do lustra, bez urody, / choć miało się być czymś w rodzaju archanioła / albo świętego Jerzego na Świętojerskim Prospekcie"...

I pisze to wykładowca Berkeley i Harvarda, noblista.

Inaczej my odczuwamy życie Miłosza, myśląc o jego zwycięstwach, o Nagrodzie Nobla, inaczej odczuwał je on sam – emigrant przez dekady piszący w pustce, udręczony rodzinnymi tragediami. Ale w liniach, które cytuję, jest coś głębszego niż „obiektywny" rachunek zysków i strat, raczej bardzo intymne poczucie, że się nie spełniło własnych, nawet niejasnych, marzeń o przyszłości, że zbiera się w nas pył. Simone Weil uważała, że „trzeba myśleć tylko źle o sobie". To może nie jest do końca słuszne zalecenie, ale na pewno wielu bohaterów mojej książki (którzy byli zresztą czytelnikami Weil i spierali się z nią) przeżywało ciągłe z siebie niezadowolenie, niepogodzenie ze sobą.

Oczywiście bywa, że niezadowolenie paradoksalnie graniczy z pychą, ale i tak myślę, że taka postawa jest uczciwsza, ciekawsza, a wreszcie – bardziej twórcza niż to, do czego zachęca nas współczesna kultura, a więc pełne zaakceptowanie i zadowolenie z siebie. Że może nie na co dzień, a nieraz także – nie dla naszego otoczenia, ale w wyższym porządku lepsze jest skrupulatne sumienie niż psychoterapeutyczna afirmacja.

To niezadowolenie wynika tylko z poczucia niedocenienia i samotności, czy również ze świadomości przemijania, z którą nie potrafimy się pogodzić?

Moi bohaterowie byli świadomi przemijania i nie raz udręczeni nim. Znakiem upływu czasu, ale również po prostu przyrodzonej ułomności, było dla nich często własne ciało. Czapski widzi w lustrze chimerę z Notre-Dame, starzejący się Miłosz ropuchę, Iwaszkiewicz myśli o swoim ciele zbyt wielkim, przez nikogo nie ukochanym, bardziej dyskretny Herbert pisze nie wprost o sobie, za to o „poecie w pewnym wieku", który musi przyjąć moment życia „między odchodzącym Erosem / a Thanatosem który nie wstał jeszcze z kamienia". I oczywiście każe urodzić się Panu Cogito, o którym – ale jedynie prywatnie – mówił, że to „jegomość w naszym wieku, który stara się walczyć z rozpaczą".

Narodziny Pana Cogito – to moment życia, który Cię interesuje?

Masz na myśli czas pełnej samoświadomości? Myślę, że w każdym razie jest to moment prawdy, czas, kiedy przestajemy się łudzić. Ale w tych życiorysach, które próbuję opisywać, bardziej jeszcze fascynują mnie chwile inne, kiedy ułomność ustępuje pola wielkości, wzniosłości. To są oczywiście bodaj niemożliwe do zrozumienia „z zewnątrz" chwile twórcze – gdy z egotycznych udręczeń rodzi się nagle linia wiersza. Ale też chwile przyjaźni, wybaczenia. Taką chwilą jest dla mnie dzień, kiedy niemłody już Mi-

BIOGRAFIE FRANASZKA

▪ **Przepustka z piekła (2010)** – szkice o literaturze, cielesności i miłości oraz cenie, jaką płacimy za wszelkie gwałtowne uczucia. Wśród bohaterów, poza Miłoszem, Herbertem i Różewiczem, także m.in. Olga Tokarczuk, Paweł Huelle, Marcin Świetlicki.

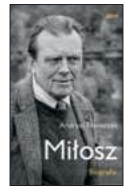

▪ **Miłosz. Biografia (2011)** – portret jednego z najważniejszych poetów XX w., a zarazem kawał historii tego stulecia z jego okrutnymi paroksyzmami: wojnami, totalitaryzmami, zrywami niepodległościowymi. Miłosz ukazany jest tu jako człowiek łączący w sobie wrażliwość i skłonność do depresji z pozwalającą mu trwać i tworzyć witalnością oraz ogromną siłą fizyczną i duchową.

▪ **Herbert. Biografia. Tomy: Niepokój, Pan Cogito (2018)** – ujawniając szczegóły przebiegu choroby dwubiegunowej poety (zdiagnozowanej przez lekarzy francuskich w 1966 r., a dającej objawy już dekadę wcześniej), Franaszek w dwóch biegunach cyklofrenii odnajduje wyznacznik rytmu życia i twórczości Herberta: „olbrzymie wahadło, zanurzające się a to w odbierającą wszelką nadzieję ciemność, a to w oślepiającą, oszałamiającą jasność, pomiędzy nimi zaś w tę szczęśliwą strefę cienia, kiedy można było normalnie żyć".

▪ **Gwiazda Piołun. Opowieści o poezji, podróżowaniu i przyjaźni (2022)**, a także o tym, że „każda polonistyczna działalność wiąże się z osobistym, choć nieraz skrywanym zaangażowaniem" i potrzebą znalezienia „podpowiedzi na najbardziej naiwne pytania o sens własnego życia". Wśród bohaterów m.in. Iwaszkiewicz, Gombrowicz, Czapski.

łosz ogląda w paryskim kinie „Panny z Wilka” Wajdy i widzi na ekranie starego Iwaszkiewicza. Wszystkie rozczarowania, gorycze, wrogości, które się między nimi przez lata spiętrzyły – odchodzą, zostaje bliskość i czułość. Momentalne rozpogodzenie.

„Czas, który innych wysusza, dodał mi dobroci. Krowieję, byle co mnie wzrusza” – to z Flauberta, którego cytujesz w „Gwieździe Piołun”.

Chyba wielu ludzi tak odczuwa, choć z pewnością nie wszyscy, spójrzmy choćby na polityków, których twarze z wiekiem kamienieją w straszliwe maski. Zachowując odpowiednie proporcje: jako student łatwo formułowałem krytyczne sądy, dotyczące zarówno czytanych książek, jak po prostu bliźnich. Dziwiło mnie, że mój ówczesny niedościgły wzór, wykładowca i mistrz Marian Stala był w takich ocenach o wiele bardziej wyrozumiały. Dzisiaj każdą ocenę cieniuję aż do udręczenia (siebie i ewentualnych czytelników), zapewne po prostu dlatego, że – chcąc nie chcąc – poznałem już aż za dobrze własne niedoskonałości.

A Twoi bohaterowie?

Miłosz z latami łagodniał, może zresztą po części dzięki czułości, jaką obdarowała go druga żona. Nie jestem pewien, czy łatwiej się wzruszał, takie intensywne wzruszenia zapisuje natomiast Czapski, zauważając zresztą, że częściej mu ich dostarcza lektura niż życie. Może dla pewnego typu osobowości drogą w głąb siebie, ścieżką prowadzącą do wzruszenia, a więc także do odsłonięcia własnej bezbronności, są książki. Wiersze, które czytamy na głos i czujemy, że głos więźnie nam w gardle.

Literatura jest narzędziem współczucia?

Myślę, że tak, że powinna nią być. U Herberta Pan Cogito owym narzędziem współczucia chciałby uczynić wyobraźnię. To rzeczywiście wydaje mi się najwyższym sensem kultury: we współczujący, choć nie idealizujący sposób (tak choćby, jak nieraz czynił to Czapski w swych obrazach) ukazać ludzką kondycję, a zarazem przekroczyć ją, na pewien sposób unieważniając cierpienie i śmierć. Jednym z porażających fragmentów „Czarodziejskiej góry” jest chwila, gdy Hansowi Castorpowi podczas seansu spirytystycznego objawia się jego zmarły kuzyn, Joachim. Castorp błaga Joachima o wybaczenie, może zresztą jedynie tego, że on sam nadal pozostaje wśród żywych. Gdybyśmy mogli uczestniczyć w takim seansie, kogo byśmy odważyli się przywołać, za co byśmy go przepraszali?

JOANNA FRANASZEK

ANDRZEJ FRANASZEK (ur. 1971) jest historykiem literatury, wykładowcą Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Autor książek: „Ciemne źródło. Esej o cierpieniu w twórczości Zbigniewa Herberta”; „Przepustka z piekła. 44 szkice o literaturze i przygodach duszy”; „Miłosz. Biografia”; „Herbert. Biografia” i opublikowanego w tym roku zbioru esejów „Gwiazda Piołun. Opowieści o poezji, podróżowaniu i przyjaźni”. Od kilku lat pracuje nad książką poświęconą życiu i twórczości Józefa Czapskiego.

Jest w życiu rzeczywiście taki moment, w którym wyczerpuje się ironia.

Niewątpliwie. Choć pochodzę z ironicznego Krakowa, a przez lata pracowałem w ironicznej redakcji „Tygodnika Powszechnego”, to sądzę – częściowo zresztą wzorem moich bohaterów – że ironia, choć niezwykle pomocna i błyskotliwa, wspaniale pożytkowana choćby przez Herberta – ma swoje zasadnicze ograniczenia. Że nawet jeśli jesteśmy Marcinem Wichą, który ból po śmierci matki potrafił zamknąć w śmiechu przez łzy, czy też w łzach skrytych za śmiechem – nie da się z pomocą ironii wypowiedzieć wszystkiego. Czasem musimy zaryzykować, wystawić się na krytykę czy szyderstwo, ale jednak podjąć „wysoki ton”.

Dobrych kilka lat temu uderzyła mnie w nowej polskiej poezji radykalna potrzeba odcięcia się od jawnego wzruszenia, prostych stwierdzeń, przekonanie, że wiersz jest swego rodzaju grą, niczym – tak to zresztą opisywał Bohdan Zadura – partia ping-ponga, w której liczy się „ścięcie” czy „podkręcenie”. Z tego punktu widzenia Miłosz czy Herbert oceniani byli jako niemający niczego ciekawego do zaprezentowania poczciwcy. Ale ani o niesprawiedliwościach kapitalizmu, ani o katastrofie ekologicznej, ani o losie osób transpłciowych nie da się pisać, używając jedynie błyskotliwych, ironicznych zagrań.

Podobno przed laty młoda poezja ukraińska była złakniona ironii, możemy to zresztą zobaczyć choćby w dawnych wierszach Jurija Andruchowycza. Teraz wybrzmiewa w niej głos Marianny Kijanowskiej, która pisząc o Żydach wymordowanych w Babim Jarze, a zarazem o Ukraińcach mordowanych dziś przez Rosjan, przyjmuje ton całkowitego i wspaniałego serio.

Jesteś zwolennikiem powagi.

Coraz bardziej. Nie chodzi mi oczywiście o „napuszoność”, banalny patos, o wzruszenia fabrykowane. Ale widzę różnicę w tonacji duchowej bohaterów „Gwiazdy Piołun” a naszą współczesną tonacją, obawiam się, że najczęściej niższą, mniej poważną. Miłosz był przekonany, iż pełne ludzkie życie jest niemożliwe bez perspektywy metafizycznej, bez tej – choćby tylko postulowanej – „podszewki świata”. Tymczasem duża część z nas przestała o tej „podszewce” myśleć, wydaje się, jakby nam tej perspektywy w ogóle nie brakowało. Nie mam na myśli heroicznego ateizmu Różewicza czy Gombrowicza, ale naszą codzienną obojętność.

Może ta potrzeba nie znika, tylko przekształca się w coś innego?

Kiedyś przyszło mi do głowy, bodaj z pomocą „Obecności mitu” Leszka Kołakowskiego, że skoro tak chętnie czytamy czy oglądamy popularne dzieła, w których siłą sprawczą jest nie technologia, ↦

↦ a więc oświeceniowy rozum, a np. magia, a więc tajemnica, to może nieświadomie szukamy jakiejś namiastki perspektywy religijnej. Ale zdecydowanie nie czuję się w tej materii fachowcem, jestem co najwyżej prywatnym miłośnikiem twórczości Tolkiena.

Filozof i politolog Marek A. Cichocki w „Początku końca historii" pisze o paradoksie czasów prezentyzmu. Mamy coraz więcej archiwów i danych, ale coraz mniej z nich rozumiemy. To sprawia, że coraz trudniej jest nam realnie przewidzieć przyszłość, tracimy z oczu horyzont zdarzeń. Być może stąd wynika odwrót od fantastyki naukowej i konieczność ucieczki w magię.

Nieraz myślałem, że gdybym miał okazję obcować z Miłoszem mającym lat na przykład 50, to może nie byłbym w stanie wytrzymać jego powagi, pytań o nasze zbawienie, o możliwość przebudowy świata. Pytań, które zadawał zapraszając w Berkeley gości na kolację, zamiast z nimi plotkować czy – jak to się mówi – raczyć ich anegdotami. Później zacząłem się zastanawiać, czy nie jest i tak, że nie jest to wyłącznie moja osobista ułomność, że odzwierciedla ona także fakt, iż żyjemy w czasach, gdy wielkie idee wygasły, czy też to my przestaliśmy w nie wierzyć.

Wiem, że takie konstatacje są dość oczywiste, może wręcz banalne, jeśli nie umocujemy ich w doświadczeniach konkretnych ludzi. Gdy jednak przyglądam się losom owych konkretnych ludzi, tych, o których piszę, uderza mnie ich odmienność od nas samych. Zaryzykuję sąd, że dziś na ogół jesteśmy „doświadczeni", „dorośli", ironiczni, a często – cyniczni, a więc – mówiąc językiem ewangelicznym – „letni". Oni zaś byli na pewien sposób bardziej dziecięcy, gwałtowni, gorący lub rzadziej – zimni. Nigdy zaś letni.

Co z tego dla nas wynika?

Raczej przemawia to na naszą niekorzyść. Dlatego wolałbym, byśmy bohaterów „Gwiazdy Piołun" nie porzucali na atlantydzie minionej epoki, ale byśmy uważnie ich studiowali. I powtórzyli za Miłoszem, piszącym do Czapskiego: czytając Ciebie, czułem nie dystans czy ironię, „tylko pobratymstwo, że mówisz o naszym losie, nas wszystkich".

©℗ Rozmawiała MONIKA OCHĘDOWSKA

RICHARD C. MILLER / DONALDSON COLLECTION / GETTY IMAGES

20-letnia modelka Norma Jeane Mortenson (znana później jako Marilyn Monroe), Los Angeles, 1946 r.

Doktryna Monroe

SEBASTIAN SMOLIŃSKI

Była niczym białe płótno, na które projektowano męskie fantazje. Dziś jej osoba i twórczość są odzyskiwane przez pokolenie bardziej wrażliwych widzów. Ale czy historię Marilyn da się w ogóle opowiedzieć inaczej?

Rok 1953, Hollywood. Po dekadzie niezliczonych sesji zdjęciowych i po latach aktorskich doświadczeń Marilyn Monroe zalicza przełomowy sezon. Gra główne role w trzech dochodowych filmach, które pokazują skalę jej talentu. „Jak poślubić milionera" to nakręcona w kolorze, szerokoekranowa komedia, w której Monroe partneruje hollywoodzkiej diwie Lauren Bacall. „Mężczyźni wolą blondynki" stanowi jeszcze większy cymes: musical genialnego Howarda Hawksa. To w tym filmie

Marilyn wraz z Jane Russell wykonuje kultowy numer, w którym przekonuje, że „diamenty są najlepszymi przyjaciółmi dziewczyny". Jest jeszcze „Niagara", kuzynka filmu noir: duszny, perwersyjny i trochę tandetny thriller.

Wtedy amerykańscy widzowie mogli jeszcze gdybać. Czy ta zjawiskowa blondynka zostanie nową gwiazdą musicali? A może studio 20th Century Fox będzie szukać dla niej ról w bardziej melodramatycznych rejestrach? Nigdy więcej Monroe nie zagrała w tak wielu filmach w tak krótkim czasie. Jej późniejszy dorobek był skromny, nierówny i nieregularny. Kiedy wreszcie udało jej się bowiem wspiąć na szczyt, nastąpił powolny i bolesny zjazd. Wspaniałe występy (m.in. w „Słomianym wdowcu" i „Pół żartem, pół serio" Billy'ego Wildera) poprzetykane były kryzysami psychicznymi, romansami i próbami wybicia się na zawodową niepodległość. W końcu, w 1962 r., 36-letnia aktorka zmarła nagle w wyniku przedawkowania barbituranów – co stanowi główny składnik jej tragicznej legendy aż do dzisiaj.

Platynowa syrena

Tak opowiedziane życie Monroe ma gotową, choć mglistą dramaturgię: z zamazanymi szczegółami, niepotwierdzonymi anegdotami i nawarstwiającymi się kłamstwami. Ten ulepiony z faktów scenariusz – smutny i fascynujący – kusił pisarzy przez dekady. Biografowie potykali się, próbując opisać jej osobowość. Najczęściej, jak w przypadku głośnej w latach 70. „powieściowej biografii" Normana Mailera, na wierzch wychodziły przede wszystkim ich własne uprzedzenia i niemal odruchowa mizoginia. Jak na ironię, inteligenci pokroju Mailera (powieściopisarza) i Arthura Millera (dramaturga), byłego męża Monroe, nie byli w stanie skreślić przekonującej sylwetki tzw. zwyczajnej blondynki – pozbawionej formalnego wykształcenia i tak ochoczo wpisującej się w ich ideał seksownej kobiety.

Ikoniczny status MM (same inicjały wystarczą, by przywołać jej osobę) najlepiej uchwycił Andy Warhol, powielając do znudzenia obraz gwiazdy i nakładając nań psychodeliczne kolory. Która Marilyn jest tą prawdziwą? W jakich barwach ty ją widzisz? Pozorna przystępność – każdy może mieć kawałek tej kobiety dla siebie, a może nawet ją całą – była przez długi czas częścią „doktryny Monroe". Nazwijmy w ten sposób oszałamiającą jak na lata 50. mieszankę otwartej seksualności i ambiwalentnej niewinności, wdzięczenia się do oka patrzącego i prób kontrolowania własnego wizerunku.

Mit Marilyn pozostaje żywy, bo była ona nie naiwną aktoreczką – jak przez lata chcieli mało dociekliwi obserwatorzy – ale niejednoznaczną syreną. Jej głos kusił, ale potrafił też zwodzić i ironizować. Monroe była ofiarą patriarchalnego systemu, dawała się uprzedmiotawiać, a jednocześnie potrafiła walczyć o własną podmiotowość – nawet jeśli często, jak w przypadku kłótni z hollywoodzkimi studiami, była to walka skazana na porażkę. Przez dekady aktorka była niczym białe płótno, na które projektowano męskie fantazje. Dziś jej osoba i twórczość są odzyskiwane przez pokolenia co bardziej wrażliwych widzów. Sprzeczności jednak pozostają, wywołując apetyt na kolejne narracje i reinterpretacje. Ale czy historię Marilyn da się w ogóle opowiedzieć inaczej?

Historia ciała

Ciało było dla niej podstawowym narzędziem pracy i utrapieniem. Trauma po molestowaniu seksualnym, zaburzenia odżywiania, poronienia, bóle menstruacyjne wywołane endometriozą, przemoc fizyczna ze strony jednego z partnerów, tabletki uspokajające, nadmiar alkoholu, bezsenność – duża część mitu Monroe wiąże się bezpośrednio z doznaną krzywdą i reżimem, jakiemu poddawane było właśnie jej ciało. Aby utrzymać nienaganną prezencję i sylwetkę (każdy kilogram, jaki rzekomo przybierała na wadze, wywoływał serię żenujących przytyków ze strony mediów), aktorka spędzała godziny w garderobie i pod okiem speców od makijażu. Poniekąd wspierała w ten sposób fikcję, zgodnie z którą piękne ciało kryć miało w sobie zdrową amerykańską duszę.

Jak odszyfrować historię gwiazdy zapisaną na jej ciele? Wystarczy spojrzeć na zdjęcia do kolorowych magazynów, jakie robiono Marilyn od połowy lat 40. Wówczas pierwszy raz stanęła przed obiektywem, jeszcze jako Norma Jeane Mortenson, pracowniczka fabryki broni w Van Nuys, gdzie wspierała amerykański wysiłek wojenny. Z tych wczesnych odbitek spogląda na nas dziewczyna z sąsiedztwa, ciemna blondynka z kręconymi włosami, niespełna 20-letnia i bezpretensjonalna. W 1945 r. węgierski fotograf André de Dienes zrobił serię niezwykłych fotografii: Norma Jeane na tle kalifornijskich skał i krajobrazów, prawdziwie swojska, rumiana, w swetrze lub jeansach, upozowana na górską kozicę, która za chwilę pokona kolejny pagórek.

Wkrótce po wojnie rozpocznie się długa podróż modelki, której ostatnim przystankiem będzie platynowy blond – ukradziony Jean Harlow, gwieździe lat 30., do której MM często porównywano. Zmiany garderoby, w którą młoda kobieta zainwestuje większość swoich zarobków, zmiana nazwiska, operacje plastyczne twarzy i inna fryzura – włosy dosyć krótkie, wystylizowane na kształt ozdobnej sałaty, oślepiająco jasne, niekiedy wpadające w złotą poświatę.

Rzeźbienie Marilyn widać doskonale na przykładzie kolejnych sesji. Pojawiają się fotografowie, którzy inaczej oświetlają jej ciało, nadając mu poetycką aurę. Próbują wydobyć ów słynny seksapil nowej seksbomby. Zachęcają ją do zdjęć w negliżu, wypróbowują taśmę czarno-białą i różne kostiumy (czasem sam ręcznik lub chustę), produkują dziesiątki coraz bardziej wystudiowanych portretów.

Pod koniec życia Monroe profesjonalne fotografie z jej udziałem mają za zadanie nie tylko odkryć skrawek ciała lub uchwycić niewidziany wcześniej wyraz twarzy lub uśmiech. Teraz, we wczesnych latach 60., muszą także niejedno ukryć. Pozbawione snu noce, kryzysy psychiczne, alkohol, który popija w trakcie pozowania – późne zdjęcia Monroe chwytają urodę modelki, ale rejestrują też sygnały wycieńczonego ciała. Ciężkie powieki i rozkojarzone spojrzenie opowiadają historię osoby, która traci kontrolę nad własnym życiem.

Koniec z Hollywood

Może właśnie fotografie pozostają najwspanialszą artystyczną spuścizną po Monroe. Owszem, była ona w tym wypadku tworzywem dla patrzących na nią przez obiektyw mężczyzn. Ale czy na historii Hollywood udało jej się odcisnąć większe piętno? Myślimy o Marilyn w pierwszym rzędzie jako o gwieździe kina, ale często wyjmujemy jej kreacje z szerszego kontekstu. W ten sposób tracimy z oczu to, co czyniło jej karierę aktorską tak niespełnioną.

Jako królowa wrażliwców i osoba zmagająca się z problemami psychicznymi, miała w Hollywood zapewne jeszcze ↦

20TH CENTURY FOX / FORUM

Marilyn Monroe w filmie „Jak poślubić milionera", 1953 r.

Ostatnia sesja zdjęciowa, zrealizowana trzy tygodnie przed śmiercią aktorki, Santa Monica, Kaliformia, 13 lipca 1962 r.

↦ trudniej niż inne kobiety. Zbyt długo jednak w narracji o Monroe dominowało przekonanie, że nie rozwinęła ona w pełni skrzydeł z powodu sytuacji osobistej i źle podjętych decyzji zawodowych. Jest w tym ziarno prawdy, ale z perspektywy sześciu dekad wydaje się oczywiste, że jako utalentowana aktorka nie miała wówczas w Hollywood czego szukać.

Ten talent niezwykle trudno zdefiniować. Na ekranie jej role jawią się jako organiczne, spontaniczne, stworzone niemal bez wysiłku. Nic nie jest dalsze od prawdy, szczególnie kiedy mówimy o drugiej połowie lat 50. Eksperymentowała ona wówczas z tzw. aktorstwem Metody, inspirowanym systemem Stanisławskiego i polegającym z grubsza na głębokim utożsamieniu się z odgrywaną postacią. Kręcenie filmu z Monroe stało się koszmarem – pełnym obsuw, odwołanych dni zdjęciowych i niekończących się dubli, na które nalegała.

Smakosze jej ról ekranowych często wskazują na zapomniany dzisiaj „Przystanek autobusowy" Joshui Logana (1956) jako na jej najpełniejszą kreację, stworzoną już pod wpływem nauk u guru Metody, Lee Strasberga (jednej z wielu figur ojcowskich w karierze Monroe). Z jednej strony MM wciela się tam w archetypiczną „głupią blondynkę", z drugiej – możemy ją zobaczyć w długich scenach dialogowych i w fabule, która w krzywym zwierciadle ukazuje jej status pożądanej kobiety. Bohaterem tej czerstwej farsy jest niedojrzały kowboj z Montany, który wypatrzył sobie bohaterkę Monroe i przymusza ją do zamążpójścia.

Ani własna firma produkcyjna (Marilyn Monroe Productions), ani projekt zbudowany na jej współpracy z najsłynniejszym wówczas aktorem, Anglikiem Laurence'em Olivierem („Książę i aktoreczka"), nie były w stanie podważyć podstawowych reguł lat 50.: była to najgorsza dekada dla kobiet od początku historii Hollywoodu. Znów możemy gdybać. Gdyby MM trafiła do kina w latach 30., mogłaby być czołową gwiazdą produkowanych taśmowo (i często świetnych!) komedii, w których aktorki miały do zagrania równie dużo, co aktorzy. Gdyby z kolei miała szansę na dobre zakorzenić się w Fabryce Snów w latach 40., mogłaby spróbować swoich sił jako *femme fatale* w kinie noir lub w skrojonych pod kobiecą widownię melodramatach. Lata 50., rutynowo określane jako najbardziej konserwatywna z dekad, nie dawały kobiecym gwiazdom takich możliwości. Wystarczy spojrzeć na listę najbardziej dochodowych aktorów i aktorek dekady, by zobaczyć, że w poszczególnych latach w pierwszej dziesiątce znajdują się najwyżej dwa lub trzy nazwiska kobiet.

Zyskała sławę w epoce, która nie potrafiła wykorzystać jej możliwości. Nie zbudowała owocnych relacji z żadnym reżyserem, który mógłby podpisać się pod cyklem przebojowych filmów z jej udziałem. Pod koniec lat 50. studia filmowe poruszały się jak słonie w składzie porcelany. Zmuszone do pozbycia się własnych sieci kin na mocy sądowej decyzji i walczące z telewizją za pomocą technologicznych nowinek, coraz rzadziej były miejscami, w których mogły rozkwitnąć prawdziwe talenty. Marilyn miała na dodatek kontrakt z bodaj najmniej lubianym z wielkich studiów. Niezdarność

GEORGE BARRIS / BLOOMSBURYAUCTIONS / SPLASH / EAST NEWS

MATERIAŁY PRASOWE

Ana de Armas jako Marilyn Monroe w filmie „Blondynka", Netflix, 2022 r.

20th Century Fox w kierowaniu karierą MM – aktorki tak lubianej i kasowej – jest wręcz legendarna. Włodarze studia nie mieli pojęcia, jak wykorzystać potencjał gwiazdy, której przesiąknięty seksem *image* wyzywał kanony powojennej obyczajowości.

Symbol seksu?

Nancy Sinatra, córka Franka, powiedziała przed paroma laty, że jej zdaniem tylko trzy osoby miały prawdziwie promieniującą, gwiazdorską aurę: „Elvis, Marilyn i mój ojciec". W niedawnym „Elvisie" Baza Luhrmanna najbardziej zapada w pamięć scena, w której piosenkarz, na wczesnym etapie kariery, rusza biodrami na scenie tak zmysłowo, że żeńska część widowni piszczy z podniecenia. MM też słynęła z ruchów bioder, które przyprawiały widzów o przyśpieszone bicie serca. Określa się ją często mianem symbolu seksu, ale to tylko niezgrabna konstrukcja językowa. Marilyn nic nie symbolizowała, nie odsyłała do jakiejś mistycznej erotyki – na przestrzeni swojej kariery próbowała uosobić seks, określić jego parametry i wcielić sobą kompletną wizję seksualności: czasem radykalną, czasem wsteczną i upupiającą; czasem prowokującą, kiedy indziej bezpieczną i udomowioną.

Podobnie jak Elvis, Marilyn stanowiła przesadzoną odpowiedź na purytańskie czasy: było w niej za dużo sensualności, za dużo pozy i afektacji, za dużo „kobiecości" i sztuczności (aż po przebłyski kampu, jak chcą niektórzy), za dużo bezbronności i erotycznej nadgorliwości. Ten nadmiarowy wizerunek nie przestaje do nas powracać w kolejnych filmach (np. „Mój tydzień z Marilyn" Simona Curtisa z 2011 r.), spektaklach teatralnych (głośna „Persona. Marilyn" Krystiana Lupy z Sandrą Korzeniak z 2009 r.) i powieściach.

„Blondynka" Joyce Carol Oates z 2000 r., której adaptację w reżyserii Andrew Dominika zrealizował w tym roku Netflix (premiera 16 września), to być może najbardziej monumentalne dzieło literackie o MM – blisko 800 stron prozy, w której krytyka opresyjnego otoczenia Monroe i jej wrażliwość wysuwają się na plan pierwszy. Powieść Oates to rewers „Marilyn", seksistowskiego klasyka Mailera, w którym trzy razy podkreśla on, że MM miała „mało tożsamości" – jakby ta hipoteza miała tłumaczyć jej zawikłany życiorys. Oates, choć podchodzi do swojej bohaterki z większym szacunkiem, wpada w podobną pułapkę. „Blondynka" jest fikcyjnym tworem powieściowym, ale wiernie przedstawia najbardziej bolesne epizody z życia gwiazdy. Podobnie jak Mailer, który eksperymentował z „nową biografią" czy też „biografią powieściową" (dwuznaczność angielskiego „*a novel biography*"), Oates również nakłada grube warstwy fikcji na prawdziwe wydarzenia i postaci, które czasem pozbawione są imion, ale i tak rozpoznajemy je bez pudła (Arthur Miller figuruje w tekście po prostu jako Dramaturg).

Zadziwiające, że mimo upływu tylu lat od śmierci aktorki wciąż tak samo próbujemy opowiadać o jej fenomenie: traktując biograficzne fakty jak szkielet, na którym możemy zawiesić melodramatyczne scenki i udekorować je intymnymi, niemożliwymi do sprawdzenia szczegółami. ↦

Hologramy kobiecości

Warto odbić się od indywidualnej psychologii, aby poszybować w kierunku wyznaczonym przez Andy'ego Warhola, czyli w stronę fascynacji reprezentacją, powierzchnią i czystym obrazem. To chyba bardziej produktywny kierunek dla tych, których w przyszłości będzie przyciągać mit MM. Kino fabularne nie ma takiego luksusu i koniec końców musi wrócić do ciała: która aktorka będzie w stanie wcielić się w nieśmiertelną ikonę?

W adaptacji „Blondynki" główną rolę zagrała Kubanka Ana de Armas, której kariera w pewnych aspektach zbliża się do historii samej Monroe. Szersza publiczność w USA zaczęła ją rozpoznawać dopiero po drugoplanowej roli w „Blade Runner 2049" Denisa Villeneuve'a z 2017 r. Aktorka wciela się tam w kuszący głównego bohatera hologram – emanację idealnej kobiecości, tak doskonałej, że aż nierzeczywistej. W bieżącym roku wystąpiła w nieudanej „Głębokiej wodzie" Adriana Lyne'a, weterana thrillerów erotycznych z lat 80.

De Armas – znakomita w komediowej roli w „Nie czas umierać", ostatnim odcinku przygód agenta 007 – staje przed podobnymi wyborami, co MM siedem dekad temu. Stworzyła zmysłową personę, ale dba też o to, żeby nie dać się zaszufladkować jako „symbol seksu". Świadectwem ponadczasowej siły mitu Marilyn jest to, że w XXI wieku zarządzanie własnym wizerunkiem jest bodaj tak samo trudne jak w latach 50. W machinie globalnej rozrywki, w której młode kobiece ciała niezmiennie wystawia się na pokaz, łatwo empatyzować z dylematami gwiazdy „Skłóconych z życiem" (ostatniej roli MM). Pewne pytania warto też skierować do nas samych: jak długo będziemy podtrzymywać kult platynowych blond włosów i kiedy damy w końcu Marilyn odrobinę świętego spokoju? W wyobraźni i przed ekranami drogę stąd do blond – i z powrotem – przemierzyliśmy już wszak po wielokroć.

© SEBASTIAN SMOLIŃSKI

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | **www.radiokrakow.pl**

MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

Klęska obfitości

ANITA PIOTROWSKA

Kiedyś narzekaliśmy na zaściankowość naszego kina. Dziś dostrzegamy paradoksy kosmopolityzmu. Zwłaszcza w takich miejscach jak Gdynia, gdzie czasami bardziej chodzi nam o Polskę aniżeli o samo kino.

Jaką twarz ma dzisiejsze polskie kino? Patrząc na werdykt minionego właśnie 47. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni (12-17 września 2022), należy ona do... czarnoskórych walijskich bliźniaczek, które z tajemniczych powodów zamilkły. I stworzyły sobie własny świat, tyleż kreatywny, co autodestrukcyjny i hermetyczny.

Złote Lwy dla anglojęzycznego filmu „The Silent Twins" Agnieszki Smoczyńskiej to decyzja odważna, bo nie tylko idąca pod prąd typowo polskim tematom, ale i wbrew decyzjom innych prestiżowych gremiów, zagranicznych i rodzimych, na czele z Cannes, Wenecją czy komisjami przedoscarowymi. Przepadły więc z kretesem pewniaki tej imprezy, na czele z Wojciechem Smarzowskim („Wesele"), Jerzym Skolimowskim („IO") i Małgorzatą Szumowską („Infinite Storm"), a zwyciężył film pozornie najbardziej oddalony od naszego podwórka i potocznych wyobrażeń o tym, co w kinie ważne. Można z jury pod wodzą Jerzego Domaradzkiego w różnych punktach dyskutować, komunikuje nam ono jednak, że bardziej od prestiżu, warsztatu czy ciężaru gatunkowego liczy się dzisiaj autorska oryginalność.

„The Silent Twins”, reż. Agnieszka Smoczyńska

GRZEGORZ PRESS / WATCHOUT STUDIO

TOMASZ WOŹNICZKA / STUDIO MUNKA SFP

po prawej od góry: „Apokawixa”, reż. Xawery Żuławski

„Chleb i sól”, reż. Damian Kocur

Taka jest właśnie wzięta z życia i zarazem surrealistyczna opowieść o siostrach June i Jennifer Gibbons, które w latach 70. zatrzasnęły się we własnych głowach. Film Smoczyńskiej podąża za nimi w tej ucieczce na drugą stronę lustra. Odtwarza, również za pomocą animacji lalkowej czy musicalowych wstawek, ich wyimaginowany, a w końcu też literacki mikrokosmos. Pokazuje wyjątkową, lecz na swój sposób patologiczną więź, jaka połączyła autentyczne bohaterki, skazując je na izolację tudzież wzajemne uzależnienie. Reżyserka dostrzega w nich coś więcej niż psychopatologiczną osobliwość. Portret milczących bliźniaczek nie wprost, bo za pomocą sowizdrzalskiego tonu i wyszukanych środków wyrazu (w tym nagrodzonej scenografii Jagny Dobesz oraz muzyki Zuzanny Wrońskiej i Marcina Macuka) stara się obudzić w widzu tolerancję i empatię, nie uderzając przy tym w pedagogiczne ani nazbyt sentymentalne struny.

Za dużo, za mało

Czy jednak „The Silent Twins”, mówiony w obcym języku, z udziałem niepolskich aktorów i toczący się daleko stąd, jest filmem wystarczająco polskim? Takie pytania, również pod adresem filmu Szumowskiej bądź innych koprodukcji, padały w Gdyni często. Podczas debaty zorganizowanej przez miesięcznik „Kino” analizowano fenomen kina transnarodowego, które z jednej strony pozwala rodzimym twórcom realizować ambitne i kosztowne projekty zagraniczne, ale z drugiej budzi pewne wątpliwości w konkursie stricte polskim, niczym „Aida” Jasmili Žbanić rozbijająca bank z polskimi Orłami, a zrealizowana przez 10 różnych kinematografii. Kiedyś narzekaliśmy na zaściankowość, a dziś, kiedy nasze filmy coraz bardziej stają się częścią międzynarodowego krwiobiegu, zaczynamy dostrzegać paradoksy tego kosmopolityzmu. Zwłaszcza w takich miejscach jak Gdynia, gdzie niekiedy bardziej chodzi nam o Polskę aniżeli o samo kino.

Podobnie było w tym roku z klęską urodzaju. Zazwyczaj narzekało się po festiwalu na jego mierny poziom czy wręcz brak ciekawych tytułów. Rok ubiegły, kiedy to w pełni przejął stery dyrektor artystyczny Tomasz Kolankiewicz i selekcja stała się wypadkową przede wszystkim kompetencji i gustów, a nie środowiskowych interesów, przyniósł wyraźne zwiastuny zmiany. Polskie kino jakby odżyło, a już na pewno stało się bardziej odważne i różnorodne, tamta zaś główna nagroda dla „Wszystkich naszych strachów” Łukasza Rondudy i Łukasza Gutta odbierana była niemal jak manifest nowego. W tym roku poziom zgłoszonych filmów był ponoć na tyle wysoki, że zakwalifikowano aż 20, a nie ↦

WARTO ZOBACZYĆ

1. Niepokalana

Dramat, reż. Monica Stan, George Chiper, Rumunia 2021, Cinemax 2, 21 IX, 20.20, HBO Max

To nie jest typowy film o zmaganiach z uzależnieniem od narkotyków. Perypetie dziewczyny zamkniętej w ośrodku odwykowym stają się laboratoryjnym studium nadopiekuńczości, której bardzo blisko do manipulacji i przemocy. A film opowiada o tym nie tyle słowem, co wyszukanym, klaustrofobicznym obrazem.

2. Babi Jar. Konteksty

Dokumentalny, reż. Siergiej Łoznica, Holandia/Ukraina 2022, VoD.pl

Jaką prawdę o historii mówią nam archiwalne materiały filmowe? Czy stojący za obiektywem człowiek może być w pełni obiektywny? Sięgając do zapisów z różnych źródeł, dokumentujących masakrę sprzed 80 lat, Łoznica montuje historiozoficzny esej wizualny, który raczej stawia pytania, niż objaśnia.

3. Prostoduszny morderca

Dramat, reż. Hans Alfredson, Szwecja 1982, Netflix

W zalewie streamingowej paszy czasem trafiają się perełki. Jak ta historia z lat 30. XX wieku, w której poczciwy parobek z lekką niepełnosprawnością doświadcza na swej drodze i różnych form brutalności, i bezinteresownego dobra. Występuje m.in. młody Stellan Skarsgård, a w epizodzie jako anioł Björn Andrésen ze „Śmierci w Wenecji".

4. Moje życie w Rolling Stonesach

Miniserial, reż. zbiorowa, Wielka Brytania 2022, HBO Max

Każdy z czterech odcinków, nakręcony przez czterech różnych twórców, ma tu swojego bohatera. Bo każdy ze „Stonesów" zasłużył sobie na osobny film. Ale i tak wszystko kręci się wokół zespołu – w końcu istnieje już od 60 lat, na przekór czasom czy modom. Nawet po niedawnej śmierci perkusisty Charliego Wattsa jego koledzy nie zamierzają odchodzić na emeryturę.

↦ standardowe 16 tytułów, z lekka naginając przy tym regulamin.

Efektem było przeładowanie programu (będące czasem efektem postpandemicznej zgęstki) i jednocześnie zatarcie się kryteriów wyboru. Powróciły w związku z tym pytania, na ile gdyński konkurs powinien być „skupem interwencyjnym", a na ile salonem wybrańców. Tym bardziej też widoczna stała się nieobecność w konkursie niektórych tytułów, jak choćby „Prawdziwego życia aniołów" Artura W. Barona z przełomową rolą cierpiącego na afazję Krzysztofa Globisza. Odkąd zlikwidowano sekcję „Inne spojrzenie", coraz mniej w Gdyni miejsca na to, co całkowicie osobne.

Kino troski

Dominowało porządnie skrojone kino „dla ludzi" – żeby jeszcze zechcieli wstać ze swoich kanap i ruszyć do sal kinowych. To kino miało z kolei twarz szorstkiego i przedwcześnie owdowiałego tirowca o miękkim sercu (Eryk Lubos), który w „Tacie" Anny Maliszewskiej udaje się do przedwojennej Ukrainy z bardzo nietypową kontrabandą. Autorka kultowych teledysków w swym filmowym debiucie stworzyła urzekającą hybrydę kina drogi, westernu i opowieści o dorastaniu do ojcostwa, nakręconą w ciepłych barwach dzieciństwa i zarazem z lekko groteskowym przegięciem, w punkowym rytmie „Nowej Aleksandrii" grupy Siekiera.

Z kolei Jacek Lusiński w „Śubuku" (nagroda za oparty na faktach i raczej konwencjonalny scenariusz odebrana wespół z Szymonem Augustyniakiem) zadbał o nasze samopoczucie, pokazując desperacką i pionierską walkę samotnej matki, granej z werwą przez Małgorzatę Gorol. W brutalnych pod każdym względem latach 90. kobieta idzie na wojnę z inercją czy ignorancją polskiego systemu edukacyjnego, zamkniętego dla dzieci ze spektrum autyzmu.

Najbardziej oczarował publiczność „Johnny" innego debiutanta, Daniela Jaroszka, który opowiada życiorys ks. Jana Kaczkowskiego w konwencji energetycznej dresiarskiej gawędy. Miesza się tu i hip-hop, i anielskie chóry, rządzą kościelne kadzidła i kij bejsbolowy, bo tytułowy bohater ma w sobie coś z buntownika i zarazem bożego szaleńca. Promieniuje tym na Patryka – chłopaka z kryminalną kartoteką, który trafia do pracy w puckim hospicjum (doceniona rola Piotra Trojana), aczkolwiek ckliwy finał tej historii trochę kłóci się z anarchizującym temperamentem „dziwaka z Sopotu", zmarłego przed sześcioma laty i zagranego wiernie przez Dawida Ogrodnika.

Najwyraźniej polscy twórcy upodobali sobie w tym roku „kino troski", do którego zaliczyć można też „Strzępy" Beaty Dzianowicz, drugi film tej reżyserki, nagrodzony za drugoplanową rolę Grzegorza Przybyła. Wciela się on w dotkniętego alzheimerem ojca i dziadka, ale w tym skromnym obrazie choruje tak naprawdę cała rodzina. Pojawiają się tutaj pytania o granice i o formy pomocy, jakiej najbliżsi mogliby udzielić choremu, i o nowe zdefiniowanie bliskości.

Historie z historią

W natłoku trudnych spraw, przerabianych zazwyczaj w ciasnych czterech ścianach, w różnych okolicznościach życiowego lockdownu, festiwalowy widz poszukiwał chociaż chwilowego wytchnienia. A najlepiej całkowitego resetu, przypominającego o tym, że kino robi się czasami dla zabawy w kino. Stąd tak wielki entuzjazm, również u jury przyznającego w tym wypadku nagrodę Złoty Pazur, wywołała „Apokawixa" Xawerego Żuławskiego, czyli pełnokrwisty horror wpisany w ekologiczno-apokaliptyczną narrację, a właściwie parodia jednego i drugiego. Eskapada warszawskich maturzystów na Wybrzeże miała skończyć się co najwyżej dziką balangą w zabytkowym pałacu należącym do bogatego tatusia, ale skażone sinicami wody zatoki przemieniają uczestników w zombie, sam zaś film zamienia się w samonakręcający się, acz świetnie kontrolowany chaos. A przy okazji w krytykę turbokapitalizmu i konsumeryzmu, z udziałem gangsterów, dilerów, leśnych dziwadeł, kaszubskiego folkloru i odwołań do kina mistrzów. W tym Żuławskiego seniora i historycznej ikonografii Andrzeja Wajdy.

Ta wielka historia prezentowana podczas tegorocznej Gdyni miała zresztą bardzo różne oblicza. U Smarzowskiego oczywiście szpetne. Nowe „Wesele" podąża tropem rozrachunkowym za polską niepamięcią w temacie Zagłady i za dzisiejszą mentalnością naznaczoną tym, co wyparte. Gdyby ten film był świeżynką (premierę miał prawie rok temu), z pewnością byłby mocniejszym uderzeniem festiwalowym, a tak wyjechał tylko z na-

MATERIAŁY PRASOWE KINO ŚWIAT

„Orzeł. Ostatni patrol", reż. Jacek Bławut

grodą za kostiumy dla Magdaleny Rutkiewicz-Luterek. Opisywane niedawno na tych łamach „Orlęta. Grodno '39" Krzysztofa Łukaszewicza, o żydowskim chłopcu w harcerskim mundurku, który rusza na pomoc miastu zaatakowanemu przez Armię Czerwoną, mimo zacnych intencji stały się zakładnikiem swojej ugrzecznionej, czytankowej konwencji.

Fascynującą niespodzianką okazał się za to „Filip" Michała Kwiecińskiego (Srebrne Lwy) na podstawie prozy Leopolda Tyrmanda, gdzie młody uciekinier z warszawskiego getta udaje we Frankfurcie francuskiego kelnera. W efekcie dostajemy niepokojący dramat, skonstruowany z finezją, frenezją i nawet pewną frywolnością, w czym duży udział mają nagrodzone zdjęcia Michała Sobocińskiego oraz intrygująca kreacja Eryka Kulma jr.

Najwięcej kontrowersji wywołał natomiast film otwarcia, czyli „Orzeł. Ostatni patrol" Jacka Bławuta. Znakomity dokumentalista opowiada o tragicznej misji polskiego okrętu podwodnego na Morzu Północnym w 1940 r., eksperymentując z wojennym widowiskiem. Zamyka załogę, a wraz z nią i widza, w trzewiach żelaznego wieloryba, rekonstruując przede wszystkim gęstą i duszną atmosferę ostatnich dni nigdy nie odnalezionej jednostki. Klaustrofobiczne zdjęcia Jolanty Dylewskiej i złowrogie pomruki maszyny (nagroda za dźwięk dla Radosława Ochnio i Michała Fojcika) zmuszają do całkowitej immersji, jednakże sama opowieść szwankuje, a całość niemiłosiernie przytłacza swoją formą. Liczne laury, również za reżyserię, za montaż Bartłomieja Piaska i Piotra Wójcika oraz za charakteryzację dla Dariusza Krysiaka, uczyniły z „Orła" najbardziej uhonorowany tytuł tego festiwalu.

Życie jest gdzie indziej

Co może dziwić o tyle, że wiele świetnych filmów zostało w werdykcie zupełnie bądź prawie pominiętych. Dostrzeżono na szczęście poruszającą rolę Doroty Pomykały w „Kobiecie na dachu", aczkolwiek kolejna mocna opowieść Anny Jadowskiej o odzyskiwaniu przez kobietę, tym razem dojrzałą i zahukaną, swojej widoczności czy sprawczości, wycyzelowana w najdrobniejszych szczegółach, gestach, nastrojach, zasłużyła na większą uwagę.

Brak statuetki dla „IO" Skolimowskiego wygląda wręcz na gest przekory wobec jego dotychczasowych sukcesów. Okrutna, lecz piękna zarazem baśń o osiołku, który przemierza współczesną Polskę i Europę, sfilmowana została niejako jego oczami, w których przegląda się ekspresjonistycznie wykrzywione człowieczeństwo i współczesność [więcej o filmie w następnym numerze – red.].

Nie sposób zrozumieć zignorowania wyśmienitego debiutu „Chleb i sól" Damiana Kocura, docenionego przez dziennikarzy, DKF-y i jury młodych. Nie chodzi tylko o to, że udało się tu coś niemożliwego i dość ryzykownego: opowiedzieć za pomocą muzyki Chopina o beznadziejnej codzienności blokersów ze średniej wielkości miasta czy o cenie społecznego awansu. Reżyser rzeźbi w dobrze sobie znanej materii (w miejscu, środowisku, życiorysach wieloletnich kumpli), zamieniając rzeczywistość w fikcję, a fikcję w prawdę o rzeczywistości. Mamy tu więc kino dojrzałe i filmowo, i myślowo, w którym dyskretnie, pod powierzchnią niby błahych zdarzeń, pulsują strach, wstyd, samotność w grupie i głęboko uwewnętrzniona przemoc. Ta ostatnia ujawnia się na różnych poziomach, zazwyczaj wobec innych i słabszych, jak choćby osiedlowi sprzedawcy kebabu czy tresowane na wirtuozów dzieciaki. Twórca doskonałej i nagradzanej na całym świecie krótkometrażówki „Dalej jest dzień" (2020) pod opieką Studia Munka rozwinął skrzydła i tworzy wielkie kino.

Podobnym odkryciem są dokonania Grzegorza Mołdy (rocznik 1993), mającego swoje filmy w aż dwóch konkursach: „Zadrę" w głównym i znakomity „Matecznik" w mikrobudżetowym. Wypełniona rymami i bitami historia początkującej raperki, która szuka swego miejsca w typowo męskim świecie i gubi się gdzieś po drodze, ma wszelkie cechy dobrego kina środka, natomiast drugi z tytułów to ciekawy przykład kina „laboratoryjnego", w stylu ↦

↦ greckiej Nowej Fali. Pokazuje, jak pewien społeczno-psychologiczny eksperyment przeprowadzany w małym mieszkanku na chłopcu z poprawczaka zaczyna wymykać się spod kontroli. I że nie ma ucieczki przed systemem jak tylko w inny system, o śmiałych skojarzeniach psychoanalitycznych nie wspominając.

W tej kategorii zwyciężył jednak „Słoń" Kamila Krawczyckiego, czyli subtelny melodramat gejowski, osadzony na Podhalu niczym swojskie „Brokeback Mountain", a wyróżnienie otrzymał film „Obudź się" Filipa Dzierżawskiego o zdesperowanej kibolce, która nieoczekiwanie znajduje wyjście z zaklętego kręgu plemiennej nienawiści. I właśnie to kino, młode, początkujące, wyrosłe z ograniczeń, wielokrotnie okazywało się bardziej drapieżne, poszukujące i świeże niż poprawne w każdym calu filmy z konkursu głównego.

Ucieczka do siebie

Mimo wszystko, mimo owej zachowawczości w przedstawianiu realiów za oknem i wspomnianej wyżej „reasumpcji" selekcji, był to festiwal udany, a z pewnością bardzo obfity. Pozwalał zapomnieć na chwilę o kryzysie ekonomicznym, który dotyka również branżę filmową, o słabej frekwencji na polskich filmach, o coraz częstszych próbach cenzury czy uznaniowości w ocenie zgłaszanych projektów. A także o zbliżających się wyborach dyrektora artystycznego festiwalu – oby nie nowego, bo ten, który jest, czyni swoją powinność doskonale. Oraz o stołecznej edycji zainicjowanego w Gdyni Niebyłego Festiwalu, który miał przypomnieć o półkownikach z okresu stanu wojennego, pozbawionych ongiś szansy festiwalowego zaistnienia, a wygumkował w dzisiejszym programie Agnieszkę Holland.

> W natłoku trudnych spraw festiwalowy widz poszukiwał choćby chwilowego wytchnienia. A najlepiej resetu, przypominającego **o tym, że kino robi się czasami dla zabawy w kino.**

Ta edycja pokazała więc światowość i jednocześnie ucieczkowość dzisiejszej polskiej twórczości filmowej, ćwiczącej się w sportach coraz bardziej ekstremalnych (wyprodukowane przez Netfliksa „Broad Peak" Leszka Dawida), w sztukach przetrwania („Infinite Storm" Szumowskiej), zagranicznych wojażach i europejskich dylematach („Cicha ziemia" Agnieszki Woszczyńskiej), lecz ostrożnej w przekraczaniu własnych granic. Inaczej niż w przypadku „IO", gdzie 84-letni reżyser wcale nie skopiował „Na los szczęścia, Baltazarze" (1966) Roberta Bressona, a pomysłowości, wigoru i konsekwencji mógłby pozazdrościć mu niejeden młodzik. Albo w zwycięskim „The Silent Twins", filmie polsko-brytyjsko-amerykańskim, który intryguje, trochę czaruje, trochę drażni nadmiarem konceptów i jednocześnie nie stara się schlebiać widzowi. Zaprasza go po prostu do siebie szczodrym gestem, choć bez kokieterii i na własnych warunkach.

© ANITA PIOTROWSKA

ĆWICZ UMYSŁ + CIESZ OKO!

DOWOLNE 3 WYDANIA

+

= PAKIET CZTERECH ZA 77 ZŁ

„Wiślna 12" – zeszyt o historii „Tygodnika" GRATIS do zakupów.
Zamów pakiet złożony z wydania „Ciało się udało" i trzech wybranych przez siebie wydań specjalnych (w cenie za pakiet 77 złotych), a my dorzucimy „Wiślną 12" i opłacimy przesyłkę. Czekamy na Twojego maila pod adresem: zamowienia@tygodnikpowszechny.pl – my zajmiemy się resztą.

W promocji można zamówić następujące wydania specjalne: „Wiara dla dorosłych", „Moc mózgu", „Smak wolności", „Halo, tu Ziemia", „W drogę", „Wszystko, co wiemy", „Polska od nowa", „Kanon 1", „Kanon 2", „Rozmowy o życiu". Oferta ważna do wyczerpania nakładów.

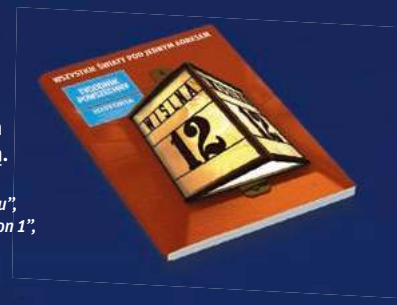

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PAWEŁ

Bravo:
Zupa dla poddanych

Sześć tysięcy ludzi rocznie rzekomo leczył przez dotyk poprzedni Karol zasiadający na brytyjskim tronie, w trzeciej ćwierci XVII wieku. Za jego panowania było rzeczą powszechnie wiadomą, że taumaturgiczna moc króla objawiała się przede wszystkim w *royal touch*, królewskim dotyku, który szczególnie miał jakoby leczyć „królewską przypadłość" – gruźlicę węzłów chłonnych znaną potocznie jako skrofuły.

Wiara w szczególne dary przekazywane monarszemu potomstwu w momencie sukcesji pozostała właściwie żywa do dziś, w każdym razie na pewno do zeszłego poniedziałku. Wiecie, o czym mówię, jeśli tak jak ja mieliście okazję oglądać na żywo hipnotyzujący *streaming* z Westminster Hall, gdzie ludzie składali pokłon przed katafalkiem z trumną Elżbiety. Szuranie butów i charakterystyczny szum elektronicznej transmisji co kwadrans przerywało trzykrotne uderzenie szablą o kamień, niecodzienny, egzotyczny dla nas odgłos, zwiastujący zmianę warty.

Jakże trwała i pewna siebie musi być struktura państwa, które potrafi okazać sobie i światu powagę, występując w kostiumie, który gdziekolwiek indziej byłby tylko żałosny. Możecie to wszystko nazwać nostalgiczną szopką – jednak teatrem nie była na pewno ta szczególna, niestrojna w kosztowne sukna i pióropusze procesja kilkuset tysięcy zwykłych ludzi. Można zrozumieć ich kolektywne stanie w karnej dwudziestogodzinnej kolejce „po nic" jako objaw tej samej taumaturgii, mocy sprawiania rzeczy nadprzyrodzonych, którą władcy okazywali w czasach sprzed wielkiego odczarowania rzeczywistości, gdy zrozumiano, że gruźlicę leczy się antybiotykiem, nie dotykiem.

Trzeba jednak uważać z opozycją „mity kontra racjonalizm". Wiara w to, iż „łaska Boża otacza tron Anglii", krzyżowała się z wyzutym z wszelkiej magii, pragmatycznym i nieraz okrutnym podejściem brytyjskiej elity politycznej do miejsca monarchy w hierarchii realnej władzy. Kiedy do znudzenia w zeszłym tygodniu powtarzano, że Elżbieta prześcignęła długością panowania Wiktorię, w odruchu męskiej solidarności chciałem sobie przypomnieć, jak wyglądało władztwo pierwszego w tym rankingu mężczyzny. Jerzy III oglądał z wysokości swego tronu bardzo ciekawe 60 lat – od rewolucji amerykańskiej, przez francuską aż po pokonanie Napoleona, ze zniesieniem niewolnictwa po drodze. W wielu sprawach chciał mieć sporo do powiedzenia, zbyt wiele jak na gusta kilku pokoleń wybitnych polityków, którzy rządzili jego krajem (w pewnym momencie parlament przegłosował nawet uchwałę określającą próby ingerowania w obrady izby „zdradą stanu").

Cierpiał na dotkliwe zaburzenia afektywne i nerwowe – być może ich pierwotnym podłożem była rzadka choroba zwana porfirią, powiązana z chronicznym zatruciem arszenikiem, który zawierał puder do peruk (tę wersję podtrzymuje znakomity film „Szaleństwa króla Jerzego"). Jeśli tak, byłaby to gorzka ironia losu, bo Jerzy III był pierwszym królem mającym solidne wykształcenie naukowe i trwałe pasje przyrodoznawcze. Miłośnicy kuchni mają go w dobrej pamięci za to, że otaczał przez pewien czas opieką i mianował nadwornym uczonym niejakiego Benjamina Thompsona, znanego szerzej jako hrabia Rumford.

Był to typowy oświeceniowy niespokojny badawczy duch, oprócz ulepszania prochu strzelniczego zajmował się też rozmaitymi aspektami termodynamiki w kuchni i oszczędnego gotowania (odkrył zalety techniki powolnej obróbki mięsa w niskiej temperaturze), wymyślił pierwszą wersję garnka z podwójnym dnem i przelewową technikę parzenia kawy. Ale przede wszystkim, gdy otrzymał zadanie racjonalnego zorganizowania swego rodzaju systemu robót publicznych, stworzył receptury właściwego żywienia robotników. „Zupa rumfordzka" była znana jako podstawa jadłospisu także i w polskich jadłodajniach dla ubogich i bywa nadal odtwarzana, często bez świadomości jej rodowodu. Bo pomysł jest szalenie prosty – to nic innego jak połączenie grochówki z krupnikiem, w wersji pierwotnej gotowane na piwie. Jej szczególne znaczenie tkwi w odpowiednio zbilansowanym połączeniu skrobi i białka pozyskanych z najtańszych źródeł.

Tej zimy, której boimy się bardziej niż poprzedniej, będziemy nieraz sięgać po pożywną rozgrzewającą zupę, nawet jeśli los nam pozwoli nie korzystać ze wsparcia darmowej garkuchni. Mieszając łyżką w gęstej papce, poczujmy łączność z łańcuchem zziębniętych pokoleń poddanych wszystkich Karolów, Jerzych i Elżbiet tego świata. ©℗

GRAŻYNA MAKARA

W archiwum „Tygodnika" znajdziecie przepisy na podobne do rumfordzkiej zimowe zupy z tradycji środkowych Włoch, będące połączeniem kaszy (w wersji oryginalnej – z płaskurki) z soczewicą lub fasolą. Dziś jednak chcę zaproponować jeszcze coś wczesnojesiennego, wizualnie przepyszną sałatkę dyniową. Kroimy w kostkę małą dynię hokkaido, solimy, kładziemy do brytfanki wysmarowanej oliwą, dodajemy, jeśli mamy, listki szałwii, pieczemy (ewentualnie na początku przykrywając folią) w 180 stopniach ok. 30 minut, czasem trzeba dłużej – aż dynia będzie całkiem miękka. Po przestudzeniu mieszamy w misce z pokrojonymi w talarki 2 podłużnymi burakami, które uprzednio również upiekliśmy. Dodajemy pokruszone ok. 100 g sera z niebieską pleśnią, może być nawet taki trochę gorszy, z marketu, typu polski lazur, który się za to łatwo kruszy (gorgonzola jest zbyt kremowa). Zaostrzamy lekko pieprzem, skrapiamy oszczędnie octem balsamicznym i na koniec dodajemy koniecznie coś, co by chrupało pod zębami: albo prażone pestki, albo małe grzaneczki – ja np. ostatnio tak wykorzystałem stary krakowski obwarzanek, cienko pokrojony i podpieczony z oliwą.

ZMYSŁY

MIASTO OPOWIEŚCI

Polacy, którym opowiadałem o Marrakeszu, często twierdzili, że go nie znoszą. Jednak to miejsce – zbudowane według logiki siły, której nikt nie widział – przetrwa nawet, jeśli umrze religia.

ANDRZEJ MUSZYŃSKI

Gdy zjeżdżam z wysokiego pasma Atlasu, nigdy nie wiem, kiedy zaczyna się Marrakesz. Z oddali wydaje się, że niskie budynki z gliny na przedmieściach to tylko wypuczona ziemia.

Przepełniony góralami bus jedzie w dół ostrymi serpentynami, więc wyobrażam sobie lęk tych, którzy wcześniej nie widzieli miasta. Fioletowi od słońca, kiedyś schodzili do niego wraz ze szmerem wody w strumieniach albo w *khattara*, systemie tuneli, które zasilały miejską oazę pełną ogrodów. Gwar przedmieść mógł krępować, ale to, co zaczynało się dalej, bliżej centrum, ścinało z nóg, bo glina tworzyła formy, które nie pozwalały zbiec światłu i materii. Ta tylko gęstniała, zamknięta w labiryncie ulic w barwie rozrzedzonej krwi.

Z gór

Berberowie z gór pewnie nigdy nie widzieli tyle jedzenia. Oliwek, chleba i owoców. Mięsa, skór i jajek. Kto przekroczył *bab*, bramę medyny, starego arabskiego miasta, porzucał z tą chwilą dawne życie. Tam, wewnątrz murów, materia przeobrażała się. Na drewnianych drzwiach i maszrabijach, ażurowych ekranach na oknach, układała się w miniaturowe ornamenty, które eksplodowały nad głową siecią nieskończonych powiązań. W „Dziecku piasku" Tahara Ben Jellouna przejście przez bramę medyny oznaczało wkroczenie w tajemnicę.

Kiedy wchodzę na medynę w Marrakeszu przez jedną z bram, odruchowo zniżam głowę, jak w niskich drzwiach starych wiejskich chałup. Od razu idę na plac Dżemaa el-Fna w pobliżu meczetu Koutoubia, żeby upewnić się, czy jeszcze istnieje. I czy jeszcze siedzą na nim starzy gawędziarze.

Zawsze w tym miejscu przychodzi mi do głowy, że pamięć powinna zapisywać obrazy w sepii, jak na starych fotografiach. Oznaczone w ten sposób jako na zawsze minione, nie męczyłyby jak te, które powracają barwne, niczym z wczoraj. Tak pamiętam pierwsze wejście na plac w 2005 r., jakby kolory tego miasta były odporne na upływ czasu nawet we wspomnieniu. Nie zmieniło się w zasadzie wcale. Jeżdżą po nim te same stare motory, ludzie ubierają się podobnie, trzeba by chyba zanurzyć dłoń w kieszeń dżalabiji, żeby znaleźć nowe modele telefonów. Wtedy, ponad 15 lat temu, widziałem na placu gawędziarza pośrodku halki, kręgu słuchaczy. Był siwy, bardzo stary, a ludzie słuchali go jak zaczarowani.

Opowiadacze mieli zniknąć z placu ok. 2010 r. Wiosną tego roku już ich nie było, ale wielka marokańska tradycja podobno żyje odmieniona. Pojechałem to sprawdzić, bo nigdy

AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

Plac Dżemaa el-Fna. Marrakesz, 9 lutego 2011 r.

w nią nie wierzyłem. Nie sądziłem, aby mogło być prawdą, iż znakiem tożsamości współczesnego narodu mogą być ludowe przypowieści podawane od wieków z ust do ust, tyleż malownicze, co martwe. Wygląda na to, że się myliłem.

W świecie gawęd

Niewykluczone, że sztuka opowieści zrodziła się właśnie na bazarach, gdzie relacjonowało się wydarzenia z odległych miejsc i wchodziło w dialog. Jest pewnie starsza niż tysiącletnia kultura spleciona z tutejszych – berberyjskich i napływowych – arabskich wzorców. Arabowie pokonali wielkie pasmo gór ośnieżonych do późnej wiosny i zatrzymał ich chłód wielkiego oceanu. Po tej, zachodniej stronie Atlasu, który odgrodził przybyszy od reszty ummy, język i rzeczy przybierały z udziałem miejscowych Berberów swoje formy.

Gawędziarze przemierzali tę krainę od krańca do krańca. Przez wielkie miasta, Fez, Tanger czy bliski Saharze Marrakesz, po złaknione opowieści wsie w rozciągniętym na tysiąc kilometrów Atlasie. Nieśli wielkie tajemnice i nadzieję niepiśmiennemu narodowi. W czasach walki z Francuzami o niepodległość przemycali nielegalne treści. W Marrakeszu ustawiali się z rana, najczęściej przy Café de France, nieco z dala od środka placu, gdzie zostaliby zagłuszeni piszczałkami i hukiem bębnów. Wokół nich szybko zbierali się ludzie i inni handlarze, bo opowiadacze napędzali popyt. Znali na pamięć eposy, które opowiadali codziennie nawet przez rok. Mieli swój szyfr, słowa kody, które bezbłędnie czytali wytrawni słuchacze, i wrodzoną umiejętność, by słowem, gestem i wzrokiem zawładnąć cudzym umysłem.

Dokładnie tak to wyglądało w 2005 r. Tyle że wraz z nowymi technologiami tradycja umierała, a ostatni gawędziarze zrzeszali się w organizacje, by ratować zagrożone dziedzictwo. W ostatnich dekadach ich status podupadł. Informacji dostarczały media. W gruncie rzeczy wielu prowadziło żebracze życie, zdane na łaskę ludzi i parę dirhamów. Dziecko, które oznajmiło rodzicom, że zostanie gawędziarzem, nie mogło liczyć na wsparcie. Świetnie pokazuje to film dokumentalny „Al Halqa – In the Storyteller's Circle" Thomasa Ladenburgera.

Spotkałem się z młodym opowiadaczem Mehdim El Ghaly w kawiarni Café Des Epices w starej medynie, blisko jego domu. Mówił płynną angielszczyzną jak nakręcony. Chłopak najwyraźniej urodził się, by snuć historie. Interesowały mnie konkrety, a nie frazesy powtarzane o unikalnej tradycji.

↦

↦ – Powiedz mi, proszę, czy to jeszcze na serio żyje? – zapytałem.

– Jeśli pytasz o taką formę, jak jeszcze przed dziesięcioma laty, na placu, to nie. Ale motywy tych opowieści wciąż są żywe. Każdy je zna. Ja czasem występuję na prywatnych imprezach i reinterpretuję je. Pojawiają się jako frazy, motywy, w mediach społecznościowych. Były inspiracją dla reżyserów, nakręcono na ich podstawie niezwykle popularne w Maroku seriale – powiedział i zapisał mi ich tytuły. Pożegnaliśmy się, a ja i tak wróciłem do hotelu przekonany, że sztuka opowieści umarła w chwili, kiedy została zapisana.

Czerwona lampka

Bo mniej więcej w czasie, kiedy z placu znikali ostatni gawędziarze, podjęto próby spisania popularnych opowieści, a jedna z pozycji jest dostępna w języku angielskim pod tytułem „The Last Storytellers" w redakcji Richarda Hamiltona.

Zamknąłem się w pokoju w medynie, chronionym grubymi murami od zgiełku i światła, zacząłem czytać je po raz pierwszy, i przepadłem. Przypominają przypowieści oszlifowane w tysiącach powtórzeń, pozbawione zbędnych epitetów, doskonałe w swojej formie. Dotykają, jak mity, czułych miejsc w podświadomości.

Pierwsza z nich, „Czerwona latarnia", opowiada o Kadourze, biednym sprzedawcy słodyczy z Marrakeszu. Kadour postanawia opuścić miasto, wędruje tygodniami przez Atlas, w końcu trafia do oazy na pustyni, w której przez kilka dni gości go miejscowy pasza. Kadour ma ze sobą tylko czerwoną lampkę. Wręcza ją paszy, a w izbie zapada cisza. Pasza jest olśniony. Nikt tu nigdy nie widział szkła. Pasza nie wie, jak odwdzięczyć się za taki dar – ma wszak tylko górę zwykłego złota i parę ton diamentów. Kadour opuszcza oazę z dwunastoma objuczonymi wielbłądami. W mieście wita go brat Said, który wcześniej Kadoura omijał. Teraz, oniemiały jego bogactwem, postanawia wyruszyć jego śladem, a Kadour, człowiek prosty i dobry, wskazuje mu drogę. Said zabiera ze sobą pełno płodów miasta, ale zostaje obrabowany w górach. Pobity dociera do oazy paszy i postanawia zaoferować mu zegarek. Paszą wstrząsa jego piękno. Może odwdzięczyć się tylko najcenniejszą rzeczą, jaką ma: czerwoną lampką trzymaną w pilnie strzeżonym skarbcu.

Kadour za majątek buduje na obrzeżach Marrakeszu rezydencję.

Święto wyobraźni

Być może Kadour postawił swój dom tam, gdzie dziś mieszka wybitny marokański pisarz i malarz Mahi Binebine. Przedmieścia Marrakeszu, zawsze pełne ruder, były jak czyściec dla imigrantów z gór. Ci, którzy się dorobili, mogli sobie pozwolić na przeprowadzkę w obręb starej medyny z meczetami, madresami i hammamami. Majętni stawiali swoje rezydencje w oddali, w naturalnej palmiarni za miastem, gdzie nie brakuje cienia i wody.

Kiedy wszedłem do willi Mahiego, myślałem, że pomyliłem adresy, bo dom wygląda jak wielka galeria. Po chwili pojawił się gospodarz w spodenkach i przywitał mnie jowialnie słowami, które wybrzmiały jak: „Siema!". Wydał u nas jedną książkę, „Ludożercy" (Wydawnictwo Akademickie Dialog, 2002), ale później, kiedy rozkręcił się, a jego opowieści tłumaczono na dziesiątki języków, już tłumaczony nie był. Jego najgłośniejsza książka to „Les chevaux de Dieu", w której opowiedział o sprawcach zamachów terrorystycznych w Casablance w 2003 r. Na podstawie tej fabuły powstał głośny film pod tym samym tytułem. Poza tym gospodarz jest najwybitniejszym współczesnym marokańskim malarzem, jego dzieła znajdują się w stałej kolekcji Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku.

Ojciec Binebinego był opowiadaczem na dworze króla Hassana II, zostawił matkę z ośmiorgiem dzieci, kiedy Mahi miał trzy lata. Brat Mahiego brał udział w zamachu na tegoż króla, za co spędził 18 lat w piekle, czyli słynnym więzieniu Tazmamart, które niedawno opisał w książce. W domu Mahiego wieczorami toczy się życie literackie miasta. Usiedliśmy w środku ogromnej przeszklonej przestrzeni – wiedział, po co przyszedłem.

– Ależ oczywiście, że to jest część tożsamości Marokańczyków! Na tym wyrosła nasza literatura – mówił kolega Tahara Ben Jellouna, w którego głośnej powieści „Dziecko piasku" narratorem jest gawędziarz. – To jak realizm magiczny, święto wyobraźni. Pamiętam, kiedy pierwszy raz usłyszałem historię o kobiecie, która nie mogła mieć dzieci i rozrósł się jej palec u nogi, moja głowa eksplodowała – opowiadał dalej, rechocząc.

Do dziś próbuję tę historię gdzieś znaleźć, bez skutku; widocznie nie została zapisana w znanym mi języku.

Mahi wychował się w medynie, blisko placu, przez który przechodził codziennie w drodze do szkoły, dokładnie tak jak młody opowiadacz Mehdi, z którym spotkałem się wcześniej. Dzień w dzień, zanim dotarł na lekcje, zatrzymywał się przy bajarzu na Dżemaa el-Fna. Te opowieści to jego całe dzieciństwo, przypadające na lata 60. Były tak uwielbiane, że kiedy w radiu zaczynała się audycja z ich lekturą, ulicami z odbiorników snuła się ta sama opowieść. Czarno-biała telewizja musiała być kpiną w świecie określonym przez wyrazistą barwę, czerwień murów, błękit nieba i zieleń ogrodów. – My dosłownie żyjemy w kolorach. A te opowieści są wpisane w nasze DNA – powiedział Mahi, a ja dopiłem czarną kawę i wróciłem na medynę, pod jego dawny *riad*, czyli dom w medynie.

Boska myśl

Za każdym razem potrzebuję dwóch, trzech dni, żeby połapać się w układzie ulic, które odchodzą promieniście od roziskrzonego placu. Wchodzę w jedną z nich przy Café de France i idę w stronę Darb Jalid, numer 57, stary adres Mahiego. To boczna ślepa uliczka, jakich tu wiele. Pusta, pełna kotów – jedno z miejsc, w którym światło, wyślizgane po ludzkich twarzach i grzbietach osłów, wsiąka na zawsze. Uliczka jest tak wąska, że sięgam dłońmi od ściany do ściany. Rozpiętość objuczonego wielbłąda wyznaczała tu minimalny wymiar ulic. Przypominają doliny Atlasu, spiętrzone i wygładzone ludzką ręką, w których ciekawość tego, co po drugiej stronie murów, albo za drzwiami sąsiada, jest odruchem i pobudza wyobraźnię.

Mój ciekawski wzrok wciska się tylko przez szpary do wnętrza domów, które tworzą przewiewne patia otwarte na widok nieba. Okna, kryte za zdobionymi przez snycerza maszrabijami, nie mogą być wstawiane w miejscach, które pozwalałyby sąsiadom na bezkarny wgląd w prywatność. Władza musi tu pamiętać, że lud nie wybaczy jej ingerencji

AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

Opowiadacz na głównym placu Marrakeszu. 8 lutego 2011 r.

w sferę nadaną mu przez proroka jako boskie prawo. Ona ma do dyspozycji meczet i ulice poddane całkowicie temu, co publiczne. Święte prawo prywatności wyznacza układ ulic, których nurt, nigdy nieustalony raz na zawsze, zmienia się, czyniąc każdą próbę rzetelnego zmapowania tego terenu możliwą, ale tylko na chwilę: rozwieszone markizy chronią przed zasięgiem współczesnych satelitów.

Wracam na plac i patrzę na medynę, jak każde stare arabskie miasto, zbudowaną według wskazań proroka, który wierzył, że jedynie wciela na ziemi boską myśl. Opowieść o mieście zbudowanym według logiki siły, której nikt nie widział, przetrwa nawet, jeśli umrze religia.

Polacy, z którymi rozmawiałem o Marrakeszu, często twierdzili, że go nie znoszą. Być może przez ciągły hałas placu Dżemaa el-Fna, liczbę turystów albo impet, z jakim piękno osuwa się w kicz. Tymczasem jest to jedno z miast, w którym mógłbym żyć. Jego riady dają ciszę i chłód, który koi, a nie kąsa, jak wysoko w górach. W każdej chwili można jednak włączyć się w niezawodny nurt ludzi i zdarzeń. Pojechać rowerem na *ville nouvelle*, nowe miasto. Czuję się tu jak dawniej biedni górale, którym miasto przywracało godność, bo w meczecie czy na suku obowiązywał zakaz sporów i używania broni, na którą nie było ich stać.

Jeden dzień w medynie

Najchętniej przyjeżdżam wczesną wiosną. To miasto jest płaskie – w końcu nic nie powinno być wyższe niż meczet. Z dachów domów widać, jak niedaleko bielą się firny Atlasu. W ogrodach lśni zieleń. W lutym od Sahary bije już ciepło. Przystawiam plecy do muru. Jego żar mrowi skórę, jakby mówił własnym językiem. Zaczynam dzień od kawy. Zwykle idę do Café de France, tam gdzie zbierali się opowiadacze. To dziś turystyczne miejsce, z wystawą na plac i osłonecznione. Lubię tutejszych kelnerów, w białych znoszonych koszulach przesiąkniętych dymem z papierosów. Pewnie miejsce miało być szykowne, ale wir ludzi i spraw nie pozwolił mu zamienić się w relikt.

Kawiarnia jest wielka, a jej ściany zdobią marokańskie ornamentowane płytki. Trzeba znać słowa na określenie właściwej kawy, bo „americana" czy „double espresso" może nie zadziałać. Np. *moitié-moitié* to po francusku: pół kawy, pół mleka. Francuzi wyglądają tu, jakby znaleźli długo wyczekiwane ukojenie, wystawiając twarz do słońca z dziennikiem „Le Matin" odłożonym przy kawie i popielniczce.

Mijam plac. Bębniarzy, wróżki i kobiety z henną. Ogrodników, stosy mięty. Kobry i umęczone małpy na łańcuchu. Faceta z mięsem w kieszeni, które rzuca kotu. Czerwone latarnie. Spod palenisk sprzedawców gotowanych ślimaków snuje się dym. Tylko dalej, na środku placu, coś błyszczy niecodziennie. Na małym stoliku, zwrócony twarzą w kierunku meczetu Koutoubia i słońca, starzec rozłożył sztuczne szczęki, które lśnią jak minerały.

Czasem zaglądam do Les Jardins de La Koutoubia, nieopodal. Ostatnio usiadłem na ławce, a pod fontannę przyszła grupa chłopców. Mieli ze sobą bębny. Słuchałem ich z godzinę. Po prostu przyszli pośpiewać. W białych adidasach, podgoleni i w modnych dresach, zawodzili jak nomadzi na pustyni, pewnie ich dziadkowie albo ojcowie.

Zaglądam na *suk*, miejski bazar. W medynie zawsze są nowe ulice do odkrycia. Tylko sprzedawcy inni niż przed laty, mniej pokrzykują, przycichli, nie nagabują, jakby covid przetrącił nas wszystkich bezpowrotnie. Na szczęście rzemieślnicy robią swoje. Krawiec jest dwadzieścia metrów od szewca. Szewc jest na ulicy, przy murze, pod niebem. Ma piękne narzędzia. Szeroki długi nóż. Podkleja podeszwę mojego buta, a potem ten klej podpala. But płonie. Szewc zdmuchuje płomień. Przybija młotkiem, docina. Ten błogostan, znany od dziecka, kiedy patrzy się na dłonie, które tworzą. W Marrakeszu okazało się, że to uczucie całkowitego poddania.

O zmierzchu uciekam na południe od placu, w okolice Rue de la Kasbah. Tam ulice są szersze i jest więcej życia, a mniej turystyki. Z otworów w ścianach na ulicę wysypują się rzeczy. Żelastwo, opony i deski. Czerwone mury o tej porze przygasają i strącają na ulicę ciepłe światło. Miasto wciąż lekko się żarzy. Przy Passage Prince Moulay Rachid, blisko placu, jest naleśnikarnia, wieczorem zawsze nabita ludźmi. Siada się przy ścianie, twarzą w kierunku tych naprzeciw. Można bezkarnie patrzeć. Wszyscy to wiedzą. Podłoga jest usłana łupinami. Nawet nie ma sensu tego zbierać przed zamknięciem. Leją tam dobrą herbatę z miętą i nie zdzierają.

Wracam do hotelu, który wbudowany jest w meczet. Przeciskam się między ciałami ludzi, którzy się modlą. Zawsze staram się spać w hotelu z dachem, z którego widać plac Dżemaa el-Fna. Siadam tam wieczorem i nasłuchuję. Krążek słońca zsuwa się za widnokrąg, a ja tylko tam potrafię wyobrazić sobie, że jutro powędruje w przeciwną stronę, coraz szybciej, dzień za dniem, do chwili, kiedy przybyłem tu pierwszy raz, umiejąc zachwycić się każdą rzeczą. Dżemaa el-Fna cichnie tylko, kiedy z meczetów odzywa się muezzin z wezwaniem do modlitwy. Przed północą w widoku można wyodrębnić już jedynie czerń nadzianą gęstym blaskiem placu, którego huk jest jak obietnica trwałości życia, i jego gwarant.

No a potem jest noc. Nie słuchajcie tych bajek: źli ludzie szukają ofiar raczej za dnia, nie w nocy. Kogo mieliby tu wtedy obrabować? Osła ze wzwodem, którego opisał Canetti? Żydów, których już tu dawno nie ma? Ale jeśli boicie się mroku, to poczekajcie do świtu. Pierwszy promień stawia na placu kropkę na końcu wielokrotnie złożonego zdania nocy. Wtedy jest najbezpieczniej. Słyszeliście, żeby ktoś zabił o brzasku?

© ANDRZEJ MUSZYŃSKI

TOMASZ

Stawiszyński: *Wybór Elżbiety*

Nie licząc kilku naprawdę radykalnych antymonarchistów, którzy mniej lub bardziej ostentacyjnie manifestowali zadowolenie z powodu śmierci Elżbiety II, przez media społecznościowe, także w Polsce, przetoczyła się gigantyczna fala żalu, żeby nie powiedzieć: rozpaczy.

Nawiasem mówiąc, w przypadku owych radykalnych antymonarchistów rzucało się w oczy bezwiedne utożsamienie urzędu ze sprawującą go osobą. Niebezpieczne to utożsamienie i ślepe na dynamikę działania potężnych kulturowych instytucji – do których z pewnością zalicza się brytyjska korona. Instytucji, które nie tylko darowują wprzęgniętym w nie jednostkom ogromną władzę – niechby nawet symboliczną, w dobie rewolucji cyfrowej to wszak jedna z najważniejszych jej form – ale które także same sprawują nad ich życiem masywną kontrolę. Nie widzieć tego albo udawać, że się tego nie widzi, to zarazem nie dostrzegać tej szczególnej rzeczywistości, szczególnej jakości, jaką jest... ludzki los. Pojęcie dawno temu odesłane do lamusa, bo niemieszczące się w słowniku kultury przenikniętej mitem samorealizacji i samostanowienia. A przecież życiowa trajektoria każdego z nas wyznaczana jest przez kompozycję trzech składników: naszych własnych wyborów, przypadku i konieczności. Od różnych warunków zależy, który z tych składników wysuwa się na prowadzenie, zawsze jednak, w każdym jednostkowym i zbiorowym życiu, występują one wszystkie, bez wyjątku. Niezależnie więc od tego, co się sądzi o monarchii – brytyjskiej i w ogóle – nie trzeba, a nawet nie powinno się wyłącznie przez ten pryzmat patrzeć na życie człowieka, którego zupełnie niezależne odeń okoliczności postawiły w takim, a nie innym miejscu. Jaki Elżbieta – jako jednostka – miała wybór? Czy mogła zostać kimś innym? Takich pytań, mam wrażenie, niektórzy sobie w ogóle nie zadawali.

To jednak były – mimo wszystko – głosy odosobnione, te entuzjastyczne pokrzykiwania w rodzaju „F*** the Queen!". Dominowały inne zupełnie, żałobne nuty, których zagęszczenie, zwłaszcza poza Wielką Brytanią, co najmniej zastanawia. Skąd tak powszechny, głęboki żal po śmierci kogoś, kto symbolizował przecież dawno przebrzmiały ład? Świat, którego już w zasadzie nie ma i który istnieje li tylko jako fantom i dekoracja? Owszem, wyraziste, ale jednak wyłącznie wspomnienie czegoś, co od dawna nie cieszy się pełnoprawną realnością?

No właśnie – skąd? Być może stąd – to, zastrzegam, robocza hipoteza – że dzisiaj, paradoksalnie, to wspomnienie, ta dekoracja wydają się właśnie o wiele bardziej substancjalne niż wszystko, co dookoła? Być może świat stał się tak nieprzewidywalny, tak niepewny, chaotyczny i pozbawiony struktury, że ten koturnowy i niedzisiejszy mikrokosmos brytyjskiej monarchii jawi się jako jeden z ostatnich bastionów stabilności, sukcesji, następstwa, przewidywalności, a przede wszystkim: porządku o wyraźnych konturach, wyraźnych kryteriach, wyraźnych granicach? Słowem, jawi się jako jeden z ostatnich bastionów wszystkiego, co zostało już bezpowrotnie utracone, a co przecież jeszcze do niedawna traktowaliśmy niczym gwarantowaną oczywistość?

W swoim niezwykłym dziele „Prawdziwy wyznawca" – które powinno być obowiązkową lekturą co najmniej w szkole średniej – Eric Hoffer powiada, że w epokach, które cechuje największa niepewność, ludzie są zarazem najbardziej niechętni zmianom. Po prostu – im bardziej rzeczywistość wymyka się naszym kalkulacjom, tym chętniej lgniemy do tych, którzy obiecują twarde fundamenty, znieruchomienie, pewność.

Biorąc pod uwagę, jak wiele jest dzisiaj tego rodzaju politycznych i ideologicznych ofert, sympatia do brytyjskiej monarchii oraz sama brytyjska monarchia okazują się w tym wszystkim nader bezpiecznym środkiem stabilizującym. Czego niestety nie chcą widzieć niektórzy radykalni antymonarchiści, skądinąd często motywowani przekonaniem, że w gruncie rzeczy to im należy się miejsce na takim czy innym tronie (co jednak zazwyczaj wychodzi na jaw dopiero po pewnym czasie). ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

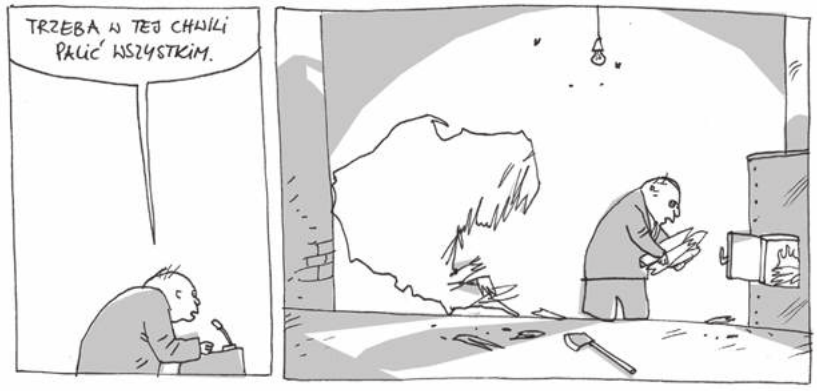

TYGODNIK POWSZECHNY

bella ciało!

WYDANIE SPECJALNE
JUŻ W SPRZEDAŻY

SZUKAJ W PUNKTACH Z DOBRĄ PRASĄ
LUB W E-WYDANIU NA POWSZECH.NET/CIAŁO

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / RYS. JOANNA RUSINEK

REKLAMA

DAWID OGRODNIK PIOTR TROJAN

JOHNNY

„ZAMIAST CIĄGLE NA COŚ CZEKAĆ – ZACZNIJ ŻYĆ, WŁAŚNIE DZIŚ. JEST O WIELE PÓŹNIEJ, NIŻ CI SIĘ WYDAJE."

W KINACH OD 23 WRZEŚNIA

KSIĄŻKA JUŻ W SPRZEDAŻY

next FILM · m | Grupa Moderator · KRAKOWIA · PUR PUR · RIBEL MEDIA · ESMETRIC · AG-D · DREAMSOUND · cine line · Abstraction Plan · DOBRA ROBOTA · PUCKIE MOSKIEWICZ OCZA PIO · POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ · tvn · PKP INTERCITY · empik · FILMWEB · ams · TOKE · GAZETA.PL · wysokieobcasy.pl · wyborcza.pl